



# *Janet Tronstad*



*W poszukiwaniu miłości*

# Rozdział pierwszy

## *Fort Keogh, Terytorium Montany, 1879 rok*

Elizabeth O'Brian usłyszała głosy przed wejściem do namiotu i natychmiast doszła do wniosku, że to pan Miller przyszedł sprawdzić, czy w końcu umarła. Już od jedenastu zimnych, listopadowych dni tkwiła zupełnie sama w namiocie. Mąż Matthew oraz ich córeczka Rose odeszli z tego świata zaledwie kilka dni po zapadnięciu na śmiertelną gorączkę, więc Elizabeth nie mogła winić kowala za niecierpliwość.

- Pani O'Brian!

Postanowiła zignorować natarczywego gościa. Ciągle czekała na nadejście choroby, o czym pan Miller doskonale wiedział. Jeszcze trochę i stanie się to, co nieuchronne, ale musiał uzbroić się w cierpliwość. Widać niełatwo umierało się na zawołanie.

Podejrzewała, że kowal był wzburzony, gdyż wcześniej nikt nie przypuszczał, że jej namiot będzie tak długo stał w tym płytkim wąwozie, blisko fortu. Skleciła konstrukcję z płótna zdartego z wozu i teraz wegetowała w odległości dwudziestu jardów od drewnianej palisady fortu Keogh.

Płótno rozciągało się od tylnej części wozu do jedyne drzewa w najbliższej okolicy, przysadzistej topoli amerykańskiej, która posłużyła za słup wspornikowy. Elizabeth specjalnie ulokowała się na tyle daleko od fortu, żeby nie zarazić nikogo niebezpieczną gorączką, ale też dostatecznie blisko, aby pan Miller nie nachodził się zbytnio, gdy będzie musiał ją pogrzebać.

W cuchnącym forcie bezustannie panowały gwar i zamieszanie, a ona pragnęła umrzeć w ciszy i samotności.

- Pani O'Brian! - rozległ się ten sam męski głos.

Tym razem przybysz znajdował się znacznie bliżej. To chyba jednak nie był pan Miller, uznała Elizabeth. Wcześniej przekazała kowalowi zaprzęg wołów w zamian za obietnicę wykopania jej porządnego grobu obok miejsca spoczynku męża i córeczki. Pan Miller zobowiązał się zadbać o godziwy pochówek Elizabeth, a ona wierzyła w jego uczciwość, niemniej wołała przypominać mu o powinności, by potem nie udawał, że za-

pomniał. Przez dwadzieścia osiem lat życia przekonała się nieraz, że mężczyźni nie zawsze bywają odpowiedzialni.

Uklękła i podkradła się do wyjścia z namiotu. Nie opuszczała schronienia od świtu, kiedy to poszła zaczerpnąć wody z beczki przytroczonej do boku wozu. Potem dorzuciła drewna do przygasającego ogniska tuż przed namiotem i zagotowała wodę na herbatę. Wczoraj ktoś podrzucił jej talerz wojskowych sucharów, ale zanim je zauważyła, niemal znikły pod warstwą porannego szronu, i w rezultacie przed zjedzeniem trzeba je było zanurzać w gorącej herbacie. Nie dopisywał jej apetyt, ale zmusiła się do spożycia dwóch kromek na śniadanie.

Po posiłku sprawdziła, czy chustka nadal jest mocno przywiązana do oparcia kozła na wozie. Kiedy Elizabeth odmówiła pozostania w forcie, lekarz polecił jej, żeby koniecznie dała sygnał, gdy wystąpią pierwsze objawy niebezpiecznej gorączki. W takiej sytuacji miała zamienić białą chustkę na skrawek niebieskiego materiału, który wydarła z pleców koszuli Matthew i przechowywała pod ręką, na starych kocach, służących jej za posłanie.

- Kto to? - Wyrzała przez szparę w płócienną zasłonce, która z trudem pełniła rolę drzwi wejściowych, i zobaczyła dwóch mężczyzn stojących w przyzwoitej odległości. Zaciśnęła dłoń na sztywnym materiale, ciągle na wpół zamarzniętym po nocnym chłdzie. Gdy mówiła, z jej ust wydobywała się para wodna.

Biała chustka była widoczna z daleka, lecz ludzie, którzy przynosili drewno oraz żywność, i tak woleli nie rozmawiać z Elizabeth. Mimo to postanowiła odwdzięczać się im najlepiej, jak mogła, i zaczęła wystawiać na koźle wozu słoiki z własnymi przetworami. Cieszyło ją, że znikają, gdyż nawet w obliczu śmierci nie zamierzała być niczyją dłużniczką.

Zastanawiała się, kto teraz chciałby z nią rozmawiać i o czym.

- Sierżant Rawlings, proszę pani.

Elizabeth skinęła głową. Widziała tego człowieka wcześniej w warsztacie kowala.

- Proszę przekazać panu Millerowi, że jeszcze nie czas. Przykro mi - oznajmiła.

Następnie lekko odsunęła płótno i poczuła na twarzy powiew lodowatego wiatru. Starannie otuliła się kocem, po czym przeszło jej przez myśl, że jeszcze parę dni i już nie

będzie niczego odczuwała. A może kowal oczekiwał od niej dodatkowej zapłaty, gdyż przy niskich temperaturach trudniej było wykopać dół w twardej ziemi? Miała nadzieję, że nie, przecież dobili targu.

- Nie w tej sprawie przychodzimy - usłyszała. - Może pani wyjść, żebyśmy porozmawiali?

Elizabeth nie zamieniła z nikim słowa od kilku dni i wcale nie miała na to ochoty. Poza tym wolała przyjrzeć się mężczyznom uważniej.

- Proszę chwilę poczekać.

Sierżanta Rawlingsa widziała wyraźnie, lecz jego towarzysz stał plecami do niej. Początkowo doszła do wniosku, że to również żołnierz z fortu, lecz po uważniejszych oględzinach zorientowała się, że jest ubrany w skórzaną kurtkę z frędzlami. To z pewnością Indianin, uznała Elizabeth. Słyszała o nich okropne rzeczy, o których nie powinna nawet myśleć. Może przysłano Indianina, by najadła się strachu i dorzuciła coś jeszcze do zapłaty za przygotowanie grobu? Kowal mógłby nająć Indianina do kopania dołu, jeśli nie dostanie tego, czego żąda. Elizabeth wzdrygnęła się na myśl o tym, że poganin szykowałby miejsce jej pochówku.

Od śmierci męża starannie odliczała dni, zaznaczając je patykiem na ziemi przed namiotem. Zgodnie z własnymi przewidywaniami, powinna już być na tamym świecie, a tymczasem, nie wiedzieć dlaczego, żyła. Kto wie, może Bóg dał jej jeszcze trochę czasu na powściągnięcie złości i odbycie pokuty za gniew, który na niego czuła. Zdaniem Elizabeth, Wszechmogący niepotrzebnie zwlekał. Doskonale wiedziała, kto odebrał jej dziecko, i nic nie mogło tego zmienić.

Tak czy owak, nie zamierzała pozwolić na to, aby złożono ją w grobie wykopanym przez poganina. Cierpiała po śmierci bliskich, lecz ani razu nie poskarżyła się na stwórcę ani przed umierającym Matthew, ani przed lekarzem. Nie pozostało jej nic z wyjątkiem nadziei, że po śmierci spotka się z córeczką i mężem.

Zamknęła oczy i usiłowała przypomnieć sobie, co dokładnie powiedziała kowalowi, ale pamięć ją zawodziła. Mąż wielokrotnie powtarzał, że Elizabeth nie potrafi dobić targu jak należy, i miał rację. Powinna była jasno i wyraźnie poinformować pana Millera, że to on osobiście musi wykopać grób.

Nieopodal zarżał koń, a Elizabeth ponownie otworzyła oczy i spojrzała na mężczyzn. Wyglądali podejrzanie. Może to nie pan Miller ostrzył sobie zęby na resztki jej dobytku, może ci dwaj zapragnęli wszystko ukraść? Z całą pewnością rozmawiali o czymś o wiele poważniejszym niż machanie łopata. Jeśli postanowili ją zabić, to nie miała żadnych szans. Prawie żadnych. Sięgnęła po stary karabin, który trzymała na wszelki wypadek, ale jej ręka zawisła w powietrzu. Nie zdołałaby nikogo zabić, nawet gdyby złodzieje zamierzali odebrać jej wszystko, do ostatniego drobiazgu.

Pochyliła się i jeszcze raz obrzuciła przybyszów uważnym wzrokiem. Na twarzy sierżanta nie dostrzegła żadnych oznak chciwości, kiedy rozmawiał z Indianinem. Ani jeden, ani drugi nie wyglądał na rabusia. Na pewno chodzi o przetwory, doszła do wniosku i odetchnęła z ulgą. Żołnierz przyprowadził czerwonoskórego po to, żeby mieć pomocnika do przenoszenia słoików, nim popękają na mrozie. Matthew załadował na dno wozu mnóstwo rzeczy do sklepu, który zamierzał otworzyć, ale Elizabeth wiedziała swoje. Mąż nie potrafił wyżywić rodziny, więc przed wyjazdem z Kansas przyrządziła jak najwięcej przetworów. Dżemy i przeciery z jabłek zalała mieszaniną pszczelego wosku i łoju wołowego, żeby przetrwały do wiosny. Teraz ostatnie smakołyki leżały na odzieży z wełny, z tyłu pojazdu.

Po chwili namysłu Elizabeth uznała, że trudno się dziwić sierżantowi. W okolicy niełatwo było o przetwory, więc wojsko żywiło się niemal wyłącznie soloną wieprzowiną, fasolą i zieloną kawą. Widywała mężczyzn przekraczających bramę fortu; żaden z nich nie wyglądał zdrowo. Przyszło jej do głowy, że powinna była wcześniej przekazać żołnierzom swoje zapasy. Nawet najzwyklejsze marynaty, takie jak buraczki w occie czy kiszona kapusta, nie mogły się zmarnować tylko dlatego, że ona umierała.

Nagle mężczyzna w skórzanej kurtce nieco się przesunął i wtedy Elizabeth dostrzegła przy palisadzie fortu indiańską dziewczynkę na srokatym kucyku. Dziecko miało dziewięć lub dziesięć lat i było opatulone kocem, spod którego wystawał rąbek spłowiałej sukienki z perkalu i nogi obwiązane zwierzęcymi skórkami. Elizabeth nie rozumiała, czemu dziewczynka tak uważnie przygląda się obu przybyszom.

- Czy może pani wyjść przynajmniej na chwilkę? - wykrzyknął sierżant Rawlings.

Mężczyźni, pomyślała Elizabeth z niezadowoleniem. Pewnie żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że powinni jej dać w spokoju umrzeć, a dopiero potem zająć się przetworami. Zawsze stawiali żołądek na pierwszym miejscu. Pod tym względem Matthew nie różnił się od nich ani trochę. Oczekiwał od niej, że będzie mu przygotowywała posiłki nawet wtedy, gdy nie przynosił do domu ani skrawka mięsa czy choćby garści mąki.

Mimo to ogromnie brakowało jej męża i córeczki. Matthew był kiepskim żywicielem, ale dobrze ją traktował, a ona uczyła się, jak sprawiać mu drobne przyjemności. Gdyby mieli więcej czasu, z pewnością oboje odnaleźliby w końcu szczęście w małżeństwie. Dopiero przy nim poznała, czym naprawdę jest rodzina. Poza tym Matthew podarował jej Rose, wspaniałe dziecko, którym wszyscy się zachwycali.

Szczelniej owinęła się kocem i wyszła przed namiot. Panował przenikliwy chłód i nie chroniła jej nawet gruba warstwa materiału. Kiedy podeszła bliżej, mężczyzna w skórzanej kurtce nagle się odwrócił i po raz pierwszy ujrzała jego twarz.

- Och, przepraszam - wykrztusiła.

Nieznajomy wcale nie był Indianinem. Miał niebieskie oczy i niewątpliwie białą skórę, wokół oczu pokrytą zmarszczkami od mrużenia powiek, a do tego wysoko osadzone kości policzkowe. Poza tym jego nos nie był płaski, jak u widywanych przez Elizabeth Indian. Z bliska mężczyzna wydawał się bardzo wysoki.

- Nie ma za co - odparł sierżant Rawlings. - Przepraszamy, że panią nachodzimy.

Elizabeth skinęła głową i spróbowała pomyśleć o czymś, co pomogłoby jej uspokoić gwałtowne bicie serca.

- Nie przeszkadzają mi panowie - oświadczyła. - Musiałam tylko przygotować się do wyjścia z namiotu, gdyż nie oczekiwałam gości.

Choć zorientowała się, że ma do czynienia z białym, to i tak czuła się przy nim niezręcznie. Ani trochę nie przypominał Matthew, wydawał się zupełnie inny niż znani jej mężczyźni. Wielkie nieba, teraz obserwował ją z uwagą i marszczył brwi, knując zapewne jakąś niegodziwość.

- Niewątpliwie zaszła pomyłka - przemówił. - Ta kobieta nie wygląda na wdowę, wystarczy na nią spojrzeć.

Spodziewała się, że jego głos będzie chrapliwy, a tymczasem zabrzmiał całkiem miło, choć słycać w nim było niezadowolenie. Nie rozumiała, z czego wynika rozczarowanie mężczyzny. Czyżby jej wygląd nie przypadł mu do gustu? - pomyślała. I jakie to miało znaczenie?

- Niech pan się nie przejmuj tym, jak jestem ubrana - odezwała się niepewnie. - Zwykle prezentuję się nieco lepiej.

Elizabeth uświadomiła sobie, co widzi nieznajomy. Ukąszenia komarów na jej twarzy zanikły, ale ciągle miała na skórze piegi, które pojawiły się podczas podróży wozem. Lodowaty wiatr zdążył już oczyścić jej cerę z innych przebarwień, więc piegi prezentowały się nader wyraźnie. Mimo to nie nosiła nakrycia głowy, bo jedyny żółty czepek był sprany i wypłowiały.

Miała na sobie najlepszą suknię, tylko trochę ubrudzoną ziemią po tym, jak na czworakach przeciskała się przez wejście do namiotu. Nerwowo wygładziła fałdy szarej, jedwabnej tkaniny. Dostała ten strój od ostatniej rodziny, która ją zatrudniła. Był zniszczony, rzecz jasna, ale Elizabeth pierwszy raz w życiu miała na własność coś jedwabnego. Włożyła sukienkę w zeszłym tygodniu, kiedy uświadomiła sobie, że pan Miller nie zechce jej przebierać do pogrzebu.

- Nie twierdziłem, że żywię zastrzeżenia do pani wyglądu - zapewnił ją mężczyzna, a jego spojrzenie wyraźnie złagodniało. - Po prostu spodziewałem się kogoś sporo starszego i bez wątpienia nie tak urodziwego jak pani.

Elizabeth ze zgrozą patrzyła, jak nieznajomy wyciąga rękę i dotyka jej brody, jakby była strapionym dzieckiem, które wymaga pociechy.

- Wcale nie jestem urodziwa - burknęła i odwróciła głowę, żeby go zniechęcić.

Najbardziej zdumiało ją, że dotknięcie nieznajomego okazało się niespodziewanie łagodne. Odkąd sięgała pamięcią, ludzie ostrzegali ją, że przystojnym mężczyznom nie należy ufać, zwłaszcza jeśli jest się sierotą pozbawioną opiekunów lub obrońcy. Nieznajomy z pewnością usiłował ją zauroczyć i miał w tym swój cel. Matthew napomknął kiedyś, że Elizabeth ładnie wygląda, ale równie dobrze mógł mieć na myśli jej strój.

Przez moment zastanawiała się, dlaczego ten człowiek bredzi od rzeczy, a potem przyszło jej do głowy, że w końcu dostała gorączki. Prezentowała się lepiej, kiedy na jej policzkach pojawiały się rumieńce. To oczywiste: wreszcie zachorowała, i zwyczajnie jej to umknęło. Przyłożyła dłoń do czoła.

- Cóż, nie mogę oczekiwać, że pani mi pomoże. - Mężczyzna w skórzanej kurtce popatrzył na sierżanta i powiedział: - Potrzebuję kogoś innego. Na pewno znajdzie się ktoś stosowniejszy.

Zamierzała okręcić się na pięcie i schować w namiocie, kiedy sierżant stwierdził:

- Nie ma nikogo innego. Dla dobra dziecka musi pan ją poprosić.

- Jakiego dziecka? - spytała natychmiast Elizabeth i odsunęła dłoń od czoła. Rzecz jasna, nie doskwierała jej żadna gorączka.

Wcześniej pytała pana Millera, czy w forcie przebywają dzieci, a on odpowiedział, że nie ma ani jednego. Wtedy pomyślała, że kowal chce oszczędzić jej bólu. Mylił się. Straciła córeczkę, a mimo to gdyby w pobliżu znajdowało się jakieś dziecko, chętnie rzuciłaby na nie okiem, ze stosownej odległości, rzecz jasna. W żadnym razie nie chciała zarazić gorączką jakiegoś maleństwa.

Zauważyła, że mężczyzna w skórze przykłada dłoń do grubego czarnego futra, które trzymał na ramionach. Dopiero teraz zorientowała się, że w ciepłym okryciu leży niemowlę.

- Tego dziecka - wyjaśnił.

- Och! Czy mogę spojrzeć?

Mężczyzna odwrócił zawiniątko w jej stronę.

- Proszę się nie obawiać - oświadczyła pośpiesznie Elizabeth. - Nie podejść bliżej, więc na pewno nie zarazę pańskiej pociechy.

Mężczyzna zamarł i popatrzył pytająco na sierżanta.

- Powiedział pan, że nie jest chora - wycedził.

- I nie kłamałem. - Sierżant Rawlings skierował wzrok na Elizabeth. - Lekarz poinformował mnie, że gdyby była pani zarażona, z pewnością umarłaby pani parę dni temu. Właśnie szedłem przekazać pani tę wiadomość, kiedy spotkałem obecnego tutaj Jake'a.



- Nie zawsze potrafimy dokładnie określić moment śmierci - zauważyła z irytacją Elizabeth. Przecież nie od lekarza zależy, kiedy Bóg wezwie ją do siebie. - Jestem pewna, że wkrótce umrę.

- Ale teraz nie ma pani gorączki? - upewnił się mężczyzna.

- Nie, jeszcze nie, panie... - Wymownie zawiesiła głos.

- Proszę mówić mi Jake - przedstawił się.

Powinnam była się domyślić, że on jest nieokrzesany, pomyślała Elizabeth. Skoro ona zachowywała się kulturalnie w obliczu śmierci, miała prawo oczekiwać, że on, mężczyzna w pełni sił, przynajmniej okaże uprzejmość. Co prawda, ubierał się jak poganin, ale nie musiał demonstrować manier dzikusa. Powinien był przedstawić się z nazwiska.

- Jak długo chce pani czekać na gorączkę? - spytał.

- Nie mam pojęcia, panie...

Nie rozumiała, z jakiego powodu przejmuje się manierami tego mężczyzny. Chciała tylko, żeby wreszcie pokazał jej niemowlę.

Jake nawet nie próbował ukryć zniecierpliwienia.

- Skoro musi pani poznać moje nazwisko, żeby poczuć się lepiej, to proszę bardzo.

- Wzruszył ramionami. - Jake Hargrove, do usług.

- Doskonale, panie Hargrove. - Elizabeth skinęła głową. Od razu poczuła się lepiej.

- Nazywam się Elizabeth O'Brian i zamierzam pozostać tutaj do śmierci. Czyżby zależało panu na tym skrawku ziemi? - spytała, ponieważ właśnie uświadomiła sobie, że jej gościom może chodzić nie tylko o przetwory. Niewykluczone, że postanowili odebrać jej ten marny kawałek gruntu, który zajmowała.

Nie licząc samotnej topoli, na jej poletku nie rosło nic, nawet chwasty, bo już wcześniej wyrwała kilka ostów, które przetrwały w palącym słońcu minionego lata.

- Nie, skąd - zaprzeczył i po namyśle dodał: - Chodzi o panią. W okolicy mieszka niewiele kobiet i mężczyźni trudno znaleźć jakąś, kiedy jej potrzebuje.

- Słucham?!

- To nie tak, jak pani myśli - odezwał się sierżant Rawlings. - Chodzi o to, że dziecko jest głodne, nic więcej.

- Och. - Elizabeth odetchnęła głęboko i pomyślała, że jednak zobaczy dziecko.

Tymczasem Jake niepewnie wyciągnął niemowlę z futra na ramieniu. Dziecko miało zamknięte oczy. Elizabeth pomyślała, że śpi, ale w tym samym momencie otworzyło usta i przeraźliwie ziewnęło - zupełnie jak jeszcze niedawno jej Rose.

- Nie ma kto jej karmić - wyjaśnił Jake. - Pytałem wszędzie w Miles City, aż w końcu dotarłem do fortu.

- Miller chciał wydoić jednego z pani wołów - zauważył Rawlings. - Oczywiście ten pomysł nie miał szans wypalić.

- Raczej nie - zgodziła się Elizabeth i podeszła bliżej, ale na wszelki wypadek przystanąła w takiej odległości, żeby nie zarazić dziecka gorączką. - To mała dziewczynka, prawda? Gdybym mogła, na pewno bym ją nakarmiła.

Dziecko cicho zakwiliło, a Elizabeth poczuła, że jej piersi robią się ciężkie od mleka.

- Gdzie jest jej matka? - spytała.

- Nie żyje - odparł głucho Jake, a potem powtórzył to, co wcześniej powiedział sierżant: - Zdaniem lekarza, pani na pewno nie zarazi dziecka gorączką. - Popatrzył na nią uważnie. - Jest pani jej ostatnią nadzieją. Umrze, jeśli nie zje.

- Ale przecież...

Elizabeth z pewnością nie pozwoliłaby nikomu choremu dotknąć Rose. Dziecko, które teraz miała przed sobą, było wyraźnie osłabione i wyglądało jak jej córeczka przed śmiercią.

- Nie mogę... - zaprotestowała Elizabeth, ale machinalnie wyciągnęła ręce po niemowlę.

Pomyślała, że powinna spróbować pomóc dziecku, któremu groziła śmierć głodowa.

Jake podał jej niemowlę, a Elizabeth owinęła je własnym kocem i pochyliła się, żeby wrócić do namiotu. Podejrzewała, że obaj mężczyźni będą czekali na zewnątrz, ale nic jej to nie obchodziło. Znowu trzymała dziecko w objęciach, ponownie mogła opiekować się niemowlęciem.

Dziewczynka od razu wpadła w rytm karmienia, a kiedy skończyła jeść, Elizabeth siedziała z nią przez chwilę, nie odstawiając jej od piersi. Indiańskie dziecko miało czarne, miękkie włosy, lecz i tak było podobne do Rose.

Słyszała opowieści o białych mężczyznach, którzy przybywali w tutejsze strony i brali sobie Indianki za żony. Przez moment zastanawiała się, czy Jake Hargrove wziął kościelny ślub z matką dziecka. Dobrze, że Matthew nie widział jej przy cudzym niemowlęciu. Gdyby żył, niewątpliwie zabroniłby jej podawać pierś obcemu dziecku, zwłaszcza że mała była czerwonoskóra, a jej rodzice zapewne żyli w grzechu.

Słońce prawie zachodziło, kiedy Elizabeth uchyliła płachtę przy wyjściu z namiotu. Spostrzegła, że sierżant Rawlings już poszedł, natomiast Jake Hargrove tkwił przy wozie. Indiańska dziewczynka również przybliżyła się do pojazdu, choć nadal dosiadała kuca. Gdy Elizabeth wyszła na zewnątrz, Jake podszedł bliżej.

- Jak dziecko ma na imię? - zapytała i przekazała małeństwo Jake'owi.

- Jeszcze nie ma imienia. - Ponownie owinał niemowlę przerzuconym przez ramię futrem.

- Och, na pewno ma jakieś imię. - Elizabeth poprawiła koc na ramionach. Podobnie jak Matthew, miała nadzieję, że urodzi się im córka, więc wspólnie wybrali imię Rose, nim jeszcze przyszła na świat. - Teraz na pewno sobie pośpi.

- W plemienu Lakota nie ma zwyczaju nadawania dzieciom imion zaraz po narodzinach. Jeszcze nie zapracowała na własne imię.

- Moja siostra będzie miała na imię Wylewająca Łzy - oświadczyła nagle dziewczynka dosiadająca kucyka - bo jej lud płacze.

Elizabeth zdumiała się, że mała Indianka mówi po angielsku. Dobieranie słów nie przychodziło dziewczynce z łatwością, ale dało się zrozumieć, o co jej chodzi.

- Twoja siostra już nie należy do plemienia Lakota - przypomniał jej Jake - lecz do ludu twojego dziadka.

Dziewczynka nie odpowiedziała, tylko tkwiła nieruchomo na kucyku, z głową skierowaną na wschód i nieprzeniknioną miną, zupełnie jakby nie dostrzegała opiekuna. Elizabeth zdarzało się już słyszeć takie klótnie.

- Masz piękną sukienkę. - Uśmiechnęła się na wypadek, gdyby dziewczynka akurat raczyła obdarzyć ją spojrzeniem. - Małej dopisało szczęście, że ma starszą siostrę, która o nią dba.

- Nie mogę o nią dbać. - Dziewczynka pierwszy raz skierowała wzrok na Elizabeth.  
- Ona potrzebuje pani - dodała.

- Oczywiście. Zrobię, co w mojej mocy, do czasu, gdy znajdzie się inne rozwiązanie.

- Inne rozwiązanie? - spytał Jake. - Dziecko choruje po krowim mleku. Usiłowałem kupić w Miles City mleko w puszkach, takie, jakie dostawali nasi żołnierze w czasie wojny, ale nigdzie nie znalazłem. Właściciele sklepu nawet nie słyszeli o takim produkcie. Jest pani naszą jedyną nadzieją.

Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, Elizabeth i Matthew mieliby szansę otworzyć taki właśnie wielobranżowy sklep. Mąż powtarzał, że będzie prowadził sklep, a Elizabeth zajmie się Rose. Przechowywał w wozie mnóstwo rzeczy na sprzedaż. Tymczasem ich sny i marzenia rozwiały się bezpowrotnie. Matthew umarł tak nagle, że nie zdążył pomyśleć o utraconych szansach. Śmierć nie śpieszyła się jednak z zabranie Elizabeth, która pragnęła opuścić ten świat. Była przygotowana na śmierć.

Przebywający w formie lekarz bardzo troskliwie zajął się Matthew i Rose. Tak doświadczony medyk raczej nie pomyliłby się w diagnozie, więc chyba rzeczywiście nie jest chora. Zastanawiała się, czy przebadał indiańskie dziecko. Elizabeth była świadoma, że większość ludzi nie uznałaby za tragedię śmierci jeszcze jednego pogańskiego dziecka, ale dla niej byłby to dramat. Karmiła to niemowlę, tak bardzo podobne do Rose, i pragnęła, by przeżyło.

- Zrobię, co w mojej mocy - powtórzyła i popatrzyła na maleństwo ufnie wtulone w ramiona Jake'a. - Jeśli gorączka wystąpi, będziecie musieli odejść.

## Rozdział drugi

Jake Hargrove powrócił z fortu nocą i zmęczony położył się na posłaniu ze skóry bizona. Musiał przyznać, że pada z nóg. Zdarzało mu się skutecznie odpierać indiańskie napady i ataki wilczych watah, ale obecnie czuł się bezradny. Nie miał pojęcia, jak zdoła utrzymać przy życiu niemowlę, jeśli pani O'Brian się nim nie zajmie. Ludzie, z którymi rozmawiał, nie dodawali mu otuchy. Twierdzili, że po śmierci najbliższych straciła wolę życia. Na razie robiła, co mogła, aby pomóc jego małej bratanicy. Musiał przekonać ją, aby zgodziła się zaopiekować dzieckiem na dłużej.

Z miejsca, w którym leżał, dobrze widział jej namiot, oświetlony przez księżyc. Rozłożył własne posłanie zaledwie kilka jardów dalej. Niemowlę zostało z Elizabeth O'Brian, a Nakrapiana Sarenka przygotowała sobie posłanie przy wozie na tyle blisko, żeby usłyszeć płacz siostrzyczki. Dziewczynki nie spały tak daleko od siebie, odkąd Czerwony Ogon, przyrodni brat Jake'a, przyprowadził je obie do niego. Poprosił wtedy, by Jake otoczył je opieką i wychował w świecie białego człowieka, gdyż tylko tak mogły przeżyć.

Jake podjął się tego obowiązku, ponieważ wiedział, że to jedyna szansa dla dziewczynek. Siedzący Byk i pozostali Siuksowie Lakota walczyli z głodem w Kanadzie. Po pożegnaniu z córkami Czerwony Ogon wrócił na pomoc reszcie plemienia, zapowiadawszy, że w tym życiu raczej się nie spotkają.

Położył karabin na ziemi. Wcześniej upewnił się, że pani O'Brian ma w namiocie broń, z pewnością tę, którą otrzymała od kowala, kiedy odmówiła pozostania w forcie. Podobno oświadczyła, że nie może znieść hałasu i brudu. Gdy pierwszy raz usłyszał o tej kobiecie, zdumiał się, że nikt nie skłonił jej do przeprowadzki do Miles City, gdzie mogłaby wynająć pokój w nowo wybudowanym hotelu. Naga ziemia, taka jak tutaj, nie była dobrym miejscem dla kobiety ze wschodu. Miasto założono na przeciwległym brzegu rzeki Tongue, ale znajdowało się zaledwie kilka mil stąd.

Rzecz jasna, teraz już wiedział, że załoga fortu usiłowała rozmawiać z panią O'Brian. Podczas spotkania z panem Millerem dowiedział się, że z tą upartą kobietą praktycznie nie dało się pertraktować. Kowal zdołał jedynie uzyskać od niej obietnicę, że

gdy padnie ostrzegawczy wystrzał z karabinu, ona natychmiast pobiegnie do fortu. Pan Miller nie patrzył Jake'owi w oczy, kiedy to mówił. Obaj doskonale wiedzieli, że napastnicy mogą zachowywać się wyjątkowo cicho, więc raczej nie ma co liczyć na wcześniejsze ostrzeżenia. Gdyby wybuchła strzelanina, pani O'Brian nie wystarczyłoby czasu na ucieczkę.

Nie wszyscy Siuksowie umknęli do Kanady po bitwie z generałem Custerem. Część z nich, głównie ci młodzi i najdzielniejsi, ciągle pozostawała na swoim terytorium, mszcząc się za doznane krzywdy i kradnąc. Byli zdeterminowani i do samego końca gotowi zabijać wszystkich napotkanych białych, a także odbierać im konie. Między innymi z tego powodu Jake nie rozstawał się z karabinem. Najbardziej atrakcyjnym miejscem dla złodzieja była wojskowa zagroda, co oznaczało, że prędzej czy później należało się spodziewać przybycia Indian. Niewątpliwie zainteresowałoby się wówczas samotnym wozem, niechronionym przez palisadę, a także jego ładunkiem i młodą kobietą.

Pomyślał, że pani O'Brian powinna spędzać miło czas w jakimś eleganckim salonie na wschodzie. Nie miał pojęcia, co takiego skłoniło jej męża do przybycia w te surowe i niebezpieczne okolice. Nie pasowała do tego miejsca, niemniej nie zamierzał sugerować jej powrotu. Skoro już przyjechała, postanowił zapytać ją, czy nie zechce spędzić najbliższej zimy razem z nim.

Wijące z północy wiatry znamionowały rychłe nadejście zimy, a wraz z nią intensywnych opadów. Prowizoryczny namiot pani O'Brian wkrótce zniknie pod grubą warstwą śniegu. Jeśli jednak pozostałaby z nim i z dziewczynkami, mogła liczyć na suchy i ciepły kąt.

Niestety, aby razem zamieszkać, musieli wziąć ślub. Jake wiedział o tym wcześniej, jeszcze nim ją poznał. W Miles City niezyczliwym okiem patrzono na wszelkiego typu odszczepieńców, a on musiał mieć na względzie dobro dziewczynek. I tak z powodu charakterystycznej barwy skóry traktowano je podejrzliwie.

Gdyby ludzie dowiedzieli się, że Jake nie ożenił się z kobietą, z którą mieszka, wówczas cała czwórka trafiłaby na społeczny margines.

Rzecz jasna, gdy pierwszy raz usłyszał o wdowie, wyobraził sobie starszą, rzeczową kobietę, której nie trzeba będzie przekonywać do małżeństwa z rozsądku. Do głowy mu nie przyszło, że pani O'Brian będzie młoda i ładna. Wiedział, że razem z dziewczynkami będzie musiał stoczyć bitwę o akceptację społeczności Miles City, a jego przyszłej żonie przyjdzie stanąć przed koniecznością wspierania go w tej batalii. Niegodziwość ludzka nie znała granic i Jake czuł, że tej zimy jego małej rodzinie będzie wyjątkowo ciężko pod każdym względem.

Na samą myśl o tym poczuł się zmęczony. Gdyby płonęło ognisko, z pewnością sięgnąłby po Biblię, którą w dzieciństwie otrzymał od matki, również zupełnie nieprzystosowanej do życia w tej części świata. Jake odprężył się na wspomnienie rodzinnego domu ukrytego wśród potężnych, wysokich sosen. Jego ojciec przywiózł ich tam, nie wierząc w pogłoski, że dobre czasy dla traperów odeszły w przeszłość. Wyobrażał sobie, że skoro inni myśliwi dali za wygraną, on sam szybko się wzbogaci na sprzedaży futer, a tymczasem z najwyższym trudem udawało mu się utrzymać rodzinę.

Jake głęboko przeżył śmierć matki, która odeszła parę lat temu po ich przyjeździe na zachód. Od jej zgonu uboga chata już zawsze wydawała się pusta i smutna. Ojciec nigdy potem nie wspominał matki, ale bez wątplenia czuł się równie winny jej śmierci jak Jake.

Obaj mieli poczucie, że ją zawiedli. Ojciec nawet nie zaznaczył miejsca jej pochówku, więc Jake umieścił przed grobem płaski kamień, na którym wyrył imię matki, po czym doszedł do wniosku, że musi żyć dalej.

Jego ojciec znalazł sobie drugą żonę, Indiankę z plemienia Lakota, i miał z nią syna, którego nazwano Czerwony Ogon. Gdyby nie dziewczynki, Jake z pewnością nie ożeniłby się z żadną kobietą, zwłaszcza taką pokroju Elizabeth O'Brian. Za bardzo przypominała mu matkę. Ta ziemia ogromnie się zmieniła przez prawie czterdzieści lat jego życia, lecz nadal nie nadawała się dla ładnej młodej kobiety. Jake nie miał ochoty patrzeć, jak atrakcyjna wdowa gorzknieje i gaśnie z dnia na dzień, jednak dla dobra dziecka musiał pogodzić się z rzeczywistością.

Następnego ranka przez szczelinę w zasłonie u wejścia do namiotu Elizabeth zobaczyła ciężkie, szare chmury, zwisające nisko nad ziemią. Temperatura spadła nocą i zrobiło się naprawdę zimno. Widoczne w oddali urwiska wydawały się przyprószone śniegiem. Tej nocy nie spała najlepiej, więc obudziła się później, niż planowała. Dopiero po kilku godzinach udało się jej namówić starszą dziewczynkę, aby zbliżyła się do namiotu. Elizabeth bała się o nią i doszła do wniosku, że powinna mieć ją jak najbliżej siebie, jeśli nie obok, to przynajmniej tuż za płótnem.

Niemowlę obudziło się tylko dwukrotnie i zasnęło natychmiast po nakarmieniu. Elizabeth szczerze się uradowała, że mała miewa się lepiej. Liczyła na to, iż Jake zechce pozostać w okolicach fortu jeszcze przez kilka dni, gdyż mogłaby wówczas karmić dziecko, a on w tym czasie poszukałby odpowiedniejszej opiekunki.

W zimnym świetle poranka ostatecznie pogodziła się z faktem, że nie umrze, przynajmniej na razie. Zerknęła na pogrążone we śnie dziecko. Może Bóg pozostawił ją przy życiu, żeby uratowała to indiańskie maleństwo? Inne wytłumaczenie raczej nie miało sensu, choć Elizabeth i tak nie rozumiała, czemu Najwyższy zatroszczył się o tę pociechę, skoro bez wahania odebrał jej Rose. Żałowała, że nie spędzi całego dnia pod osłoną namiotu. Czy to jej się podobało, czy nie, Jake Hargrove czekał na zewnątrz i z pewnością chciał wiedzieć, jak się miewa dziecko.

Elizabeth starannie poprawiła koc, przykrywający uśpionego malucha, a następnie spróbowała zaczesać włosy do tyłu. Doszła do wniosku, że chyba powinna przemknąć się do wozu i przynieść lusterko. Gdyby przetarła policzki wilgotną ściereczką, pewnie odzyskałaby rumieńce.

Odchyliła zasłonę w wejściu. Ziemię pokrywała warstwa szronu, a ktoś wykopał dołek, żeby przygotować palenisko do gotowania, choć poczerniały popiół z ogniska Elizabeth leżał zaledwie jard dalej. Nie знаła mężczyzny, który przykucnął przy ogniu. Nosił zwykły mundur wojskowy i z pewnością należał do załogi fortu. Szybko powiodła wzrokiem dookoła. Nieznajomy nie przyniósł żadnego dobytku, z wyjątkiem imbryka na kawę, który stał w żarze na skraju ogniska, obok płaskiego, gorącego kamienia z przyrumienionymi sucharami.



Odetchnęła głęboko. Napój nie pachniał goryczą jak zielona kawa, której woń zwykle unosiła się w okolicy. Nie, taką kawę jak ta kupowało się wyłącznie w sklepie, a żołnierz pewnie przechowywał ją od miesięcy, żeby zaparzyć na specjalną okazję. Ten człowiek mógł świętować tylko z jednego powodu: rozbicia nowego obozowiska. To oczywiste; po prostu chciał zająć jej miejsce. Elizabeth przywykła, że nikt nie zwraca uwagi na jej potrzeby, i pogodziła się z tym. Ostatnio otarła się jednak o śmierć i postanowiła wreszcie coś zmienić w życiu. Nie chciała być popychadłem i nie obchodziło jej, jak akurat się prezentuje jej fryzura.

- To miejsce jest zajęte - oświadczyła i wyszła z namiotu.

Płótno chroniło ją przed szronem, lecz gdy dotknęła stopą ziemi, poczuła przenikliwy chłód. Chodziła tak dużo, że w lewym bucie zrobiła się jej dziura i teraz zimno przenikało przez pończochę, a podczas mówienia z jej ust wylatywały kłęby pary wodnej. Podobało się jej miejsce, w którym obozowała, i zamierzała tutaj pozostać.

- Jeśli chce pan rozbić obóz, to proszę się przenieść trochę dalej, w głąb wąwozu. Tam rośnie więcej topoli i suchych ostów, więc łatwiej będzie rozpałać ognisko. - Zauważyła, że gdy stoi w miejscu, ziemia pod jej stopami trochę się rozgrzewa.

- Nie rozbijam obozu - obruszył się mężczyzna i wstał. Nos mu poczerwieniał od porannego chłodu. Włosy starannie zaczesał do tyłu, nie żałując sobie brylantyny. Wydawał się dziwnie znajomy. - Szykuję pani śniadanie.

- Mnie?! - Elizabeth była pewna, że się przesłyszała. Natychmiast zapomniała o dobrych manierach i zmarzniętych stopach. - Po co?

Co opętało tego człowieka? Nikt nie przygotował jej śniadania, nawet rankiem tuż po narodzinach Rose. Może lekarz jednak uznał, że umrze, a ten żołnierz miał jej przyrządzić ostatni posiłek? Na litość boską, przecież istniały inne sposoby przekazywania ludziom złych wieści!

- Kto panu kazał przygotować mi śniadanie? - wykrztusiła. - Lekarz?

- Nikt mi nie kazał. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Sam wiem, że dobrze jest czasem przyszykować kobiecie śniadanie. - Uśmiechnął się, choć nie wyglądał na zadowolonego.

Elizabeth przyjrzała mu się bliżej. Najwyraźniej ogolił się dzisiaj rano, choć przecież to nie była niedziela. Żołnierze w forcie golili się wyłącznie na siódmy dzień tygodnia oraz na wyjątkowe okazje, takie jak Gwiazdka, tańce, no i pogrzeby, rzecz jasna. Obiecała sobie, że już nigdy nie posłucha lekarza, który nie umiał zliczyć dni. Pewnie stracił poczucie czasu i odkrył błąd, kiedy ponownie wszystko przekalkulował.

- Nadal umieram, zgadza się? - zapytała. - Proszę powiedzieć mi prawdę. Nie będę robiła zbytniego zamieszania.

Nie czuła lęku, w końcu od dawna spodziewała się śmierci.

- Nikt tu nie umiera. Lekarz uważa, że z pani to okaz zdrowia.

Elizabeth postanowiła nie słuchać, co ów człowiek miał do powiedzenia, tylko rozejrzała się ze zdumieniem. Żołnierz przyrządzający posiłek nie był jedynym mężczyzną w pobliżu. Z lewej strony zgromadziła się grupka ludzi z fortu, których wcześniej nie dostrzegła. Stali w milczeniu, a każdy ścisnął w dłoniach wielki bukiet zaszuszonego zielska z łąki.

- Coś się stało? - spytała z niepokojem, choć jednocześnie przyszło jej do głowy, że gdyby zdarzyło się coś naprawdę złego, mężczyźni trzymaliby w rękach karabiny, nie zaś pęki chwastów.

Jeden z mężczyzn zrobił krok naprzód i stanął wyprężony jak struna. Przy jego mundurze nie brakowało ani jednego złotego guzika. On również niedawno się ogolił, Elizabeth zauważyła na jego twarzy biały ślad po brodzie, tam, gdzie słońce nie spiekło skóry.

- Pomyślałem, że spodobają się pani te kwiaty - powiedział i wręczył jej garść czegoś, co wyglądało jak uschłe gałązki bawełny. Następnie wziął głęboki oddech i wyrecytował: - To powinny być róże, żeby pasowały do pani różanych policzków. - Ukłonił się sztywno i odsunął na bok.

Elizabeth nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Róże nie są dość piękne, by się równać z pani urodziwością - obwieścił drugi w kolejce i podstawił jej pod nos własny bukiet suszu. Przynajmniej przyszło mu do głowy, żeby dołączyć do zielska gałązkę szaławii, która nadała wiechciowi przyjemną woń. -

Zbieram pieniądze, żeby kupić kawałek gruntu, jak skończę służbę. Niezadługo będzie tu dużo bydła na pastwiskach, sama pani zobaczy.

Przyszła kolej na trzeciego jegomościa i dopiero wtedy Elizabeth pojęła, o co im wszystkim chodzi.

- Panowie przyszli tutaj, aby mi się oświadczyć? - spytała zdumiona.

Jeśli o nią chodziło, równie dobrze mogliby wysmarować ją smołą i oblepić pierzem. Takie zainteresowanie powinno jej pochlebiać, ale zupełnie nie była w nastroju na przyjmowanie adoratorów.

- Obawiam się, że zaszło nieporozumienie - ciągnęła. - Nie jestem... To znaczy, mój mąż i dziecko... Oni oboje...

Elizabeth dała za wygraną i z rezygnacją machnęła ręką w kierunku kopczyka świeżej ziemi na skraju wąwozu. Wcześniej przydźwigała największy kamień, jaki udało się jej znaleźć, i położyła go na miejscu pochówku, ale wiedziała, że to nie jest trwały nagrobek. Prędzej czy później musiał spaść ulewny deszcz i było jasne, że wówczas woda porwie głaz i zniknie wszelki ślad po grobie. Elizabeth pomyślała, że być może stanie się to nawet jeszcze wcześniej, gdy ktoś po prostu zabierze kamień.

Mężczyzna ściągnął kapelusz.

- Przykro mi bardzo z powodu pani straty, ale może zostałaby pani moją żoną?

- Pańską żoną? - powtórzyła niepewnie. - Przecież ja nawet pana nie znam!

Latami marzyła o założeniu rodziny, lecz nie przyszło jej do głowy, że całkowicie nieznajomy mężczyzna zechce wziąć z nią ślub. Matthew miesiącami chodził z nią do kościoła, nim wreszcie się oświadczył. W taki właśnie sposób cywilizowani mężczyźni starali się o rękę kobiety.

Jake podszedł tak cicho, że zauważyła go dopiero wtedy, gdy stanął u jej boku. Świadomość jego bliskości była, o dziwo, krzepiąca, gdyż Elizabeth miała nadzieję, że on zechce ją wyręczyć i wytłumaczyć natrętom, jak bardzo nie na miejscu są ich propozycje.

- Niech pan im powie - poprosiła go.

Nie bardzo wiedziała, jak to ująć, więc tylko wskazała ręką gromadkę żołnierzy.

- Panowie źle się do tego zabrali - wyjaśnił im Jake. - Ta młoda dama przykładła ogromną wagę do nazwisk. Przed oświadczyniami trzeba było się przedstawić - pouczył.

- Zaraz, zaraz, przedstawienie się nie załatwia sprawy... - Elizabeth urwała i uważnie popatrzyła na Jake'a. - Chyba nikt nie oczekuje, że wyjdę teraz za mąż?

Zupełnie nie wiedziała, co robić. Może ten cały Jake nie rozumiał, w czym problem. Elizabeth postanowiła go oświecić, gdy nagle zorientowała się, że zmienił skórzane ubranie na niebieską koszulę oraz czarne wełniane spodnie. Pośpiesznie odwróciła wzrok, aby nie sprawiać wrażenia, że się w niego wpatruje.

- Przecież wcale nie wiadomo, czy nie umieram - powiedziała z westchnieniem. Mogła podać inne argumenty, ale ta jedna informacja powinna im w zupełności wystarczyć. - A jeśli lekarz się myli? Grypa jest zaraźliwa, na pewno przeniosłabym ją na męża... gdybym zdecydowała się na ślub.

Wyprostowała się z założonymi rękami, przekonana, iż te słowa wystarczą, by dali jej święty spokój.

Jake powinien był przewidzieć, co się zdarzy. Oddalił się na krótko, żeby poprosić kowala o gorącą wodę, gdyż chciał się ogolić bez konieczności rozpalania ogniska. Po powrocie ujrzał mężczyzn i już wiedział, co się święci. Zapewne uporałby się z goleniem szybciej, ale chciał to zrobić starannie, uznał bowiem, że oświadczyny wymagają odpowiedniego przygotowania. Żołnierze zebrali się pod jego nieobecność.

Wiadomość o tym, że pani O'Brian jednak będzie żyła, rozeszła się błyskawicznie. W forcie brakowało kobiet, więc żołnierzom rzadko kiedy trafiała się okazja do ożenku. Gdyby nie strach przed grypą, niewątpliwie już wcześniej ustawiliby się w kolejce przed namiotem Elizabeth, by starać się o jej względy. Jake nie mógł ich winić za to, że korzystali ze sposobności. Wiedział, jak bardzo są znużeni towarzystwem samych mężczyzn, ale pomyślał z irytacją, że lepiej byłoby, gdyby umizgiwali się do innej kobiety.

Po ostatnich słowach Elizabeth żołnierze popatrzyli po sobie, zastanawiając się, czy lekarz faktycznie popełnił błąd w obliczeniach.

- Nie mogę wyjść za żadnego z tych panów. - Elizabeth spojrzała na Jake'a. - Widzę ich pierwszy raz w życiu, wcale ich nie znam. Są mi zupełnie obcy.

- Skoro zna mnie pani nieco dłużej niż ich, to może powinna pani wziąć ślub ze mną? - zaryzykował Jake.

Wbiła w niego wzrok tak, jakby się przesłyszała, więc postanowił mówić dalej:

- Przecież i tak będzie pani zmuszona coś zrobić przed nadejściem zimy.

Podczas gdy Elizabeth w milczeniu rozważała jego słowa, Jake słyszał jej przyśpieszony oddech i nagle zapragnął wziąć ją za rękę. Bał się tylko, że w ten sposób wcale jej nie pocieszy, tylko wprawi ją w jeszcze większy popłoch.

- A jak ona jednak zachoruje, to co? - odezwał się jeden z żołnierzy do drugiego. - Ożenisz się z nią i pewno też umrzesz.

- Nie sądzę - odparł zagadnięty. - Jak na mój gust wygląda całkiem krzepko, a na dodatek jeszcze jest ładna.

Dobra nasza, pomyślał Jake. Teraz Elizabeth nie wydawała się wystraszona, tylko ponownie nieco rozgniewana. Trudno mu było uwierzyć, że to wdowa w żałobie, kiedy na jej twarzy pojawiał się tak uroczy rumieniec, a w oczach niebezpieczne błyski.

- Oni mają rację. Jeżeli lekarz pomylił się w diagnozie, lada dzień mogę dokonać żywota - zauważyła, a Jake'owi przeszło przez myśl, że słyszy w jej głosie nadzieję. - Potrzebuje pan kogoś innego dla swoich córek.

- To moje bratanice, nie córki - wyjaśnił.

- Och.

- Diagnoza lekarza nie jest błędna - dodał. - Skoro czeka pani na pierwsze objawy choroby, równie dobrze może pani to robić jako mężatka.

- Jestem mężatką - odparła natychmiast Elizabeth i umilkła na chwilę. - A raczej byłam...

Jake skinął głową. Właśnie tego się spodziewał: ta kobieta nadal kocha męża. Cóż, tak chyba lepiej, w końcu potrzebował jedynie kogoś do opieki nad dziewczynkami, a nie żony w pełnym tego słowa znaczeniu. Musiał jej to wytłumaczyć.

- Nie proszę pani w swoim imieniu - wyjaśnił. - Chodzi o niemowlę.

- Nie muszę brać z panem ślubu, żeby zająć się dzieckiem. - Wzruszyła ramionami.

- Rzecz jasna, pomogę panu.

Jake skinął głową.

- Nie mogę przez całą zimę trzymać dziewczynek w forcie - odezwał się po chwili.
- Musimy wrócić do mojego domu, a tam ludzie nie rozumieją, czemu mieszkamy pod jednym dachem, a nie mamy ślubu.

Nie dodał, że dziewczynki nie będą mile widziane w forcie. Jedynymi Indianami byli tutaj tropiciele z plemienia Crow oraz Siuksowie, przetrzymywani wbrew własnej woli. Siłą rzeczy dziewczynki byłyby traktowane jak więźniowie, a Jake nie mógł ich na to narażać. Miały szansę zyskać akceptację cywilów, na pewno jednak nie mogły liczyć na życzliwość żołnierzy. Członkowie plemienia dziewczynek pokonali generała Cusiera i jego podkomendnych, a wojskowi nieprędko zapominają o porażkach.

- Mogłabym zabrać swój namiot - zaproponowała Elizabeth.

- Będzie pani musiała spędzać noce przy dziecku, a zimą ono nie może sypiać w namiocie. - Jake zaczął się zastanawiać, czy ta kobieta w ogóle ma pojęcie, jak tęgie bywają tutejsze mrozy.

Elizabeth skinęła głową.

- Mimo to nie musimy brać ślubu - upierała się.
- Mieszkańcy Miles City inaczej będą to widzieli.
- Nie obchodzą mnie plotki.

Jake westchnął ciężko.

- Mnie też nie, ale Nakrapiana Sarenka musi chodzić do szkoły - powiedział ze znużeniem w głosie.

- Rozumiem.

Mimo to nadal nie wydawała się przekonana, a w dodatku patrzyła na niego z rezerwą.

Jake od początku wiedział, że kobieta ze wschodu będzie miała problemy z przystosowaniem się do życia w tych okolicach. Nie podejrzewał jednak, że będzie jej trudno wytrzymać w jego towarzystwie. Zrzucił skórzane ubranie, ale i tak nie wyglądał jak stosowny kandydat na męża dla kogoś pokroju pani O'Brian. Nie stał się człowiekiem, na jakiego pragnęła go wychować matka. Nie pociągały go ani wielkie, ani małe miasta. Choć teraz miał na sobie wełnianą odzież, wołał naturalne skóry. Poza tym,

jako człowiek uczciwy, nie zamierzał zawierać układów niekorzystnych dla drugiej strony.

- Wystarczy nam tylko świstek papieru. Tak naprawdę zależy mi wyłącznie na kimś do dziecka - oznajmił szczerze.

Elizabeth milczała.

- To dobre dziewczynki - dodał.

- Och, w to nie wątpię - odparła.

Jake zdawał sobie sprawę z tego, że nie udało mu się jej przekonać. Elizabeth nieustannie spoglądała na kamień, jakby w obawie, że jej niedawno zmarli najbliżsi usłyszą, co mówi, i powstaną z grobu, by oskarżyć ją o nielojalność.

- To nie musi być prawdziwe małżeństwo - podkreślił z rozpaczą. - Jeśli pani zechce, anulujemy je na wiosnę.

Elizabeth wydawała się zasmucona.

- Dopiero co pochowałam męża. Nie potrzebuję następnego.

W dzieciństwie Jake nieraz się przyglądał, jak jego ojciec handluje skórkami. Każdy Indianin, bez względu na szczerp, potrzebował czegoś konkretnego, a dobry handlarz musiał uważnie obserwować klienta, żeby się przekonać, co to takiego. Jake szybko się zorientował, na czym naprawdę zależy Elizabeth.

- Przygotuję nagrobek dla pani męża i córki, jeśli zgodzi się pani mi pomóc - oświadczył. - Moglibyśmy sprowadzić z Fort Benton solidny, duży blok granitu. Taki kamień pozostałby tutaj na zawsze.

Elizabeth przyglądała mu się z uwagą.

- Wyryłbym w kamieniu imiona zmarłych, a także wszystko to, co by pani chciała. Na całym terytorium nie będzie ładniejszego nagrobka.

I tyle, pomyślał. Postawił wszystko na jedną kartę i nie miał już nic atrakcyjniejszego do zaoferowania.

- Och. - Elizabeth odetchnęła głęboko. - Matthew niewątpliwie przypadłoby to do gustu, ale...

- I jeszcze anioł! - Olśniło go zniecka. - Umiałbym wyryć anioła w rogu płyty, żeby czuwał nad pani córką.

Jake nie miał wielkiego doświadczenia w ryciu w kamieniu, gdyż jak dotąd wypisał tylko imię i nazwisko matki na jej nagrobku, lecz wieczorami strugał figurki z drewna i potrafił wyrzeźbić większość znanych sobie zwierząt. Równie dobrze mógł zatem stworzyć wizerunek anioła.

Elizabeth nerwowo zamrugała powiekami, ale nic nie mówiła.

- Proszę nie płakać - wykrztusił.

- Nigdy nie płaczę - odparła i potrząsnęła głową. - W porządku. Umowa stoi.

Tym razem to Jake zaniemówił z wrażenia.

- Przecież nie może pani za niego wyjść - zaprotestował któryś z żołnierzy w szeregu. - Jeszcze nie przeczytałem pani swojego wiersza. Napisałem dla pani poezję miłosną i w ogóle się postarałem.

Elizabeth odwróciła się do gromadki mieszkańców fortu.

- Przepraszam, nie podziękowałam panom jak należy - powiedziała. - Jestem zaszczycona, że tak pięknie mnie panowie wyróżnili. Czy mogłabym w ramach wdzięczności podarować panom po słoiku przetworów na zimę? Sama je przyrządziłam.

- To bardzo miło z pani strony - odezwał się żołnierz, który zdjął kapelusz. - Nie jadłem nic takiego od wyjazdu z domu.

Jake pomógł jej wręczyć czterem żołnierzom słoiki, a gdy wojskowi w końcu sobie poszli, Elizabeth zwróciła się do niego:

- Jak rozumiem, weźmiemy ślub wyłącznie ze względu na dzieci?

- Przenieś się do szopy, a dom przeznaczę dla pani i dziewczynek - uspokoił ją natychmiast.

Elizabeth skinęła głową.

- Dałam panu Millerowi swoje woły, a on zobowiązał się należycie mnie pochować, gdy przyjdzie pora. Oczekuję, że wywiąże się z obietnicy, nawet jeśli będzie musiał przyjechać do pańskiego domu i mnie przewieźć.

- Pan Miller nie jest już pani potrzebny, ma pani mnie.

- Doprawdy? - Popatrzyła na niego z powątpiewaniem. - Panie Hargrove, czy jest pan człowiekiem bogobożnym?

- Tak - potwierdził nieco zdumiony Jake.



Mimo tej zdecydowanej deklaracji nadal spoglądała na niego podejrzliwie.

- I wierzy pan w Boga z Biblii Świętej?

- Tak - przyznał z uśmiechem.

- Wobec tego... - Umilkła na moment, jakby ważyła słowa. - Czy obiecuje pan samodzielnie wykopać dla mnie grób?

- Jeśli tego pani sobie życzy.

- Nie chcę, żeby zobowiązywał się pan pochopnie. Wiem, że nie będę mogła pana dopilnować, więc muszę panu zaufać. Chcę, aby wykopał pan grób osobiście i żeby w trakcie pracy odmawiał pan w duchu modlitwę za zmarłych.

- Ma pani moje słowo - zapewnił ją szczerze. - Może pani na mnie liczyć, na dobre i na złe, przed śmiercią i po niej.

- Kiedy odejdę, chcę spocząć obok mojego dziecka - dodała.

- Dopilnuję tego. Pozostawię na nagrobku miejsce na pani imię.

Elizabeth z aprobatą skinęła głową.

- W takim razie chyba powinniśmy poprosić o zwrot wołów.

Jake wiedział, że przegra bitwę, jeśli niedostatecznie szybko przypieczeruje zwycięstwo.

- Odbiorę woły, a następnie od razu wyruszymy w drogę - oznajmił. - Znam pastora w Miles City, wielbnego Olsona. On udzieli nam ślubu.

- Nigdy nie dotarłam do Miles City, ale słyszałam, że jest tam pierwszorzędny kaznodzieja. Pan Miller obiecał, że poprosi go o przybycie i wygłoszenie kilku słów nad moim grobem, kiedy już... Sam pan rozumie. - Elizabeth wskazała głową mogiłę. - Chyba jednak nie dojdzie do tego tak szybko, jak zakładałam.

Jake żywił nadzieję, że pani O'Brian zaczyna powoli godzić się z nowym życiem.

- Wielbny jest dobrym człowiekiem - powiedział.

- Jeśli faktycznie spotkamy się z pastorem w sprawie naszego ślubu, chciałabym pozostać z nim na kilka minut, a dopiero potem złożyć przysięgę małżeńską.

Jake doszedł do wniosku, że Elizabeth jednak nie zamierza zaakceptować losu i żyć dalej. Pewnie chciała spytać wielbnego o pogrzeb. Trudno było powiedzieć, co

pastor sobie pomyśli, kiedy Jake przybędzie do miasta w towarzystwie panny młodej przejętej własnym pogrzebem, a nie ślubem.

Było oczywiste, że Elizabeth nie zadowolili się krótką rozmową z pastorem, tylko zacznie opowiadać o swoim dramacie każdemu, kto zechce posłuchać, aż w końcu wszyscy poznają prawdę, nawet starzy traperzy. Ludzie będą mieli niezłą uciechę, rozprawiając o kobiecie, która wolałaby uczestniczyć we własnym pogrzebie, niż wyjść za Jake'a Hargrove'a.

Mniejsza z tym, pomyślał. Nie żałował ludziom odrobiny uciechy przy wiecznym ognisku. Miał tylko nadzieję, że podczas pogawędek nie zapomną wspomnieć o oczach panny młodej. Musiał przyznać, że po tej stronie Missouri jeszcze nigdy nie widział równie pięknych. Barwą przypominały mech porastający sosny wysoko w górach, gdzie mieszkał w dzieciństwie.

Nawet krótkotrwałe małżeństwo z kobietą o tak cudownych oczach z pewnością warte było zachodu. Teraz należało się zastanowić nad tym, jak zapewnić Elizabeth szczęście i radość do czasu, gdy postanowi go opuścić. Nawet matka Jake'a przez kilka miesięcy usiłowała polubić tę ziemię, by w końcu uznać, że jej nienawidzi. Może doszłaby do tego wniosku później, gdyby ktoś w porę odwrócił jej uwagę od strapień? Uprzytomnił sobie, że kobiety lubią nowe stroje.

Zapewne powinien kupić Elizabeth jakąś ładną sukienkę, która pasowałaby do barwy jej oczu.

Nie od rzeczy byłaby też atrakcyjna broszka. Jego matka przywiązywała duże znaczenie do swojej skromnej biżuterii. A może powinien od razu zaproponować Elizabeth wynagrodzenie? Pieniądze były bardzo ważne dla kobiet ze wschodu. Nie miał jednak pewności, czy wypada zapłacić za zgodę na ślub. Rzecz jasna, wynagrodziłby sownie pannę młodą. W Black Hills, na południowym wschodzie, ukrył minionej wiosny nieco złota, więc nie brakowało mu majątku.

Na razie wolał jednak nie rozmawiać na temat pieniędzy.

## Rozdział trzeci

Nieopodal wjazdu do miasteczka Miles City wyrósł zagajnik złożony z topoli kanadyjskich, drzew wiotkich i niezbyt głęboko zakorzenionych w zasadowej glebie. Nawet taka skromna roślinność wystarczała jednak, aby odetchnąć od rozległej pustki terytoriów. Elizabeth odnosiła wrażenie, że Bóg spogląda w dół i od razu ją dostrzega, gdyż w okolicy nie było praktycznie niczego, co mogłoby przyciągnąć Jego wzrok.

Siedziała obok Jake'a na koźle wozu. Niedawno spadł deszcz, więc ziemia pociemniała od wilgoci, ale nie była na tyle grząska, żeby znacząco spowolnić jazdę. Elizabeth trzymała w objęciach niemowlę, chcąc choćby odrobinę uchronić je przed wstrząsami na wybojach nierównej drogi. Opuściła wzrok na maleństwo i uśmiechnęła się ciepło. Poprawiła kocyk, którym owinęła dziewczynkę. Jake właśnie wprowadzał wóz do miasteczka. Wówczas Elizabeth po raz pierwszy ujrzała główną ulicę.

- Tu jest mnóstwo ludzi - zdumiała się.

Rzeczywiście, wokół tłoczyli się przechodnie, a drogą sunęły liczne pojazdy. Elizabeth przypomniawszy sobie, jak Matthew twierdził, że powinni rozpocząć działalność od sprzedaży towaru z wozu, gdyż większość domów jest prowizorycznie sklecona z kawałków płótna i uszczelnianych błotem kłód. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że miejscowi mogą się zaopatrywać w sklepach, podobnie jak na wschodzie.

Ani jeden z okolicznych budynków nie był kryty płótnem, Elizabeth nie zauważyła również skromnych chat. Drewniane domy, najwyraźniej świeżo pomalowane, ciągnęły się po obu stronach placu, nazwanego Richmond Square. Dostrzegła nawet tabliczkę z nazwą. Miles City w niczym nie przypominało miasteczek poszukiwaczy złota, o których słyszał Matthew, a do budowy domów nie wykorzystywano sękatych gałęzi topoli amerykańskich, lecz przyzwoite, równe deski.

- Ktoś ściągnął tu mnóstwo drewna - zauważyła zaskoczona.

- Przetransportowano je parostatkami - wyjaśnił Jake. - Ja też przywiozłem tu drewno z Fort Benton. Zamierzałem przebudować swój dom, ale w końcu przyszło mi do głowy, że lepiej będzie oddać je szkole.

Elizabeth odetchnęła z ulgą, że nikt nie widzi flanelowych kombinezonów bieliznianych, ani też bel muślinu, które mąż ułożył na dnie wozu, licząc na szybką i korzystną sprzedaż.

- Nie stać nas było na podróż parowcem - powiedziała. - Matthew nakupił zbyt dużo towaru i musieliśmy sprawić sobie wóz. Na szczęście spotkaliśmy kilka innych wozów, które zmierzały w te okolice, więc podróżowaliśmy w grupie.

Zastanawiała się, co teraz powinna zrobić z rzeczami, a przede wszystkim z szorstkimi tkaninami o niskiej wartości. Najlepszym materiałem na sprzedaż była czerwona bawełna kaliko, własnoręcznie ufarbowana przez Elizabeth.

Większość ludzi nawet nie próbowałaby czegoś takiego, lecz ona w przeszłości nauczyła się tajników farbiarstwa od pewnej starej kobiety i odtąd skwapliwie korzystała z tej umiejętności. Nie wątpiła, że mogłaby sprzedawać niektóre kolorowe tkaniny, ale nie miała szans spieniężyć reszty przywiezionego towaru. Przechodnie na ulicach nie byli biednie ubrani, a zwłaszcza kobiety. Matthew wystarczyło pieniędzy wyłącznie na rzeczy najniższej jakości. Zakładał, że nim ludzie zaczną się domagać lepszych produktów, on zdąży zarobić pieniądze na ich kupno.

Elizabeth ze smutkiem odwróciła głowę od ruchliwej ulicy i spojrzała na mężczyznę siedzącego obok niej. Nie mogła uwierzyć, że wyjdzie za tego człowieka. Nadal czuła się żoną Matthew.

Wyjechali z fortu przed południem. Załadowała cały dobytek na wóz, a Jake'owi udało się przekonać pana Millera do zwrotu wołów, które teraz ciągnęły zaprzęg. Kowal podarował im nawet worek owsa z życzeniami wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Elizabeth nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy pan Miller wręczył im worek, wypakowała zatem z wozu sześć słoików smakowitej zielonej fasolki i ofiarowała mu z wyrazami wdzięczności.

Jake popatrzył na Elizabeth i powiedział:

- To miasto z każdym dniem staje się coraz bardziej ruchliwe. Otwarto hotel, bo podobno tędy będzie przebiegać linia kolejowa. Wojsko przeprowadza badania geodezyjne, a ludzie już się zastanawiają, gdzie położą tory. Uważam, że budowa będzie trwała latami, ale nikt tego nie wie na pewno.

Elizabeth sądziła, że Jake powie coś więcej na temat kolei, umilkł jednak, więc dalej rozglądała się po okolicy. Deszcz zamienił ziemię w gęste błoto, przez które brnęło kilka koni wierzchowych oraz powóz. Koła nie zakopywały się zbytnio, lecz na butach przechodniów gromadziła się gruba warstwa ziemi.

- Gdyby Matthew żył, mógłby znaleźć zajęcie jako sprzedawca w jednym z tych sklepów - powiedziała Elizabeth.

Przypuszczała jednak, że mąż nie zgodziłby się pracować u kogoś. Raczej dałby za wygraną i byłiby jeszcze biedniejsi niż w Kansas. Ponownie musiałyby zatrudnić się jako praczka. Nagle spostrzegła, że jedna z idących ulicą kobiet zatrzymała się i ze zdumieniem wpatruje się w Jake'a. Po chwili na jej twarzy pojawił się grymas złości. Zanim Elizabeth zdążyła spytać, kim jest kobieta, ona pośpiesznie odeszła.

- Prześlę wielebnemu krótki list, a na razie zrobimy zakupy - oznajmił Jake i zatrzymał wóz.

- Och, nie ma takiej potrzeby - zaprotestowała Elizabeth. - To znaczy proszę nabyć, co pan sobie życzy, ale nie dla mnie.

- Trzeba obsprawić dziewczynki i kupić to i owo do domu - zauważył.

Elizabeth zastanawiała się, czy on ma pojęcie, ile to może kosztować. Mimo to zachował się przemiło, myśląc o tym, co może być przydatne w domu. Matthew nigdy nie zaprzętał sobie głowy takimi drobiazgami.

- Wiem, jak żyć oszczędnie - zapewniła solennie. - Nie będziemy potrzebowali zbyt wielu sklepowych produktów.

- Chcę, żeby dziewczynki wyglądały porządnie.

- Z pewnością nie ma takiej potrzeby... - Elizabeth nagle ugryzła się w język, uświadomiwszy sobie, że mogłaby je urazić. - Nie chodzi o to, że są Indiankami, oczywiście.

- W ich żyłach płynie również krew białych - wyjaśnił jej Jake.

- Naturalnie, ale ja mam coś innego na myśli. Rzecz w tym, że one są tylko dziewczynkami, a jedna z nich to niemowlę.

- Chcę, żeby miały jak najlepsze ubrania. - Jake był nieugięty. - W razie potrzeby zamówimy nowe w San Francisco.

Elizabeth w milczeniu skinęła głową. Zrozumiała, że Jake unosi się honorem i nie zmieni zdania. Poznała męską naturę na tyle dobrze, żeby nie upierać się przy swoim. Nalegając, jedynie pogorszyłaby sytuację. Poza tym, nie wypadało jej, w końcu obcej osobie, obstawać przy swoim. Rzecz jasna, i tak zamierzała samodzielnie uszyć sukienki dla starszej dziewczynki i ubranka dla małej, a w sklepie postanowiła wybrać tańsze tkaniny. Przyszło jej do głowy, że mogłaby wykorzystać także muślin, który przywieźli z Matthew.

Z kory dębu dałoby się uzyskać lekko żółtawy barwnik, doskonale pasujący do muślinu.

- Pani również potrzebuje nowej sukni - dodał Jake. - Może w ciemnozielonym kolorze, żeby pasowała do barwy pani oczu.

Elizabeth nie miała barwnika, dzięki któremu zdołałaby ufarbować tkaninę na ciemnozielono. Zachowała trochę indygo, które po zmieszaniu z drzewnym popiołem dawało czerń. Nie pozostało więc nic innego, jak nabyć gotowy materiał.

- Wolałabym kupić herbatę i pokrywkę do garnka, żeby porządnie moczyć tkaniny - odparła.

Herbata była tańsza i materiał w niej barwiony wyglądał lepiej niż ten z fabryki. Już od tygodnia Elizabeth delectowała się najprawdziwszą herbatą. Ktoś zostawił całą puszkę na kozle wozu, razem z wojskowymi sucharami. Nie mogła należycie jej zaparzyć, gdyż miała tylko jeden garnek bez pokrywki, ale i tak ogromnie jej smakowała. Była pewna, że umiera, więc zrobiła się rozrzutna i w krótkim czasie zużyła sporo herbaty. W efekcie na dnie puszki została resztką.

Zatrzymali się przed dużym sklepem. Na ozdobnym szyldzie widniał napis: „The Broadwater, Bubbel and Company”. Nawet w Kansas Elizabeth nie widziała tak eleganckiego magazynu, a na wystawie takiej mnogości towaru. Liczni klienci wchodzili i wychodzili. Odetchnęła z ulgą, że w szarej jedwabnej sukni, nawet bez czepka do kompletu, prezentuje się w miarę przyzwoicie.

Jake zeskoczył z kozła i obszedł wóz. Wziął dziecko, wsunął je do futrzanego nosidełka i wyciągnął rękę ku Elizabeth, aby pomóc jej zsiąść na ziemię. Była mu wdzięczna za ten gest, choć sądziła, że uczynił to na pokaz. Tak naprawdę nie

potrzebowała jego asysty, ale widać chciał, by zachowywali się zgodnie z miejskimi obyczajami.

Już od progu poczuła przyjemny, korzenny aromat. Postanowiła uniknąć kłopotliwej sytuacji i żeby mimowolnie nikogo nie urazić, od razu uśmiechnęła się do kobiety stojącej za ladą. Sprzedawczyni nie odpowiedziała uśmiechem, tylko bacznie się przyglądała Elizabeth. Miała już dobrze po czterdziestce, a jasnobrązowe, zwinięte w kok włosy były gęsto poprzetykane siwizną.

- Dzień dobry, Annabelle - odezwał się Jake.

Na policzkach milczącej sprzedawczyni wykwitły rumieńce. Buńczucznie uniosła brodę, najwyraźniej gotowa do potyczki, ale wbiła wzrok w punkt po prawej stronie drzwi.

Elizabeth była pewna, że Annabelle nie odpowie Jake'owi, ale się pomyliła.

- Dzień dobry - mruknęła kobieta.

- Ma pani wspaniały sklep - zauważyła uprzejmie Elizabeth. - Półki są zastawione od góry do dołu. Widzę kawę i przyprawy, a także mąkę. Na pewno ma pani powody do dumy.

Sklep wydawał się dostatecznie dobrze zaopatrzony, żeby zaspokoić oczekiwania nawet najbardziej wymagającej klienteli. Lady, witrynę oraz półki zrobiono z ciemnego drewna. Z lewej strony znajdowała się kralnica do tytoniu, za sprzedawczynią stały puszki z pudrem do twarzy oraz małe lusterka z pędzelkami do kompletu, na ladzie zaś leżało kilka oprawionych w skórę książek. Na jednej z półek Elizabeth dostrzegła puszkę takiej samej herbaty jak ta, którą dostała od jakiegoś litościwego nieznajomego. Obok puszki stał śliczny porcelanowy imbryk.

- To nie jest mój sklep - sprostowała sprzedawczyni. - Ja tu tylko pracuję.

- Na pewno podpowiada pani właścicielowi, co warto kupić - ciągnęła niezrażona Elizabeth. - Poza tym nie widzę, żeby na półkach brakowało jakiegokolwiek towaru.

- Mamy duży wybór produktów - zgodziła się kobieta. Mówiła z takim trudem, jakby sprawiało jej to wielki kłopot. - Dla lepszych klientów.

Elizabeth zauważyła, że przez twarz Jake'a przebiega grymas.

- Nie wiedziałem, że dzielicie klientów na lepszych i gorszych - wycedził.

Annabelle milczała przez chwilę.

- Pańscy przyjaciele zjawili się tutaj rano, kiedy pan pojechał - oświadczyła w końcu.

- Higgins i Wells?

- Inni klienci się skarżyli.

- Wiem, że ci dwaj bywają hałaśliwi - przyznał Jake - ale jeszcze nie słyszałem, aby komuś wyrządzili krzywdę.

Annabelle popatrzyła koso na Jake'a.

- Uhm - odchrząknęła Elizabeth.

Zrozumiała, że musi się wtrącić, aby rozładować panujące napięcie.

- Jestem zaskoczona, że widzę tutaj tak okazały i znakomicie zaopatrzony sklep. Kiedy przygotowywaliśmy się do podróży, nie spodziewaliśmy się, że zastaniemy tu elegancki magazyn. Nie przypuszczaliśmy, że te okolice są tak zagospodarowane. Mąż pragnął... - Elizabeth zająknęła się, ale mówiła dalej: - Mąż marzył o otwarciu właśnie takiego lokalu.

Annabelle oderwała wzrok od Jake'a i w milczeniu popatrzyła na Elizabeth. Tymczasem on rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukał. Po czym ponownie skupił uwagę na sprzedawczyni.

- Chcemy kupić obrączkę - oznajmił.

Wielkie nieba! Elizabeth była zaskoczona. Nie była pewna, czy powinna wyjść za mąż za człowieka, który beztrąsko szasta pieniędzmi. Pogodziła się z faktem, że to ona zarabia na większość potrzeb rodziny. Musiała dbać nie tylko o siebie, lecz także o najbliższych, ale gotówkę bardzo trudno było zarobić, więc nie chciała jej wydawać pochopnie i lekkomyślnie.

- Nie potrzebuję nowej obrączki - szepnęła do Jake'a. Nie zamierzała wprawiać go w zakłopotanie w obecności Annabelle, ale musieli się dobrze zrozumieć. - Możemy skorzystać z tej, którą mam.

- Ani myślę używać obrączki po pani mężu.



Sprzedawczyni odwróciła się, aby poszukać czegoś na półce umieszczonej za ladą, a Elizabeth pomyślała, że pewnie chce zapewnić im namiastkę prywatności. Z godnością wygładziła suknię.

- Obrączka należała do mojej matki - wyjaśniła.

Otrzymała ją na pogrzebie rodziców i przechowywała latami. Matthew nawet nie krył zadowolenia, że nie musi kupować nowej.

- Powinniśmy unikać zbędnych wydatków - dodała cicho.

Annabelle odwróciła się i położyła tacę na ladzie.

- Pani jest tą kobietą? - spytała z nieskrywaną ciekawością. - Tą spod fortu Keogh, która straciła męża i córeczkę?

Elizabeth skinęła głową. Więc na tym polegał problem! - domyśliła się.

- Lekarz zapewnił, że minął czas, w którym mogłabym zachorować na gorączkę. Nie musi więc pani się obawiać.

Sprzedawczyni położyła dłoń na jej ręce.

- Serdecznie pani współczuję - powiedziała. - Poprosiłam jednego z żołnierzy, aby zaniósł pani puszkę herbaty, mam nadzieję, że ją pani otrzymała. Herbata wpływa na mnie kojąco, kiedy nie czuję się najlepiej.

Elizabeth momentalnie się odprężyła. Może Annabelle zachowywała się z dystansem tylko przy obcych? A może przyjaciele Jake'a zdenerwowali innych klientów, gdyż klęli bądź zachowywali się niestosownie? Niewykluczone, że doszło do zwykłego nieporozumienia - sprzedawczyni wydawała się całkiem miłą osobą.

- Ta herbata była uroczym upominkiem - oznajmiła Elizabeth z uśmiechem. - Chyba nigdy nie smakowała mi tak bardzo, jak w tamtych trudnych chwilach. Mam w wozie trochę kory, ale większość zużyłam, gdy mąż był chory.

Wątpiła, by jeszcze kiedyś mogła wypić herbatę z kory i jednocześnie nie przypomnieć sobie umierającego Matthew. Nie była w stanie znieść nawet specyficznego zapachu tego naparu.

- Ta herbata pochodzi z Anglii - powiedziała Annabelle. - Otrzymaliśmy ją z ostatnią dostawą towaru.

Elizabeth liczyła na to, że jej rozmówczyni powie coś więcej, ale sprzedawczyni zerknęła na Jake'a i w tym momencie cała jej życzliwość wyparowała. On tego nie zauważył, gdyż z uwagą wpatrywał się w lśniące obrączki.

- Interesuje nas wyrób ze złota, rzecz jasna - wyjaśnił po chwili.

Annabelle przygryzła wargę i nawet nie drgnęła. Jake popatrzył na nią wyraźnie zniecierpliwiony.

- Może zechciałby pan poczekać na zewnątrz, żeby pani mogła przymierzyć biżuterię - zaproponowała. - Kobiety lubią zastanowić się w spokoju - dodała, a na jej policzkach wykwitły rumieńce.

Elizabeth zauważyła, że Annabelle niełatwo przyszło wypowiedzenie tych słów.

Jake skinął głową, choć nie wydawał się ani trochę przekonany.

- Chyba i tak powinienem napisać list do wielbnego, bo inaczej wyjdzie ze szkoły, nim do niej dotrzemy - powiedział.

Sprzedawczyni powiodła za nim wzrokiem, kiedy opuszczał sklep i zamykał za sobą drzwi. Dopiero wtedy odwróciła głowę do Elizabeth.

- Nie mogę pozwolić, żeby pani to zrobiła - wyszeptała pośpiesznie. - Również jestem wdową i wiem, jak się żyje po stracie męża. Jake jest bardzo przystojny, ale chyba nie jest pani na tyle zdesperowana, aby za niego wyjść, prawda?

Zaskoczona Elizabeth nie była w stanie odpowiedzieć. Dopiero po dłuższej chwili oznajmiła:

- Wiem, że to się wydaje niezwykle. Znam go co prawda od niedawna, ale chyba jest dobrym, bogobojnym człowiekiem.

Nie zamierzała wtajemniczać Annabelle w szczegóły swojej umowy z Jake'em.

- Ktoś taki jak on powinien nieco bardziej bać się Boga - wycedziła sprzedawczyni.

Ktoś taki jak on? - powtórzyła w myślach Elizabeth.

- Jeśli chodzi o dziewczynki, to wiem, że są Indiankami, ale jak rozumiem, pan Hargrove to biały człowiek - powiedziała ostrożnie. - Poza tym wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi.

Elizabeth wiedziała, że nie jest do końca szczerą. Wcale nie była pewna, co sądzi o Bogu i Indianach, ale nie zamierzała przyznawać się do tego obcej osobie. Dziewczynki

zamieszkają tu i będą potrzebowały akceptacji mieszkańców. Była im winna przynajmniej przynajmniej odrobinę lojalności.

- Nie chodzi o dziewczynki, tylko o niego.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Co pani ma na myśli?

- Chodzi o to, że on jest wilkołapem. - Annabelle z dezaprobatą wykrzywiła usta. - A jeśli nawet nie on, to jego przyjaciele. Przyszli tutaj dzisiaj i mówili takie rzeczy, że niepodobna ich powtórzyć. To, co robią, jest obrzydliwe. Nawet Indianie są od nich lepsi.

- Wspomniał, że poszukiwał złota i był traperem - powiedziała Elizabeth.

- Dobre czasy dla traperów skończyły się przed laty. Nawet bizonów jest coraz mniej. Ci, którzy jeszcze zajmują się traperstwem, polują na wilki. Jego przyjaciele przyszli rano złożyć zamówienie na truciznę. Zażądali wielkiej torby strychniny. Powiedziałam im, że to wykluczone. Proszę sobie wyobrazić, że oni zabijają bizona, a następnie posypują go trucizną.

- Wielkie nieba, naprawdę?

Annabelle skinęła głową.

- Kiedyś myślałam, że ten cały Higgins to bogobożny człowiek, może i nieco szorstki w obyciu, ale pobożny. Mówił mi, że się modli, a nawet kiedyś spytał, czy mógłby odprowadzić mnie do domu po mszy. Zgodziłam się, a potem... - Przeszła z nogi na nogę. - Potem zaczął się przechwalać, jak to potrafi otruć nawet sześćdziesiąt wilków jednej nocy. Dzięki temu, że do nich nie strzela, w skórze brak dziur, więc dostaje najwyższą cenę za futro. Ludzie ze wschodu oczekują takiego towaru. - Annabelle była wyraźnie przygnębiona. - Oczywiście nie brakuje mu pieniędzy, ale niech pani sobie wyobrazi, jak straszna jest śmierć od strychniny, nawet dla wilka. Zwierzę pada w konwulsjach, toczy pianę z pyska... Poza tym umierają także inne stworzenia, nie tylko wilki. Giną ptaki, a ja kocham ptaki, nawet sępy. To okrutne i nieuczciwe, przecież zwierzęta nie mają żadnych szans.

- Dobry Boże... - wykrztusiła Elizabeth.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Znała Jake'a od niedawna, lecz nie wydawał się jej człowiekiem pozbawionym uczuć. Miała w wozie odrobinę trucizny, potrzebnej do farbowania tkanin. Indygo, niezbędne do sporządzania mocnej czarnej farby, było toksyczne, i należało obchodzić się z nim wyjątkowo ostrożnie. Elizabeth zawsze przechowywała preparat w szczelnie zamkniętym słoiku, by żadne zwierzę nie zjadło go przez pomyłkę.

- Jake mieszka nad Dry Creek, razem z tymi swoimi przyjaciółmi - kontynuowała sprzedawczyni. - Rozmawiałam z właścicielem sklepu i zgadza się on ze mną, że tym ludziom nie należy sprzedawać trucizny. Przyzwoici mieszkańcy robią, co w ich mocy, by Miles City cieszyło się dobrą opinią. Powiada się, że któregoś dnia przyjadą tutaj przedstawiciele kolei, aby przyjrzeć się nam lepiej. Nie chcę, żeby zobaczyli, jak sprzedaję strychninę wilkołapom.

- Nie chodzi o dziewczynki?

Sprzedawczyni pokręciła przecząco głową.

- Chciałam panią uprzedzić, nic ponadto - zapewniła solennie.

- Dziękuję.

Elizabeth zrozumiała, że wpadła w tarapaty. Pragnęła pomóc niemowlęciu, a teraz nie wyobrażała sobie ślubu z kimś pokroju Jake'a. Co z tego, że małżeństwo miało być fikcyjne, skoro i tak musiałyby przebywać z nim oraz jego przyjaciółmi? A gdyby któregoś ranka wsypali jej truciznę do herbaty? Była przygotowana na śmierć, ale nie chciała się stać ofiarą morderstwa.

- W mieście pewnie trudno o pracę? - zagadnęła.

- Virginia Parker niedawno zatrudniła się jako pianistka w saloonie parę kroków stąd.

- Och, nie mogłabym pracować w saloonie. Która przyzwoita kobieta byłaby do tego zdolna?

- Nie słyszałam ani jednej złej opinii o Virginii. To zająca, porządna osoba. Niełatwo znaleźć tutaj pracę, a jeśli już, to właśnie w saloonie.

- Na pewno są jeszcze inne możliwości. - Elizabeth nie dawała za wygraną. - Mogłabym uczyć w szkole; dobrze sobie radzę z rachunkami.

- Wielebny Olson uczy w szkole, nawet zna łacinę. Ale co z tego, skoro nie dostaje za to pieniędzy? Rodzice wkrótce mają się spotkać i omówić tę sprawę. Mój syn, Thomas, także chodzi do szkoły.

- Moje wymagania są skromne, zadowolę się byle czym - oznajmiła Elizabeth. - Przecież nie mam nikogo na utrzymaniu.

- Dobrze pani szyje?

- Jeśli wzór nie jest skomplikowany.

- Musiałaby pani umieć robić zakładki i marszczenia oraz szyć krynoliny, żeby zadowolić klientki. Większość pań zwykle sama szyje sobie suknie, za to kobiety z saloonów są gotowe sporo zapłacić za strój, oczekują jednak francuskich koronek i najmodniejszych wzorów. Specjalnie dla nich sprowadzamy najlepsze jedwabie. Zręczna krawcowa mogłaby świetnie zarabiać, szyjąc wymyślne stroje.

- Nauczyłabym się. Musiałabym tylko kupić odpowiednie wzory i wykroje.

- Niestety, właściciel nawet ich nie zamówił. Rzecz jasna, mogę pani zaproponować stare wykroje, ale...

- Och, mniejsza z tym. Tymczasowo mogłabym się zająć praniem. - Elizabeth wyprostowała się z determinacją. Była gotowa pracować i jednocześnie opiekować się indiańskim niemowlęciem, przynajmniej podczas najbliższej zimy. - Przywykłam do prania męskich koszul oraz bielizny.

- Sam Lee prowadzi zakład pralniczy. Może widziała pani jego szyld przy wjeździe do miasta? „Solidne Pranie i Fajerwerki”? To Chińczyk, który obsługuje większość miasta - wyjaśniła. - Trudno pani będzie z nim konkurować.

Elizabeth usłyszała szcęk otwieranych drzwi wejściowych.

- Z kim będzie trudno konkurować? - zainteresował się Jake i podszedł do lady.

Nie miał pojęcia, dlaczego Annabelle jest w kiepskim nastroju, ale nie mogła wybrać gorszego momentu na humory. Znał ją, gdyż prawie w każdą niedzielę chodziła do kościoła, podobnie jak on, i wydawała mu się rozsądna. Higgins wychwalał ją pod niebiosa, kiedy ostatnio spędzali razem czas przy wieczornym ognisku.

Może w tym sęk.

- Chyba nie chodzi o Higginsa? - spytał ją wprost.

Był traperem od dziesiątków lat, podobnie jak niegdyś ojciec Jake'a. Krążyła legenda, że kiedyś wziął się za bary z niedźwiedziem grizzly, a potem wrócił do rąbania drewna, jakby nigdy nic.

- Mówiłam o człowieku, który prowadzi pralnię - wyjaśniła sprzedawczyni. - Nie interesuje mnie pan Higgins.

- Rozumiem. - Jake spojrzał na Elizabeth. - Czy znalazła pani odpowiednią obrączkę?

- Niezupełnie - odparła z wahaniem. - Może powinniśmy skorzystać z obrączki mojej mamy, póki nie znajdziemy stosowniejszej.

- Czy jest pani tego pewna? Większość kobiet lubi nowe przedmioty.

Nie rozumiał, co się stało. Podczas rozmowy z nim Annabelle przez cały czas wpatrywała się w jego ramię, a Elizabeth niechętnie patrzyła mu w oczy, zupełnie jakby się zastanawiała przed podjęciem ostatecznej decyzji. Nie mógł jej za to winić. W sumie nie powinien żenić się z kimś takim jak ona i niepotrzebnie narażał ją na nieprzyjemności ze strony mieszkańców Miles City. A może jawna nieżyczliwość Annabelle miała związek z Higginsem?

- Nie oświadczył się pani, prawda? - spytał zniechęca Annabelle.

Annabelle mieszkała w Miles City od kilku miesięcy. Jej mąż pracował jako górnik, lecz któregoś dnia zmarł w następstwie postrzału. Jake podejrzewał, że sprzedawczyni wychowała się na wschodzie.

- Wiem, że tutaj żyje się inaczej - dodał. - Mężczyźni na ogół nie mają czasu na zaloty, więc od razu przechodzą do rzeczy, ale nie chcą nikogo urazić.

Jake'owi przeszło przez myśl, że mówi nie tylko w imieniu przyjaciela, lecz również w swoim.

- Pan Higgins z całą pewnością nie poprosił mnie o rękę - oznajmiła podniesionym głosem Annabelle. Na jej policzkach pojawiły się jaskraworóżowe rumieńce i sprawiała wrażenie zirytowanej. - Wie, że traciłby czas, jestem wdową pograżoną w żałobie. Żadna przyzwoita kobieta nie zrobiłaby takiego głupstwa... - Urwała i z popłochem w oczach popatrzyła na Elizabeth. - Och, nie to chciałam powiedzieć...

- Proszę się nie przejmować. - Elizabeth machnęła ręką.

Wydawała się bardzo zmęczona i po raz pierwszy Jake zapragnął ją przytulić i pocieszyć. Nie zasługiwał na tę kobietę, niemniej zamierzał chronić ją ze wszystkich sił.

- Nie musi pani poznawać Higginsa, jeśli nie ma pani ochoty - zwrócił się cicho do Elizabeth. - Zazwyczaj i tak nie zapraszam ich, tylko składam im wizytę. - Pomyślał, że najlepiej będzie trzymać ją z daleka od starych druhów traperów.

- Pańscy przyjaciele zawsze będą mile widziani w pana domu - oznajmiła. - Nie będę im stawała na drodze, to przecież nie jest moja sprawa.

- Również pani, przecież ten dom będzie nasz wspólny.

W tym momencie zadał sobie pytanie, co pani O'Brian pomyśli o jego czterech kątach. W gruncie rzeczy trudno je nazwać domem. W trakcie budowy zdecydował się przekazać całe dobre drewno szkole. Zgodnie z umową, za jakiś czas, kiedy szkoła się wzbogaci, miał otrzymać zwrot pożyczki, ale postanowił machnąć ręką na dług. Dzieci potrzebowały książek bardziej niż on lepszej chałupy, zwłaszcza że mieszkał sam.

Rzecz jasna, nie był już sam, miał bratanice i Elizabeth... Pomyślał, że jeszcze trochę, a w jego gospodarstwie pojawi się pies. Powinien był wybudować coś bardziej solidnego, ale teraz było za późno na refleksje. Dobre drewno trafiło w inne ręce, a jego chata już stała.

Do jej wzniesienia wykorzystał drewno topoli amerykańskich, której pnie jednak nie wystarczyły na całą ścianę domu. Zgodnie z miejscowym obyczajem, Jake wykopał dół i wbił pnie pionowo, jeden obok drugiego, a następnie uszczelnił konstrukcję błotem, wapnem i gałązkami, tak samo, jak to robili żołnierze w forcie. Naprzeciwko paleniska umieścił okno z prawdziwego szkła, choć wystarczyłaby natłuszczona skóra jelenia. Nie przejmował się za to podłogą i tylko mocno ubił ziemię, na której rozpostarł kilka skór bizonów.

To, co jemu wydawało się przytulnym schronieniem na zimę, nie mogło zachwyć kobiety, która przywykła do wygod. Niepotrzebnie się łudził, że będzie inaczej. Może Annabelle usłyszała coś od Higginsa i ostrzegła panią O'Brian?

Jake objął przyszlą żonę ramieniem i zorientował się, że jest spięta. Czyżby miała ochotę się odsunąć, ale powstrzymywała się siłą woli? Może jego dotyk ją brzydził? Żadna z tych myśli nie była przyjemna.

- Nie potrzebuję pańskiego domu - oświadczyła Elizabeth. - Mam swój wóz. - Odsunęła się. - Dziękuję pani za pomoc. Naprawdę jestem pani wdzięczna - zwróciła się do Annabelle, która skinęła głową.

- Proszę do nas zaglądać i niech Bóg ma panią w opiece.

A to dopiero, pomyślał Jake z niedowierzaniem, obserwując, jak Elizabeth wychodzi ze sklepu. O ile się nie mylił, jego narzeczona ciągle brała pod uwagę możliwość zimowania w wozie, a nie w jego chacie. To nie miało najmniejszego sensu, nawet z punktu widzenia kobiety ze wschodu, która nie znała tej części Ameryki. Może wyjaśni mu, co jej leży na sercu, jeśli da jej trochę czasu do namysłu?

Elizabeth zastanawiała się, co powinna zrobić. Wyszła na zewnątrz i uważnie rozejrzała się po ulicach Miles City. W żadnym oknie nie zauważyła napisu. „Zatrudnię pomoc” i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem pastor nie mógłby jej czegoś doradzić.

Z zadowoleniem zorientowała się, że Jake nadal przebywa w magazynie. Przed sklepem po przeciwnej stronie ulicy stała rudowłosa kobieta w niebieskiej sukni i z pochyloną głową zawzięcie perorowała, zwracając się do dwóch kobiet ubranych w proste suknie z perkalu oraz czepki. Dobrze wiedzieć, że w mieście są jeszcze skromnie ubrani ludzie, pomyślała Elizabeth. Po chwili uświadomiła sobie, że kobiety przestały dyskutować i wbiły w nią wzrok. Nie, nie w nią. Zerknęła w lewo i ujrzała Nakrapianą Sarenkę. Bratanica Jake'a nie ruszyła się na krok. Z pewnością zauważyła wrogie spojrzenia posyłane jej przez niezyczliwe nieznajome. Elizabeth podeszła do dziewczynki.

- Nie zwracaj na nie uwagi - powiedziała. - Są tylko zaciekawione, nic ponadto.

Nakrapiana Sarenka wzruszyła ramionami.

- Wszystko jedno.

Ten ton i te słowa były dobrze znane Elizabeth. Reagowała identycznie, traktowana z wyższością w czasach, gdy pracowała jako pomoc domowa w Kansas. W tym momencie Jake opuścił sklep i poprowadził Elizabeth oraz bratanicę w kierunku szkoły.

Nie wspomniała mu o kobietach. Powtarzała sobie, że powodowała nimi ciekawość, nic ponadto. Zapewne to właśnie ona, Elizabeth, wzbudziła ich większe zain-



teresowanie. W końcu nieczęsto się zdarza widywać na zakupach osobę, która powinna nie żyć. Niewykluczone, że panie bały się zarażenia gorączką.

Kiedy przechodzili obok saloonu, Elizabeth mimowolnie zerknęła przez okno i przy pianinie zobaczyła kobietę, blondynkę o zaczesanych do góry włosach, w białej bluzce i w szarej spódnicy.

- Ta kobieta naprawdę tutaj pracuje? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tylko dlatego, że Colter to dobroduszna pocziwina - odparł Jake. - Brat Virginii był żołnierzem i zginął kilka tygodni temu, więc dziewczyna potrzebuje pracy. Jej drugi brat wyruszył na poszukiwanie złota.

- Nie jest ubrana tak, jak się spodziewałam.

Elizabeth jeszcze nie była tego pewna, ale wydawało się jej, że mogłaby pracować w tym saloonie, gdyby pozwolono jej ubierać się przyzwoicie i trzymać z dala od klientów. Na ladzie baru stało kilka brudnych szklanek, a barman nalewał whisky.

- Czy właściciel zatrudnia kogoś do zmywania naczyń? - drażyła.

- Zwykle zajmuje się tym Danny, ale na razie siedzi za kratkami, bo ukradł komuś zegarek - odparł Jake. - Colter nie zatrudni pani, jeśli o to chodzi. Dama nie pasuje do tego lokalu, a już na pewno nie powinna pracować tu jako pomywaczka.

- Nie jestem damą i nie widzę niczego zdrożnego w zmywaniu naczyń. Ludzie mają prawo do czystych szklanek, bez względu na to, co z nich piją.

Jake wpatrywał się w nią z powątpiewaniem.

- Powiedziałbym, że każda kobieta ma także prawo do obrączki.

Elizabeth nie wiedziała, co na to odrzec. Nie potrzebowała nowej obrączki, podobnie jak nowego męża. Musiała jednak przyznać, że pragnęła dłużej potrzymać dziecko w objęciach i chętnie ujrzałaby uśmiech na ustach Nakrapianej Sarenki. Nie była pewna, co powie, kiedy pastor ją zapyta, czy chce wziąć Jake'a za męża.

- Jak pan zarabia na życie? - spytała nieoczekiwanie i zerknęła na Jake'a spod oka.

- Nie jestem bankowcem, jeżeli o to pani chodzi - odparł z przekąsem Jake. - Na dobrą sprawę nie wiem, kim jestem. Natrafiłem na złoto w Black Hills, więc teraz mam go dostatecznie dużo, żeby kupić stado bydła, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Ten kraj się zmienia, więc my powinniśmy się zmieniać razem z nim.

- Nie truje pan wilków?

- Nie truję żadnych zwierząt - wycedził.

Elizabeth mu uwierzyła.

Inna rzecz, że Jake mógł ukrywać jakieś mroczne sekrety, skoro miał takich przyjaciół. Zaczęła się zastanawiać, skąd weźmie świadków, o ile faktycznie zdecyduje się na ślub. Nie знаła żadnej osoby, do której mogłaby się zwrócić w tej sprawie.

Uniosła rękę i przygładziła włosy. Przed złożeniem namiotu umyła się najstaranniej, jak zdołała, z czego była bardzo zadowolona. Nawet jeśli wydawała się nieco rozczochrana po podróży, to przynajmniej nikt nie mógł jej zarzucić, że jest brudna.

Nagle usłyszała za plecami plaskanie butów w błocie i odwróciła się gwałtownie.

- Skąd pan ją wziął? - spytała kobieta w niebieskiej sukni.

Jej towarzyszki patrzyły oskarżycielskim wzrokiem na Jake'a.

Elizabeth była wstrząśnięta wrogością w głosie nieznajomej. Tłumaczyła sobie, że zapewne boi się śmiertelnej gorączki, i to strach skłania ją do nieprzyjaznego zachowania. Po chwili zorientowała się, że kobieta nie patrzy na nią, lecz na Nakrapianą Sarenkę.

- Dzień dobry, pani Barker - odezwał się Jake. - To moja bratanica.

- Ona jest jeszcze dzieckiem - dodała Elizabeth. Kto mógłby się bać dziecka?

- To poganka - oświadczyła dobitnie pani Barker. - Trzeba ją odesłać do tamtych ludzi.

- Jestem jej krewnym.

- Absurd, każdy przyzna, że ona nie ma z panem nic wspólnego. Przez pewien czas mieszkał pan z tymi ludźmi, ale nie stał się pan jednym z nich. Proszę ją zabrać tam, gdzie jest jej miejsce, wśród innych pogan. - Pani Barker wskazała ręką pola za miastem.

- Bratanica nie jest poganką - sprostował Jake. - Wierzy w tego samego Boga, co ja i pani.

- Bardzo w to wątpię. A teraz proszę uważnie mnie wysłuchać: w tym mieście nie życzymy sobie takich jak ona. Bóg nie chce, aby ludzie się mieszała. Każdy powinien się trzymać swoich, zwłaszcza poganie.

- W Biblii nie jest napisane nic podobnego.

- A powinno być, bo nie zamierzamy tego tolerować. Niech pan to sobie zapamięta.

Kobiety lekko uniosły suknie i odeszły. Elizabeth powiodła za nimi wzrokiem.

- Przepraszam panią za ten incydent - odezwał się Jake.

- To nie pańska wina.

Usiłowała zapanować nad złością. Nawet w Kansas kobiety, które traktowały ją z wyższością, nie posunęły się do takiej nieuprzejmości. Nikt nie powinien zachowywać się tak jak pani Barker i jej przyjaciółki. Do niedawna Elizabeth nic by sobie nie robiła z takiego postępowania, ale nie zamierzała pozwolić na to, by ktoś traktował niewinną dziewczynkę jak kryminalistkę tylko dlatego, że miała inny kolor skóry.

Dostatecznie dobrze znała się na barwnikach, aby wiedzieć, że niemal każdy materiał można przefarbować na czerwono, żółto lub niebiesko bez zmiany jego jakości. Tkanina pozostaje taka sama, nie staje się lepsza ani gorsza tylko dlatego, że ktoś nada jej inną barwę.

Nakrapiana Sarenka miała rodzinę, między innymi stryja, w ich żyłach płynęła ta sama krew. Elizabeth nie chciała, żeby cokolwiek stało się Jake'owi oraz jego bratanicom. Właśnie w tym momencie podjęła decyzję, że jednak wyjdzie za mąż za Jake'a. Nie dbała o to, czym zajmuje się Higgins, ani o to, czy te wstrętne kobiety wygnają ich z miasta. Była gotowa bronić Nakrapianej Sarenki oraz niemowlęcia, zwłaszcza że doskonale wiedziała, jak to jest być osieroconym dzieckiem.

- Nie zwracaj na nie uwagi - odezwała się do Sarenki, ale dziewczynka zignorowała ją, podobnie jak wcześniej napastliwe kobiety.

Wkrótce zatrzymali się przy schodach białego domu, skromniejszego niż sklepy i nieodgrozonego od jezdni chodnikiem. Weszli po schodach i Jake zapukał do drzwi. Po chwili usłyszeli głos mężczyzny, który zaprosił ich do środka.

- Lekcje na dzisiaj się skończyły, więc wielebny będzie miał dla nas czas - wyjaśnił Jake i otworzył drzwi.

Nakrapiana Sarenka stanęła z prawej strony, tak samo jak przed wejściem do sklepu. Elizabeth zrozumiała, że dziewczynka nie czuje się mile widziana.

- Mam nadzieję, że wejdiesz z nami - zwróciła się do niej.

Sarenka ani drgnęła.

- Jak chcesz, możesz potrzymać dziecko - dodała cicho Elizabeth. - Nie wiem, czy w środku jest odpowiednie miejsce na to, żeby je położyć. Zaczekaj kilka minut i wejdź ze stryjem, dobrze?

Dziewczynka skinęła głową.

- Dobrze.

- Dziękuję. - Elizabeth spojrzała na Jake'a, który trzymał w zawiniątku niemowlę. - Powiedział pan, że mogę zamienić z pastorem parę słów, zanim...

W odpowiedzi skinął głową.

Elizabeth liczyła na to, że duchowny pocieszy ją w trudnej sytuacji życiowej. Ślub niedługo po stracie męża wydawał się jej nie na miejscu, skoro nadal obowiązywała ją żałoba. Co prawda, Jake zaproponował białe małżeństwo, ale przecież nikt poza nimi o tym nie wiedział. Postanowiła przyjąć oświadczenia, choć czuła, że w rezultacie narobi kłopotów nie tylko sobie, lecz również innym.

Konieczność musiała porozmawiać z pastorem i liczyła na to, że ją zrozumie.

## Rozdział czwarty

Światło wpadało do środka przez trzy okna, po jednym na bocznych ścianach i dodatkowym przy drzwiach. Pod bocznym oknem stała drewniana, oszklona szafka z roślinami doniczkowymi oraz książkami oprawionymi w skórę. Na ścianie przy piecu wisiała duża mapa, w przeciwległym kącie znajdował się jeszcze jeden piec. Elizabeth pomyślała, że dzieci muszą dobrze się czuć w tym przytulnym miejscu.

Na jej widok pastor wstał zza biurka.

- Z pewnością pani Elizabeth. - Uśmiechnął się życzliwie. - Jestem wielebny Olson. Jake przesłał mi wiadomość.

Duchowny przeszedł między prostymi ławkami o długich pulpitych, na których znajdowały się kałamarze i kawałki kredy. Elizabeth podejrzewała, że dzieci nie rozstawały się z ołówkami - materiały piśmiennicze były zbyt cenne, aby narażać się na ich zgubienie.

Jake dotrzymał słowa i nie wszedł za nią do szkoły, więc Elizabeth zamknęła za sobą drzwi. Siwowłosey duchowny zatrzymał się jard od niej.

- Żałuję, że przebywałem poza miastem, kiedy pani bliscy zachorowali - powiedział. - Niestety, musiałem pojechać do Fort Benton po podręczniki dla dzieci.

- Wielebny nic nie mógł na to poradzić - odparła Elizabeth.

Oceniała jego wiek na mniej więcej pięćdziesiąt lat. Nosił sfatygowany, brązowy garnitur, ale biała koszula była świeżo wyprasowana. Spoglądał na Elizabeth ze współczuciem, którego nie oczekiwała od nikogo.

- Mógłbym pojechać z panią na grób, wspólnie zmówilibyśmy modlitwę, jeśli miałaby pani ochotę - zaproponował życzliwie. - O ile poprawiłoby to pani samopoczucie.

- Może później, kiedy Jake postawi nagrobek. Wtedy będzie lepiej... - Zawiesiła głos, a po chwili dodała: - Mam nadzieję, że wówczas uda mi się stawić czoło tej tragedii.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie zmówiła modlitwy podczas pogrzebu. Lekarz z fortu odczytał nad grobem kilka ustępów z Pisma Świętego i wypowiedział

słowa modlitwy, lecz Elizabeth zachowała milczenie. Nie rozpląkała się nawet wtedy, gdy wszyscy już poszli. Nie pograżyła się w żałobie po śmierci bliskich, tylko spokojnie czekała na chwilę, w której do nich dołączy. Była przekonana, że tak się stanie. Teraz jednak...

Wielebny skinął głową.

- Trudno jest żyć po śmierci ukochanej osoby.

- Oni byli mi najbliżsi na świecie, a Bóg zabrał ich całkiem niepotrzebnie.

- Wiem, że trudno to pojąć.

Elizabeth popatrzyła na niego ostro.

- Czy wielebny ma żonę? - zapytała wprost.

Pastor skinął głową.

- Zatem wielebny nie wie, co czuję. - Jej głos przepełniała złość. - Przed ślubem z Matthew nie miałam rodziny, a teraz... - Rozłożyła ręce. - Staralam się być dobra, ale chyba niepotrzebnie, bo znowu jestem sama jak palec.

- Bóg jest z panią.

Chwilę namyślała się, co odpowiedzieć. Wielebny Olson uśmiechnął się do niej krzepiąco.

- To prawda, że nie zawsze jest łatwo dostrzec jego wpływ na nasze życie, ale On i tak nas kocha.

Elizabeth nie mogła dłużej milczeć. Dotąd dusiła w sobie słowa, lecz dalej nie była w stanie. Musiała je wypowiedzieć.

- Nie obchodzi mnie, czy mnie kocha, bo we mnie zabrakło już miłości do Niego! - wykrzyknęła. - Odebrał mi Rose!

Słusznie czyniła, prosząc wcześniej Boga, by zechciał przyjąć ją do siebie. Gdyby jej wtedy wysłuchał i pozwolił umrzeć, wówczas nie wypowiedziałaby bluźnierstwa, a wielebny nie patrzyłby na nią teraz ze smutkiem i politowaniem.

Zastanawiała się, czy dla jej duszy jest jeszcze jakiś ratunek, czy też na zawsze pozostanie przeklęta.

Pastor położył dłoń na jej ramieniu.

- On rozumie, co pani czuje - szepnął.

Elizabeth stała nieruchomo. Jak Bóg mógł ją rozumieć, skoro sama siebie nie pojmowała? Pragnęła, by czas się cofnął, tęskniła za rodziną. Jediną pociechę odnajdywała w nadziei, że wkrótce dołączy do Rose i Matthew, a tymczasem Bóg nie chciał jej ofiarować tego daru. Jak miała żyć bez własnego dziecka?

Jake stał przed drzwiami szkoły. Minęło już prawie pół godziny, odkąd Elizabeth weszła do środka. Nakrapiana Sarenka chciała potrzymać siostrę, więc przekazał jej opatulone niemowlę. Nasłuchiwał uważnie, lecz z budynku nie docierał żaden dźwięk. Zastanawiał się, czy Elizabeth nie zmieniła zdania w kwestii ślubu.

Jeśli tak się stało, to nie mógł jej winić. Pani Barker dobitnie zademonstrowała, z jakimi trudnościami mogą wkrótce się spotkać. Elizabeth z pewnością wołała unikać bliskości osób pokroju pani Barker, jak również konfliktów z mieszkańcami Miles City.

Zastanawiał się, czy powinien otworzyć drzwi i poinformować Elizabeth, że doskonale ją rozumie. Oszczędziłby jej przykrości związanej z przyznaniem się, że zmieniła zdanie. Na dodatek miał złe przeczucia w związku z panią Barker. Ta okropna kobieta była zdolna wtargnąć do budynku i się poskarżyć pastorowi, że Jake i Nakrapiana Sarenka kalają stopnie szkoły.

Pani Barker wierzyła święcie, że jest jednym z filarów miejscowej parafii, choć w gruncie rzeczy tylko hamowała jej rozwój. Z powodu jej poczynań cierpiał nie tylko pastor, ale również cała społeczność. Ludzie zapewne nie zwracaliby na nią większej uwagi, gdyby nie utrzymywała ich w przekonaniu, że to właśnie od niej zależy przebieg trasy kolei. Zdaniem Jake'a, tylko mama im oczy. Tory mogły zostać poprowadzone przez miasto, lecz wcale nie musiały. Niestety, kuzyn pani Barker pracował w jednej z dużych linii na wschodzie, więc dała wszystkim do zrozumienia, że to ona wie najlepiej, czego oczekuje dykcja kolei. Sugerowała też, że jeśli mieszkańcy nie zastosują się do jej zaleceń, wówczas w Miles City nie będzie stacji.

Jeśli zatem powołana przez nią Liga Poprawy Obywatelskiej, której przewodziła, ogłosiła, że w którymś z saloonów należy co tydzień myć okna, właściciel lokalu posłusznie stosował się do zalecenia. Gdy pani Barker zażądała, by w hotelu zainstalowano więcej wanien dla gości, dykcja niezwłocznie zamówiła nowe wanny.

Każdy pragnął, żeby Miles City miało własną stację kolejową z prawdziwego zdarzenia, więc ludzie słuchali rzekomo wpływowej pani Barker.

W pewnej chwili drzwi szkoły się uchyliły i wielebny Olson zaprosił Jake'a i Nakrapianą Sarenkę do środka. Elizabeth stała w sali, oświetlona promieniami południowego słońca. W dłoni trzymała mały czerwony kwiatek.

Jake znieruchomiał z wrażenia.

- Pelargonie - wyjaśniła, zauważywszy jego spojrzenie. - Wielebny hoduje rośliny doniczkowe i ofiarował mi kwiat. To będzie mój ślubny bukiet.

Jake nagle uświadomił sobie, że na butach ma zaschnięte błoto, a koszula jest wymięta. Co prawda, związał włosy rzemykiem, ale i tak zaczął nerwowo je przyglądać. Pomyślał, że powinien być ubrany w garnitur, mógł przecież pożyczyć odpowiednie ubranie od któregoś z oficerów przebywających w forcie. Sierżant Rawlings zapewne dysponował eleganckim strojem.

Elizabeth uśmiechnęła się do niego, zupełnie jakby była zadowolona z sytuacji, w której się znalazła.

- Powiniennem przynieść obrączkę. Proszę poczekać, zaraz wrócę z czymś odpowiednim. - Jake poczuł, że zżerają go nerwy. Jeszcze minutę temu sądził, że Elizabeth posłucha głosu rozsądku i wycofa się z umowy. Spędziła pół godziny z pastorem, a to znaczyło, że odbyli poważną rozmowę. - Nie mam też kwiatów. Może kupię przyzwoity bukiet?

Elizabeth pokręciła przecząco głową.

- To zbyteczne - odparła. - Załatwimy sprawę bez zbędnego zamieszania.

Jake pomyślał, że mimo braku stosownego bukietu Elizabeth jest piękną panną młodą. Wydawała się ogromnie pewna siebie.

- Nie ma pani nic przeciwko temu? - Musiał dać jej ostatnią szansę wycofania się z podjętej decyzji.

- Wielebny Olson pomógł mi uświadomić sobie, że gdybym zmarła przed Rose, wówczas moja córka potrzebowałaby innej kobiety - oznajmiła Elizabeth. - Przecież nie przeżyłaby bez odpowiedniej opieki. Gorączka mogła mnie zabrać równie szybko jak Matthew, więc w pewnym sensie robię to dla Rose. To dla mnie zaszczyt.



Dopiero po tych słowach Jake pojął, że od początku nie chodziło o niego. Elizabeth nie brała ślubu dlatego, że postanowiła zaryzykować i się z nim związać. Wychodziła za mąż z poczucia obowiązku, niczym męczennica gotowa całkowicie poświęcić się opiece nad dzieckiem. Po namyśle uznał, że właściwie nie powinien się uskarżać. Ostatecznie oboje zgodzili się zawrzeć specyficzne porozumienie.

Obejrzał się przez ramię na Nakrapianą Sarenkę, która usiadła w jednej z ławek i położyła zawiniątko z siostrą na kolanach. Jake odetchnął głęboko. Powiniennem mieć na względzie przede wszystkim dobro dziewcząt, powiedział sobie w duchu.

- Gotowi? - spytał wielebny Olson i wyjrzał przez okno. - Widzę, że idzie moja żona z siostrą. Zgodziły się pełnić rolę świadków na ślubie.

- Postanowiliśmy ograniczyć formalności do minimum - dodała Elizabeth. - Dlatego pominiemy tradycyjne formułki o zdrowiu i chorobie. Wystarczy, że oboje powiemy „tak”.

- Czy to będzie zgodne z prawem? - zaniepokoił się Jake. - Osobiście chętnie obiecuję, że otoczę panią opieką.

- Przecież to i tak nic nie znaczy, skoro na wiosnę planujemy unieważnić ślub.

Jake zmarszczył brwi i skierował wzrok na pastora.

- Czy wielebny nie ma nic przeciwko temu? Chodzi mi o to unieważnienie.

- Proszę tylko, abyście oboje dali Bogu trochę czasu. - Duchowny otworzył Biblię.

- Musimy myśleć o niemowlęciu, a poza tym niezbadane są Jego wyroki. Kto wie, może i tym razem nas zaskoczy.

Jake poczuł, że Elizabeth się wzdrygnęła, a potem usłyszał szcęknięcie otwieranych drzwi i głośny stukot obcasów.

- Czy możemy zaczynać? - spytała Elizabeth.

- Oczywiście - zgodził się pastor, stanął twarzą do sali, opuścił wzrok na Pismo Święte i zaczął czytać.

Elizabeth starała się nie słuchać, wystarczała jej świadomość, że poświęca się dla dobra dziecka. Czowała się lepiej, kiedy wyobrażała sobie, że inna kobieta tak samo postąpiłaby dla jej Rose. Kiedy jednak zaczynała myśleć o ślubie, ogarniał ją lęk. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Wiedziała, co znaczy być służącą w cudzym

domu i właśnie w takiej roli widziała siebie w gospodarstwie Jake'a. Wielebny słusznie zauważył, że ona i Jake są sobie nawzajem potrzebni. Zawarła z nim umowę, podobnie jak kiedyś umawiała się z rodzinami, dla których pracowała. Mieszkając u obcych ludzi, nie stawiała się przez to członkiem rodziny, więc była świadoma, że i teraz nie będzie prawdziwą żoną Jake'a tylko dlatego, że zatrzyma się w jego chacie.

- Już czas - wyszeptał wielebny, a Elizabeth uświadomiła sobie, że musi złożyć przysięgę.

- Tak - oznajmiła głośno.

Co z tego, że nie zwracała uwagi na przebieg uroczystości? Znała swoje miejsce. Czekają ją gotowanie, porządki i zajmowanie się maleństwem. Wszystko powinno się ułożyć. Będzie mogła tulić dziecko tak często, jak zechce, i nie zamarznie, zimując na wozie. Lepsze to niż mycie szklanek w jakimś saloonie. Ponownie powróciła myślami do rzeczywistości, kiedy Jake głośno potwierdził, że bierze ją za żonę.

Na chwilę zapadła cisza, a potem jedna ze stojących za pastorem kobiet dyskretnie odchrząknęła.

- Państwo młodzi mogą się pocałować - ogłosił pastor.

Zdumiona Elizabeth spojrzała na duchownego. Przecież doskonale wiedział, że to nie był ślub jakich wiele. Na twarzy starszego pana nie dostrzegła jednak zrozumienia, podobnie surową minę zrobiły jego żona i szwagierka. Elizabeth chciała zaprotestować, lecz w tym momencie Jake położył dłonie na jej ramionach. Podniosła wzrok i zorientowała się, że uważnie patrzył jej w oczy, zupełnie jakby chciał bez słów przekazać coś ważnego. Nawet Matthew nie dotykał wargami jej ust tak delikatnie, z wycuciem, a jakby tego było mało, Jake objął ją w talii. Czyżby zorientował się, że potrzeba jej odrobiny męskiego wsparcia?

Jake poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Co prawda, nie zemdłał, ale musiał głęboko odetchnąć. Nie podejrzewał, że zwykły pocałunek może zrobić na nim tak ogromne wrażenie. Zastanawiał się, czy Elizabeth zorientowała się, że poczuł, jak uginają się pod nią kolana, a jej ciało mięknie w jego objęciach.

Nagle usłyszał pełne złości prychnięcie i pomyślał, że to Elizabeth. Dopiero po krótkiej chwili przyszło mu do głowy, że przecież nikt nie potrafi jednocześnie prychnąć i

całować, więc uniósł głowę i popatrzył na zaróżowioną z wrażenia twarz żony. Wcale nie miał ochoty odrywać od niej wzroku, lecz kątem oka zauważył w wejściu do szkoły panią Barker, która stała z uniesioną ręką, niczym anioł zemsty.

- To oburzające! - wykrzyknęła.

Czepek jej się przekrzywił, a mimo to, nie zwracając uwagi na swój wygląd, wdarła się do środka. Tuż za nią posłusznie podażyły dwie przyjaciółki, które rozejrzały się niepewnie, słusznie wyczuwając, że zjawiają się nie w porę.

Pani Barker stanęła obok młodej pary i wbiła wzrok w żonę pastora.

- Nie spodziewałam się, że zobaczę panią podczas tego... tej...

- Mąż ma prawo całować żonę - wpadł jej w słowo Jake.

- Nie obchodzi mnie, kogo pan obcałowuje - wycedziła pani Barker i wzięła się pod boki. - Najwyraźniej ktoś zapomniał, że to jest miejsce nauki dla dzieci.

- Jake z pewnością doskonale o tym wie - odezwał się wielebny Olson.

- Podobnie jak wie, że nie ma prawa zakłócać dzieciom lekcji.

- Przecież obecnie nie odbywają się lekcje - odparł ze znużeniem w głosie pastor. - Budynek jest także naszym kościołem, więc można w nim udzielić ślubu dwojgu ludziom. Nie musi pani się aż tak bulwersować.

Pani Barker cofnęła się kilka kroków i zatrzymała obok ławki, w której siedziała Nakrapiana Sarenka.

- Nie przyjdzie tutaj nawet jedno dziecko dopóty, dopóki nie ustalimy pewnej sprawy.

Jake natychmiast podszedł do bratanic i zatrzymał się między nimi a panią Barker.

- Załatwimy to później, na osobności - zapowiedział ostro.

Pani Barker nie zamierzała jednak zamilknąć. Z groźną miną wycelowała wskazujący palec w Nakrapianą Sarenkę.

- To szkoła dla dzieci z naszego miasta, a nie dla takich poganek jak ona! - podkreśliła.

- Ona nie jest poganą - zaprotestowała Elizabeth.

- Jest Indianką. Chcę, żeby to było jasne: nie wolno jej chodzić do tej szkoły, ani z moimi dziećmi, ani z żadnymi innymi z Miles City.

Gdyby Jake miał do czynienia z mężczyzną, wiedziałby, jak sobie poradzić, lecz panią Barker należało potraktować inaczej. Przyszło mu coś do głowy.

- Zapomina pani, że jestem właścicielem połowy drewna, z którego wzniesiono budynek szkoły - powiedział. - Dlatego Nakrapiana Sarenka będzie się tutaj uczyła, jeśli tego zażądam.

W tej sytuacji nawet wojownicza pani Barker nie mogła zaprotestować.

- Czy to prawda? - zwróciła się do pastora.

Wielebny Olson z nieskrywaną satysfakcją skinął głową.

- Oczywiście, przecież dziękowaliśmy mu podczas otwarcia budynku - przypomniał jej.

- To nie znaczy, że ma coś do powiedzenia w sprawie całej szkoły. Liga Poprawy Obywatelskiej nie będzie tego tolerowała, prawda? - Odwróciła się do swoich popieczniczek, które gorliwie przytaknęły.

Pani Barker skinęła głową żonie pastora, poprawiła czepek i wymaszerowała ze szkoły, a jej towarzyszki tuż za nią.

- Trzeba jej dać ochłonąć - odezwał się pastor, przerywając kłopotliwe milczenie. - Ta jej Liga Poprawy Obywatelskiej nie umie dojść do porozumienia w żadnej sprawie nawet wtedy, gdy trzeba zadecydować, jakie kwiatki zasadzić przed szkołą.

- Krzewy róż - oświadczyła jego żona. - Virginia Parker potrzebowała miejsca na przesadzenie swoich krzewów po przeprowadzce z fortu. Rada ostatecznie zadecydowała, że przyjmie od niej rośliny.

- Doskonały wybór - pochwalił Jake.

- Jedyne wątpliwości wiązały się z tym, że Virginia gra na pianinie w saloonie.

- Virginia to ta sama kobieta, która do niedawna mieszkała w forcie z bratem - podkreślił Jake. - Wiem na pewno, że zachowuje się nienagannie. Przecież popołudniami gra psalmy, a Colter odsyła ją do domu przed zmrokiem. Niektórzy ludzie w tym mieście mają zbyt ciasne umysły, żeby pojąć, co dla nich dobre.

Podziękował pastorowi oraz jego żonie i szwagierce, pożegnał się i wyprowadził z kościoła nową rodzinę. Co prawda, miał skromne domostwo, ale zamierzał się zaszyć w

nim z bliskimi, aby nacieszyć się ciszą i spokojem. Miasto Miles City nie wydawało mu się teraz specjalnie gościnnym i przyjaznym miejscem.

Kiedy zbliżali się do celu, Jake pożałował pośpiechu. Gdyby zczekał parę godzin, zmierzch zamaskowałby przynajmniej niektóre z licznych wad jego lokum. Nakrapiana Sarenka oraz niemowlę już wcześniej tu mieszkały i czuły się nieźle. Przypuszczał, że Elizabeth spodziewała się wygód.

Postawił dom w wąwozie, nad strumieniem. Tylną ścianę wznosił z bali topoli amerykańskiej, które osadził w wykopanym dole, dzięki czemu tylko połowa konstrukcji wystawała ponad powierzchnię ziemi. Indianie Lakota nie niepokoili Jake'a przez wzgląd na Czerwonego Ogon, a plemię Crow знаło go z czasów, gdy pełnił służbę zwiadowczą dla wojska. Nie chciał jednak ostentacyjnie informować wszystkich, gdzie ma swoje siedzisko, gdyż czasami zapuszczali się tutaj wojownicy Czarnych Stóp. Kilka drzew skutecznie zasłaniało chatę, więc osoby postronne miały szansę zauważyć ją praktycznie dopiero w ostatniej chwili.

Obok domku stała wkopana w ziemię szopa, w której trzymał konie. Pomieszczenie wielkością niemal dorównywało domostwu, więc mogły się w nim zmieścić nie tylko zwierzęta, lecz również człowiek. Jake wcześniej postanowił, że udostępni domek żonie i dzieciom, a sam będzie spędzał noce w stajni. Zapobiegliwie zbudował nawet małą antresolę i tam mógł sypiać.

Elizabeth niewiele mówiła po drodze nad strumień i Jake'owi przeszło przez myśl, że pewnie się boi, iż jej nowe lokum nie okaże się odpowiednie do zamieszkania.

- To mocna konstrukcja - oświadczył, gdy zbliżali się do wąwozu. - Sam uszczelniłem i oblepiłem ściany gliną. Ponieważ domek znajduje się częściowo pod ziemią, jest w nim cieplej zimą, a chłodniej latem - wyjaśnił.

- Czytałam o ziemiankach - odparła Elizabeth.

- To nie jest ziemianka - zaprotestował Jake. - Powiedziałbym, że to chata z bali.

Wkrótce dotarli do celu i Jake'a ogarnął wstyd. Okno było brudne - powinien był je umyć przed ostatnim deszczem, a nawet znacznie wcześniej. Ziemia przed drzwiami była mocno ubita. Nosił się z zamiarem położenia tam kilku bali, żeby powstało coś w rodzaju

wygodnego ganku, ale ostatecznie machnął na to ręką i teraz wejście wyglądało jak placyk zaschniętego błota.

Przywiązany do wozu koń zarżał entuzjastycznie na widok szopy. Wiedział, że wrócili do domu.

- Nie miałem kiedy gruntownie posprzątać - usprawiedliwił się Jake.

Wziął niemowlę na ręce i pomógł Elizabeth zeskoczyć na ziemię. Nakrapiana Sarenka roztropnie pozostała na kucyku, w pewnej odległości. Jake postanowił osobiście wprowadzić Elizabeth do środka, mimo że obawiał się jej reakcji.

Już na progu poczuła woń szaławii. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który trzymałby w domu zioła. Pod ścianą z prawej strony stał duży, kamienny kominek z czarnym hakiem do zawieszania kociołka. Dodatkowo w kącie znajdowała się całkiem solidna kuchenka, a na półkach przy kominku stało kilka garnków i rondli.

Na środku pomieszczenia ujrzała stół o nogach z okorowanych palików. Rolę blatu pełniły równo połączone i wyheblowane deski, na których stała zgrabna lampa naftowa ze szklanym kloszem. Przy stole znajdowały się trzy krzesła o prostych oparciach. Elizabeth pomyślała, że pewnie zrobiono je z dębiny.

Po przeciwnej stronie pokoju ujrzała łóżko, zasłane kocami i futrami, i pośpiesznie odwróciła wzrok. Pośrodku bocznej ściany na kołku wisiała sznurowa drabinka, prowadząca na poddasze.

Najbardziej zaskakującym meblem w pomieszczeniu był fotel na biegunach przysunięty do kominka. Wykonano go z ciemnego drewna, może mahoni, a jego poręcze lśniły od olejku do pielęgnacji mebli. Tak eleganckie fotele Elizabeth widywała w domach, w których pracowała w Kansas.

- Przyniosę pani rzeczy - zaproponował Jake.

Elizabeth odwróciła się do niego.

- Dziękuję, wystarczy torba. Ma pan uroczy dom.

Jake odchrząknął.

- Jest drewno, można napalić w kominku.

Pośpiesznie wyszedł, żeby nie pogrążyć się jeszcze bardziej. Zły na siebie pomyślał, że powinien powiedzieć Elizabeth coś miłego, a nie zaganiać jej do rozpalenia ognia.

Doszedł do wniosku, że gdy wróci z torbą, wspomni coś o kolorze jej oczu albo o lśniących włosach. Przypomnił sobie słodczy pocałunku, który wymienili po ceremonii. Może z czasem polubiłaby to miejsce i zechciała zamieszkać na stałe? Razem z nim?

TLR

## Rozdział piąty

Elizabeth nie mogła zasnąć, choć minęła północ. W domku panowała cisza, węgle w kominku lekko się żarzyły. Nakrapiana Sarenka spała na poddaszu, a dziecko leżało w drewnianym kojcu, naprędce skleconym przez Jake'a. Elizabeth zastanawiała się, czy jej niepokój ma związek z tym, że zdążyła się odzwyczaić od wygód. Przecież od dawna nie leżała w miękkim łóżku. A może chodziło jej o to, czy Jake dotrzyma warunków umowy i nie będzie chciał wykorzystać praw męża. Zachowywał się jednak tak troskliwie i opiekuńczo w stosunku do dziewczynek, że zaczęła mu ufać. Miała nadzieję, że w szopie, do której poszedł spać, nie brakuje mu futer. Zapewnił ją, że będzie mu wygodnie, i musiała uwierzyć na słowo. Oddał jej do dyspozycji domek i Elizabeth była mu za to wdzięczna. Potrzebowała przecież odosobnionego miejsca, żeby karmić dziecko.

Po raz pierwszy odkąd przyjęła propozycję matrymonialną Jake'a, przyszło jej do głowy, że wszystko się ułoży. Zaopiekuje się niemowlęciem, a także zastanowi nad swoim losem. Może wiosną powinna się przeprowadzić do mniejszego miasteczka niż Miles City i tam otworzyć sklepik, o którym marzyli z Matthew? Postanowiła porozmawiać o tym pomysłe z Annabelle, przy okazji następnych zakupów. Może ona będzie mogła wskazać okolice, gdzie ludzie potrzebują tanich produktów.

Ledwie udało się jej zdrzemnąć, gdy ze snu wyrwał ją krzyk.

- Ach! - Przestraszona zerwała się z łóżka.

Zastanawiała się, czy krzyk jej się przyśnił, czy też rozległ się naprawdę. Po chwili usłyszała taki odgłos, jakby ktoś potrząsał blaszanymi kubkami, następnie znowu ktoś krzyknął i raz jeszcze zabręczała blacha.

Wstała i ściągnęła z łóżka koc, żeby się nim owinąć. Całkiem niedawno słyszała podobne odgłosy w forcie, kiedy żołnierze otrzymywali żołd. Na zewnątrz musiała zatem znajdować się banda pijanych mundurowych. Elizabeth nie miała pojęcia, co ci ludzie robią przed jej nowym domem, ale zamierzała dowiedzieć się tego niezwłocznie. Podeszła do drzwi i w tym momencie ujrzała Nakrapianą Sarenkę, schodzącą po sznurowej drabinie. Najwyraźniej dziewczynka spała w ubraniu.



- Nie otwieraj drzwi - wyszeptała i powiodła dookoła czujnym spojrzeniem, po czym podbiegła do półki, aby ściągnąć z niej jeden z żeliwnych rondli.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Elizabeth i poprawiła koc, żeby nie było widać nocnej koszuli. - To tylko jacyś pijacy.

Była pewna, że intruzi będą cierpieć z powodu kaca, kiedy nadejdzie ranek, ale tymczasem zachowywali się hałaśliwie i natrętnie. Musiała położyć temu kres. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

- Och! - Niewiele brakowało, a cofnęłaby się do środka.

Doskonale widoczni w świetle księżycy dwaj potężni mężczyźni dosiadający koni wymachiwali rękoma i tłukli jakimiś przedmiotami. Ich wierzchowce stawały dęba i przebierały kopytami w miejscu. Po chwili Elizabeth usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi do stajni i zobaczyła, że na progu staje Jake. Gdyby nie przejmowała się obcymi, z pewnością zaniepokoiłaby się, że jej mąż się przeziębi. Było zimno, prawie mroźno, a tymczasem on zabrał strzelbę, lecz nie włożył koszuli.

- Co tu się wyprawia?! - wykrzyknął.

- Doszły nas słuchy, żeś się ożenił! - zawołał jeden z przybyszów, uśmiechając się od ucha do ucha. - Nie mieliśmy pod ręką prezentu, więc postanowiliśmy życzyć ci wszystkiego dobrego!

Podchmieleni natręci skupili uwagę na Jake'u, więc Elizabeth postanowiła dyskretnie wycofać się do domku, ale zauważył ją jeden z mężczyzn.

- Ejże, to na pewno panna młoda! - Odwrócił ku niej konia, a następnie uchylił kapelusza. - Cała przyjemność po mojej stronie, psze pani. Jake jest cholernym szczęściarzem... - Nagle urwał i zdezorientowany popatrzył na Jake'a i znowu na Elizabeth. - Coś nam się pokręciło? Przecież ślub już się odbył.

Elizabeth poczerwieniała z zakłopotania i poprawiła koc. Mężczyźni zastanawiali się, czemu ona i Jake nie śpią razem, skoro są małżeństwem. W sumie mieli prawo się dziwić, choć to nie była ich sprawa.

- Ślub był, a jakże - zgodził się Jake, a w jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta. - Przyjedźcie innego dnia, to was przedstawię żonie.

- Zapraszam panów na śniadanie - wtrąciła Elizabeth. Musiała ratować sytuację. -  
Upiekę placki.

- Z melasą?

- Dostaną panowie tyle melasy, ile panowie zechcą. I jeszcze trochę dżemu.

- Skoro tak, to przyjedziemy na pewno.

Elizabeth żywiła nadzieję, że obaj zapomną o tym, co widzieli. Na wszelki wypadek postanowiła uraczyć ich soloną wieprzowiną oraz kompotem z suszonych jabłek, które przechowywała w wozie.

- Tylko poczekajcie, aż wzejdzie słońce! - zawołał za nimi Jake, gdy zawrócili wierzchowce. Potem popatrzył na Elizabeth. - Nie musiała pani tego robić, wystarczyło ich odprawić.

Wzruszyła ramionami.

- To pańscy przyjaciele, z pewnością mieli dobre intencje.

Jake podszedł bliżej i uśmiechnął się szeroko.

- Chcieli nas obudzić, ot co. I to im się udało - zauważył, po czym umilkł i popatrzył na nią bacznie.

Elizabeth drgnęła niespokojnie.

- Przeziębi się pan - powiedziała.

- Właśnie sobie uprzytomniłem, że nie dałem pani prezentu, który dzisiaj kupiłem.

- Kupił mi pan prezent? - spytała ze zdumieniem.

Nikt dotąd nie ofiarował jej prawdziwego prezentu, nawet w dniu ślubu z Matthew.

- Och, ma pan na myśli herbatę.

- Nie tylko. Zaraz przyniosę, schowałem ten drobiazg w wozie. Niech pani wejdzie do środka i się rozgrzeje, a ja za moment przyjdę.

Elizabeth skinęła głową. To był zupełnie wyjątkowy dzień - miała dostać upominek.

W domku panował półmrok, więc Elizabeth pomału zbliżyła się do stołu, a potem do kominka. Sięgnęła do skrzynki, która stała przy palenisku, wyjęła ze środka krótkie polano i ostrożnie położyła je na przygasającym ogniu. Kilka iskier wzbiło się w

powietrze i natychmiast zgasło. Gdy ponownie pojawiły się płomienie, zapaliła cienki patyk, którego koniec przytknęła do lampy naftowej.

Kilka minut później Jake otworzył drzwi wejściowe, a Elizabeth powitała go uśmiechem. Już wcześniej zaciesała włosy do tyłu i wciągnęła starą sukienkę na koszulę nocną. Może ten strój prezentował się nieco dziwnie, jednak na pewno był bardziej stosowny niż negliż.

Jake położył na stole drewniane pudełko i usiadł na jednym z krzeseł.

- Mam nadzieję, że się pani spodoba.

- Ależ oczywiście - zapewniła go Elizabeth.

Zajęła miejsce przy stole. Jake podsunął jej pudełko. Było otwarte, a w środku znajdował się przedmiot starannie owinięty starymi gazetami.

- Proszę odpakować - zachęcił ją Jake.

Elizabeth rozgarnęła papier i ujrzała okrągły, porcelanowy imbryk w delikatnie różyczki, ten sam, który wcześniej zauważyła w sklepie. Jeszcze nigdy w życiu nie miała imbryka. Z namaszczeniem wyjęła go z pudełka. Odpowiednio dopasowana pokrywka umożliwiała zaparzenie dobrej herbaty. Nigdy dotąd nie dotykała niczego równie delikatnego.

Jake pomyślał, że jak zwykle postąpił niezbyt mądrze. Żona siedziała nieruchomo i wyglądała tak, jakby za moment miała się rozpłakać.

- Niech pani nie płacze - poprosił.

- Nigdy nie płaczę - szepnęła Elizabeth i odchrząknęła zakłopotana.

- Chyba nie powinienem kupować tego w różyczki. Nie chciałem pani przypominać... Uznałem jednak, że spodoba się pani.

- Jest piękny.

- Na pewno? Możemy go zwrócić i wziąć ten drugi, biały.

- Uwielbiam róże.

Jake uśmiechnął się z zadowoleniem. Zatem Elizabeth była mu wdzięczna, dostrzegł to w jej spojrzeniu.

- W takim razie... Cieszę się, że przypadł pani do gustu.

Odłożyła imbryk do pudełka.

- Zawsze będzie dla mnie cennym skarbem. - Ostrożnie obłożyła naczynie papierem.

- Mam nadzieję, że zamierza pani z niego korzystać? - zaniepokoił się.

Cieszyło go, że Elizabeth była zadowolona z prezentu, nie chciał jednak, by trzymała go na dnie kufra.

- Boję się, że go stłukę - wyznała.

- Jeśli się stłucze, kupię pani nowy.

Na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

- Oczywiście - przytaknęła niepewnie. - Postawię go na półce.

- Może pani parzyć w nim herbatę, kiedy tylko pani zechce.

Elizabeth skinęła głową.

- Na pewno bardzo się przyda w kuchni.

Jake żałował, że tak słabo zna się na kobietach. Chyba nie wszystkie były podobne do jego matki. Elizabeth nie przejmowała się byle drobiazgami. Ofiarował jej prezent, przyjęła go bez zastrzeżeń, ale potem...

- Co się stało? - spytał cicho.

Podniosła na niego wzrok.

- Będę musiała zostawić panu ten imbryk, gdy przyjdzie pora naszego rozstania. Gdybym go zabrała, z pewnością potłukłby się w drodze. Poza tym sama nie wiem, dokąd pojedę...

Jake uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma znaczenia, gdzie pani będzie - powiedział. - Proszę tylko dać mi znać, kiedy ten się uszkodzi, a natychmiast przywiozę nowy.

- Przecież mogę wtedy przebywać wiele mil stąd.

- Tak czy owak, zaręczam pani uroczystym słowem honoru, że dotrzymam obietnicy - oświadczył. - Mam parę dobrych koni, więc z pewnością dostarczę pani nowy imbryk.

Chciał wierzyć, że Elizabeth wezwie go kiedyś w przyszłości, jeśli będzie czegoś potrzebowała.

- Może pani zwrócić się do mnie w każdej sprawie - dodał.

- W takim razie dziękuję. Nie muszę stawiać imbryka na półce. Umieszczę go na stole, i w ten sposób także dziewczynki będą mogły zachwycać się różyczkami. - Elizabeth nagle rozejrzała się po pokoju. - Wielkie nieba... - Wskazała palcem uchylone okno. - Wydaje mi się, że Nakrapiana Sarenka... - Wstała nerwowo. - Sarenko! Jesteś na górze?

Nikt nie odpowiedział.

- Na pewno wyszła na zewnątrz - zaniepokoiła się. - Pańscy przyjaciele ją wystraszyli.

Jake również wstał.

- Powinienem był o tym pomyśleć. - Ruszył ku drzwiom. - Prawdopodobnie przypomniała sobie, jak była z bliskimi, kiedy... - Zawiesił głos i popatrzył na Elizabeth. Była przejęta zniknięciem dziewczynki, nie chciał dodatkowo jej denerwować. - Niech pani tu zostanie, poszukam jej.

Choć Jake poprosił ją o pozostanie w domku, Elizabeth udałaby się razem z nim, gdyby niemowlę nie potrzebowało opieki. Jak mogła zapomnieć o Nakrapianej Sarence? Powinna była od razu sprawdzić, co się z nią dzieje. Tak właśnie postąpiłaby dobra matka. Wiedziałyby także, co trapi córkę. Elizabeth była zła na siebie, że nie zareagowała stosownie na widok przerażenia w oczach dziewczynki.

Zwykle pełniła obowiązki kucharki, ale zajmowała się także praniem i szorowała podłogi. Nigdy dotąd nie opiekowała się dziećmi ani zwierzętami. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że do czasu narodzin Rose podświadomie unikała odpowiedzialności za żywe istoty.

Zastanawiała się, czy właśnie dlatego Bóg zabrał jej córkę. Może wiedział, że Elizabeth sobie nie poradzi? Matka powinna bezustannie czuwać nad dzieckiem. Jako kucharka, Elizabeth mogła co najwyżej przypalić jakąś potrawę, lecz jako opiekunka musiała być znacznie czujniejsza, żeby dziecku nie przytrafiło się nic złego. Zdawała sobie sprawę z tego, że Jake potrzebuje matki dla dziewczynek znacznie bardziej niż kucharki, niemniej wolałaby zajmować się wyłącznie karmieniem rodziny.

Ogień w kominku niemal całkiem wygasł, zanim Jake przyniósł Nakrapianą Sarenkę na rękach. Dziewczynka drżała w objęciach stryja, jej sukienka z perkalu była

stanowczo zbyt lekka na chłodną noc, a nóg Sarenki nie chroniły zwierzęce skórki, które nosiła za dnia.

- Powinna była dopilnować, żeby przynajmniej okryła się kocem - powiedziała Elizabeth. - Dorzucę drewno do ognia.

Wstała i wrzuciła do kominka nieduże polano, a następnie ściągnęła z łóżka narzutę.

- Okryjcie się, zaraz będzie wam ciepło.

Jake usadowił się w bujanym fotelu, nadal z Sarenką w objęciach.

- Posiedzimy i oboje się rozgrzejemy.

Elizabeth ponownie zajęła miejsce przy stole i w milczeniu patrzyła, jak Jake kołysze bratanicę. Nawet we śnie tuliła się do stryja. Elizabeth pomyślała, że nie powinna przywiązywać się do tej rodziny. Ci ludzie mieli własne problemy, których nie mogła rozwiązać. Jej rola ograniczała się wyłącznie do opieki nad niemowlęciem. Nakrapiana Sarenka jej nie lubiła, a Jake zapewne nie mógł się doczekać wiosny i jej odejścia. Nie powinna liczyć na zawiązanie się trwałej więzi. Po rozstaniu z Jake'em i dziewczynkami poszuka pracy u jakiejś skromnej rodziny, najlepiej bezdzietnej.

W domku zamiast podłogi było klepisko, lecz Elizabeth nie potrzebowała niczego więcej. Po powrocie do łóżka wychyliła się nieco, by narysować kreskę na klepisku. Zamierzała zaznaczać dni spędzone w tym domu. Cztery miesiące powinny w zupełności wystarczyć do wykarmienia niemowlęcia, które już miało co najmniej kilkanaście tygodni. Niedługo nie będzie potrzebowało mleka.

Elizabeth zamierzała oszczędzać żywność z puszek, żeby wystarczyło jej dla dziecka. Zerknęła na Jake'a i dziewczynkę. Ciągłe nie wiedziała, co takiego zdenerwowało Sarenkę, i czuła, że tej nocy nie pozna prawdy. Oboje drzemali w fotelu bujanym, koc osunął się na podłogę. Podeszła bliżej, podniosła go i delikatnie otuliła Jake'a i Sarenkę.

Nie chciała się do tego przyznać sama przed sobą, ale już zdążyła się przywiązać do tej rodziny.

## Rozdział szósty

Panu Wellsowi dopisuje apetyt, spostrzegła z satysfakcją Elizabeth, zsuwając mu na blaszany talerz drugą porcję placków. Okazało się, że wcale nie jest taki potężny, jak jej się wydawało. Poprzedniego wieczoru miał na sobie kurtkę z grubej skóry bizona, która dodawała mu objętości, a w gruncie rzeczy był szczupły, choć rzeczywiście wysoki. Skojarzył się Elizabeth ze źdźbłem pszenicy, gdyż nieustannie pochylał głowę i spoglądał w dół. Pomyślała, że z pewnością jest nieśmiały albo nie przywykł do obecności kobiet. A może po prostu nie lubił z nikim rozmawiać?

Drugi przyjaciel Jake'a, pan Higgins, z pewnością nie należał do nieśmiałych. Elizabeth kojarzył się z niedźwiedziem grizzly, zarówno z powodu wyglądu, jak i gburowatości. Na szczęście nie odzywał się wyłącznie do niej, za co była mu wdzięczna. Kilka razy zwrócił się także do Nakrapianej Sarenki, starając się ją ożywić i skłonić do uśmiechu. To wystarczyło, żeby Elizabeth wybaczyła mu wczorajsze hałaśliwe zachowanie.

Mężczyźni zasiedli przy stole na środku pokoju, Nakrapiana Sarenka odpoczywała w fotelu bujanym, trzymając na rękach niemowlę, Elizabeth zaś krążyła między piecem a stołem.

- Jabłka są prawie gotowe - oznajmiła.

Musiała wstać bladym świtem, żeby rozpalic ogień przygotować ciasto i upiec placki.

- Pachnie wspaniale - pochwalił Higgins.

Elizabeth skinęła głową, zadowolona z komplementu, i wolną ręką wygładziła pogniecioną sukienkę. Spała w niej, a po wstaniu z łóżka zajęła się rozpalaniem w piecu i szykowaniem śniadania. Niemal w ostatniej chwili przypomniała sobie, że zaprosiła mężczyzn, którzy raczej nie zadowolą się plackami i prażonymi jabłkami z cynamonem, więc szybko podsmażyła na patelni soloną wieprzowinę. Na koniec wyciągnęła słoik z kiszoną kapustą na wypadek, gdyby goście mieli dość placków. Pierwszy raz przyrządzała posiłek w domu męża i chciała, żeby był z niej dumny. W ferworze pracy nie zdążyła się przebrać w szarą jedwabną suknię, co sobie wcześniej zaplanowała.

- Jedzenie jest dobre, jak rzadko, proszę pani - nie ustawał w pochwałach Higgins. Uniósł zarośniętą głowę i popatrzył na Elizabeth, która właśnie stawiała na stole prażone jabłka. - Nie pamiętam już, kiedy ostatnio jadłem takie wspaniałości jak te, które pani przyrządziła.

- Dziękuję - odparła Elizabeth.

Zastanawiała się, czy nie powinna była zrezygnować z podawania kiszzonej kapusty i zaoszczędzony czas przeznaczyć na zmianę sukienki. Chciała, żeby Jake był dumny z żony. Siedział przy stole, jakby nigdy nic, a gdy popatrzyła mu w oczy, odpowiedział jej pogodnym spojrzeniem. Po chwili jednak odwróciła się i zauważyła kątem oka, że skrzywił się z irytacją.

Z pewnością chodziło o sukienkę, uznała. Matthew też nie lubił, kiedy wkładała znoszone ubranie. Dlaczego nie zaprosiła gości na kolację, tylko na śniadanie? Miałyby wówczas cały dzień na przyrządzenie czegoś smacznego do jedzenia, posprzątanie domku i przebranie się w jedwabną suknię. Uniosła głowę, myśląc o tym, że mężczyźni nie zdają sobie sprawy, ile pracy pochłaniają domowe zajęcia.

- Cieszę się, że mogę gościć tak miłych panów - zapewniła Higginsa. Była szczerze zadowolona z pochwały. Ktoś docenił, że usmażyła placki, a latem zrobiła dżem, którym teraz mogli się delektować. - Uważam, że jest pan prawdziwym dżentelmenem.

Rozbawiony Wells prychnął z powątpiewaniem, a Higgins wyprostował się i zapytał ze zdziwieniem:

- Myśli pani, że uszedłbym za dżentelmena?

- Oczywiście - potwierdziła i nagle przypomniała sobie, że rozmawia z wilkołapem. - Każdy mężczyzna może być dżentelmenem, tylko musi na to zapracować.

Jake powinien był wiedzieć, że z tą kobietą będą problemy. Ledwie została jego żoną, a już Higgins pożerał ją wzrokiem. Nie odrywał oczu od Elizabeth, odkąd przyszedł rano na śniadanie. Wells był niewiele lepszy, ale gdy pożądliwie wpatrywał się w Elizabeth, to nie z powodu jej urody, lecz dlatego, że podała smaczne domowe jedzenie. Pochłaniał wszystko, co pojawiała się na stole. Natomiast Higgins zjadł niewiele. Elizabeth nie miała pojęcia, że zazwyczaj nie narzekał na brak apetytu i nie



zadowalał się sześcioma plackami na śniadanie, nawet jeśli były obficie posmarowane dżemem.

Jake uświadomił sobie, w czym rzecz. Wspomnił przyjaciółom, że żeni się z Elizabeth wyłącznie po to, żeby zajęła się niemowlęciem oraz zaopiekowała starszą dziewczynką. Uznali, że na wiosnę, gdy dziecko nie będzie potrzebowało niani i zarazem mamki, Elizabeth rozejrzy się za mężem, z którym stworzy prawdziwe stadło. Kobieta, która gotuje tak dobrze jak ona, nie będzie miała trudności ze znalezieniem partnera, pomyślał Jake. Przy tym stole siedziało dwóch mężczyzn, którzy prawdopodobnie nie wahałoby się poprosić jej o rękę.

Elizabeth nieświadomie pogarszała sytuację. Co rusz podchodziła do stołu i podawała jedzenie, choć powinna była zająć miejsce przy mężu, aby zademonstrować, że do niego należy. Jake celowo pozostawił wolne krzesło, żeby miała gdzie usiąść, a sam przysunął sobie pieńki. Nic nie wskazywało jednak na to, że jego żona przestanie się kręcić.

- Placki wystygną - zauważył w końcu, licząc na to, że Elizabeth wreszcie usiądzie.
- Ale... - zaprotestowała nieśmiało.
- Jeżeli trzeba jeszcze coś przynieść na stół, to się tym zajmę - zadeklarował Jake i wstał.

Wydawało mu się, że Elizabeth wstrzymała oddech z wrażenia, ale nie miał całkowitej pewności. Był za bardzo zajęty wysuwaniem dla niej krzesła, żeby zademonstrować Higginsowi, jak zachowuje się prawdziwy dżentelmen.

Elizabeth usiadła. Nie przywykła do towarzystwa podczas jedzenia. Co prawda, ona i Matthew jadali wspólnie, ale kiedy pracowała u obcych, krzątała się w kuchni lub podawała do stołu i musiała czekać, aż rodzina skończy posiłek. Dopiero potem mogła skubnąć resztki, czekając, aż zagrzeje się woda do zmywania naczyń.

Popatrzyła na gości, którzy ciągle siedzieli przy stole, a potem na Nakrapianą Sarenkę nadal usadowioną w fotelu przy kominku. Elizabeth nie bardzo wiedziała, o czym z nimi rozmawiać.

- Myśli pani, że bym się nauczył? - spytał Higgins.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, o co mu chodzi.

- Jak być dżentelmenem? Naturalnie.

- W takim razie niech pani mi pomoże - zaproponował i zastanowił się przez moment. - To jest, chciałem powiedzieć, że bardzo byłbym wdzięczny, gdyby pani zechciała być tak miła - zadeklarował niewątpliwie zadowolony z siebie.

- No więc... - zająknęła się.

- Co to znowu za bzdury? - spytał Wells. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego. - Postanowiłeś znaleźć sobie posadę w banku, czy jak?

- Kobiety lubią dżentelmenów - oświadczył poważnie Higgins.

Wells tylko spoglądał na niego z pobłażaniem.

- Jakie kobiety?

- Kobiety - powtórzył spokojnie Higgins. - Po prostu kobiety.

- Kobietom podobają się pieniądze, które zarabiamy, ot co.

- Nie wszystkim - upierał się Higgins.

Elizabeth w końcu zrozumiała, w czym rzecz.

- Z przyjemnością udzielę panu kilku wskazówek. Jestem przekonana, że pańskie wysiłki przyniosą zamierzony skutek - dodała krzepiąco.

- Poważnie? - Higgins popatrzył na nią z nieskrywaną nadzieją.

Elizabeth pokiwała głową.

- Ani trochę w to nie wątpię.

Zapadła cisza. Elizabeth uświadomiła sobie, że ta rozmowa ma wiele wspólnego ze sprzedawczynią w sklepie, panią Annabelle.

- Każda kobieta byłaby zadowolona - oświadczyła z przekonaniem.

Higgins wyraźnie się rozpromienił.

Talerz wysunął się z rąk Jake'a, ale szczęśliwie na stole stały blaszane naczynia, więc nie doszło do małej katastrofy. Jake nie wierzył własnym uszom. Dotąd sądził, że Elizabeth jest stateczną, poważną kobietą. Kiedy składał jej matrymonialną propozycję, nie wydawała się zainteresowana poszukiwaniami następnego męża, a teraz najwyraźniej ostrzyła sobie zęby na Higginsa.

- Czeka nas ciężki dzień - odezwał się w końcu.

Nie chciał wprost powiedzieć, żeby Higgins i Wells wreszcie sobie poszli i zostawili go z żoną.

Wszyscy popatrzyli na niego, a on tymczasem spokojnie dorzucił dREW do ognia.

- Musimy rozładować wóz - wyjaśnił.

- Możemy pomóc - zaproponował z entuzjazmem Higgins. - To będzie nasze podziękowanie za pyszne śniadanie. Dla nas to drobiazg.

- Sam sobie poradzę z rozładunkiem - oznajmił Jake.

- Po skończonej pracy powinniśmy się wybrać do miasta i wpaść do sklepu - odezwała się Elizabeth. - Potrzebujemy paru rzeczy dla Nakrapianej Sarenki, żeby wyposażyć ją do szkoły.

Jake zauważył, że dziewczynka się wzdrygnęła i popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Nagle przestało go obchodzić, czy zdoła zademonstrować Higginsowi, kto jest większym dżentelmenem. Zapewne całkiem niepotrzebnie się trapił, że Elizabeth zwiąże się z jednym z jego przyjaciół. Rozsądek z pewnością jej podpowiadał, żeby wiosną poszukać zamożnego mężczyzny z miasta. Harold Walls, bankowiec od niedawna pracujący w Miles City, był wdowcem i zapewne chętnie rozejrzałby się za nową żoną, rozmyślał Jake. Dobrym kandydatem wydawał się także człowiek, który przyjechał otworzyć hotel. Jak on się nazywa? Wszystko jedno, to i tak nie ma większego znaczenia.

Obaj ci ludzie są bogaci i mogą jeździć na wschód za każdym razem, kiedy przyjdzie im ochota.

Zerknął na bratanicę. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie niż zastanawianie się na zamożnością obcych mężczyzn.

- Może kupmy trochę cytrynowych landrynek w sklepie - zaproponował. - Słyszałem, że dzieci przepadają za nimi, więc raczej nie odmówiłyby, gdyby ktoś je poczęstował.

- Nie muszę chodzić do szkoły - odezwała się nieoczekiwanie Nakrapiana Sarenka.

- Przecież umiem mówić po angielsku.

- Powinnaś także nauczyć się czytać - zauważył łagodnie Jake. - Wiem, że masz Biblię ojca.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

- Szkoda, że nie umiem czytać - wtrącił z żalem Higgins. - Nie warto tracić okazji do nauki.

- W szkole nie będzie ci źle - odezwała się Elizabeth. - Przyzwyczaisz się, zobaczysz.

Sarenka powoli skinęła głową.

- Postaram się.

- Razem wybierzmy się do miasta - zaproponowała Elizabeth. - Nie spytałam wielebnego, czego będziesz potrzebowała pierwszego dnia w szkole, ale sprzedawczyni na pewno wie, co ci się przyda.

- W takim razie bierzmy się do rozładowywania wozu - zdecydował Higgins.

Tym razem Jake nie oponował. Skoro przyjaciel jest chętny do pomocy, to czemu z tego nie skorzystać? Elizabeth martwiła się, że nie znajdzie igieł do szycia. Spakowała je i umieściła z bagażem w wozie, lecz nie pamiętała, w którym miejscu. Dziewczynka potrzebowała do szkoły odpowiedniego stroju i obuwia; w żadnym wypadku nie powinna pokazywać się w zwierzęcych skórkach, które chroniły jej nogi.

W sklepie zapewne były dostępne gotowe, niezbyt drogie ubrania dla uczennic, łącznie z porządnymi butami i pończochami. Elizabeth postanowiła jednak, że przerobi jedną ze swoich sukienek na szkolny strój. Nie od rzeczy byłoby przy okazji ufarbować sukienkę dotychczas używaną przez Nakrapianą Sarenkę, aby odświeżyć materiał.

Dopiero gdy wszyscy byli gotowi do wyjazdu do Miles City, Elizabeth przypomniała sobie o Annabelle i o tym, że Higgins postanowił być dżentelmenem.

- Może powinien pan zatrzymać się przy zakładzie golibrody - zasugerowała mu, kiedy z pomocą męża sadowiła się w wozie.

- A to czemu? - spytał zaskoczony Higgins, który zdążył wsiąść na konia.

- Kobiety lubią mężczyzn o schludnie przystrzyżonych włosach.

- Nigdy nie byłem u golibrody - odezwał się Wells i zmarszczył brwi. - Przecież włosy i tak odrastają po stryżeniu, więc po co sobie zaprzętać głowę?

- Tak, ale wyglądają bardziej elegancko. Jeśli w Miles City brakuje golibrody, to mogę panów ostrzyć.

- Jeśli o mnie chodzi, to może innego dnia - stwierdził Wells. - Higgins chce się wypacykować, to jego sprawa, ale ja jadę prosto do domu.

Jake zastanawiał się, jak mógł być taki ślepy. Aby zauważyć, że coś się święci, wystarczyło przecież tylko jedno spojrzenie na Elizabeth, która zbliżyła głowę do Annabelle. Jake zerknął na spiętą, nieruchomą twarz Higginsa i od razu wiedział, w czym rzecz. Traper interesował się królującą za ladą sprzedawczynią.

Jake odetchnął z ulgą, ale zachowanie przyjaciela wzbudziło jego niepokój. Przypomniawszy sobie, jak wszyscy trzej - Higgins, Wells i on - walczyli z Czarnymi Stopami. Zaszli się wówczas gdzieś na obszarze Paha Sapa, gór zwanych niekiedy Black Hills, i spędzili tam kilka długich dni, aż wreszcie zaczęło im brakować amunicji oraz wody. Nawet w obliczu możliwej śmierci Higgins nie wydawał się tak przygnębiony jak teraz, gdy stali na ganku przed sklepem i usiłowali nie zaglądać przez okno.

Oto, co kobiety robią z nieustraszonych mężczyzn, pomyślał Jake.

Dyskretnie zerknął do wnętrza sklepu, żeby sprawdzić, czy Nakrapianej Sarence jest wygodnie na krześle w kącie, gdzie usiadła, trzymając w ramionach zawiniątko z niemowlęciem. Elizabeth już wcześniej poinformowała go, że potrzebuje co najmniej godziny na załatwienie swoich spraw.

- Chodźmy. - Jake zwrócił się do Higginsa. - Poszukamy golibrody. - Objął przyjaciela. - Chyba strzyżenie nie jest takie złe, co?

Pół godziny później obaj ponownie wyszli na ulicę. Zbliżało się południe i wokół roило się od ludzi, którzy wybrali się na zakupy.

- Zdarli mi skalp. - Higgins dotknął resztki włosów na głowie.

Stali pod daszkiem, wzniesionym ponad wejściem do zakładu golibrody. Jake nie mógł się nadziwić zmianie w wyglądzie przyjaciela. Higgins jedynie przycinał brodę, a teraz był świeżo ogolony i miał włosy ostrzyżone najeża. Na dodatek jego czoło jawiło się idealnie białe, gdyż schowane pod grzywą od dawna nie widziało słońca.

- Wyglądasz młodziej - pocieszył go Jake.

Postanowił nie wspominać, że nos jego przyjaciela wydaje się o wiele ciemniejszy od reszty twarzy.

- Po licho komu młody wygląd? - Higgins wzruszył ramionami. - Kobiety powinny wybierać mężczyzn, którzy już trochę pobyli na tym świecie i nabrali życiowego doświadczenia.

Ta wygłoszona donośnym głosem deklaracja sprawiła, że połowa przechodzących w pobliżu ludzi przystanęła i z zaciekawieniem odwróciła ku niemu głowy. Zmieszany Higgins poczerwieniał jak burak.

- Schludność, oto co cenią kobiety - oświadczył Jake i nerwowo potarł dłonią kark.

Przyzwyczał się do długich włosów, a teraz był krótko przystrzyżony i było mu zimno w szyję, która zapewne była równie biała jak czoło przyjaciela.

Traper odchrząknął i powiedział:

- Zdaje się, że muszę kupić nowe buty.

Jake skinął głową i dodał:

- I nowy kapelusz.

Precyzyjnie rzecz ujmując, Higgins nie miał kapelusza, a tylko skórzaną opaskę, która prezentowała się jako taka przy długich włosach, lecz obecnie wyglądała dziwnie.

- Bycie dżentelmenem wymaga sporych wydatków. - Higgins zmarszczył brwi.

- Nie da się ukryć - przytaknął Jake.

Elizabeth musiała dobrze się przyjrzeć Higginsowi, zanim go rozpoznała, kiedy wszedł do sklepu.

- Clarence? - wyszeptała zdumiona Annabelle, stojąc za ladą.

Higgins tak zbladł, że nawet jego nos pobiełał.

- Powiedziałem ci już, że nie używam tego imienia - burknął.

- A to heca. - Jake zachichotał. - Zawsze się zastanawiałem, co znaczy C przed twoim nazwiskiem.

- Czy to nie wszystko jedno? - Higgins był wyraźnie zakłopotany.

Elizabeth popatrzyła na męża. Zaniemówiła z wrażenia. Dopiero po dłuższej chwili udało się jej odzyskać głos.

- Widzę, że golibroda miał dzisiaj ręce pełne roboty - zauważyła.

Ciemne włosy Jake'a nadal były lekko mokre, ale już zaczynały się kręcić. Elizabeth pomyślała, że ktoś powinien odgarnąć niesforne kosmyki z jego czoła, ale nie zamierzała tego czynić w miejscu publicznym. Na wszelki wypadek, żeby jej nie kusiło, splotła dłonie.

Jake spojrział na nią z uśmiechem.

- Przyszło mi do głowy, że Higgins nie może w pojedynkę robić z siebie idioty, więc się przyłączyłem - wyjaśnił.

- Ależ to wcale nie wygląda idiotycznie - zaprotestowała żywo Annabelle. - Schludna fryzura jest wizytówką dżentelmena.

Elizabeth oderwała wzrok od Jake'a i zauważyła, że Higgins napuszył się jak paw. Już wcześniej zwróciła uwagę na to, że sprzedawczyni przypięła do sukienki ładną broszkę i upięła włosy w kok nieco wyżej niż zwykle, aby wyglądać młodziej.

Powitała Elizabeth tak, jakby spodziewała się jej wizyty w sklepie. Być może liczyła również na spotkanie z Higginsem, doszła do wniosku Elizabeth.

- Dziękuję, że zauważyłaś - odezwał się wreszcie Higgins, zwracając się do Annabelle.

Oboje nie odrywali od siebie wzroku i nie zwracali uwagi na otoczenie.

- Moim zdaniem, boi się pani tego, co mógłbym zrobić razem z Higginsem, gdybyśmy dłużej zabawili w mieście - powiedział cicho Jake.

Elizabeth zachichotała.

- Tak czy owak, kupiłam wszystko, czego potrzebowałam - stwierdziła.

- I cytrynowe landrynki?

Elizabeth skinęła głową.

- Oraz brulion i ołówki - dodała.

Nie przyznała się, co szepnęła jej wcześniej Annabelle. Okazało się, że pani Barker przysłała do sklepu, wymachując petycją przeciwko przyjęciu Nakrapianej Sarenki do szkoły. Na szczęście pod pismem nie złożono zbyt wielu podpisów. Może dorośli w Miles City uznali, że bratanica Jake'a ma takie samo prawo do edukacji, jak reszta miejscowej dzieciarni.

Miała taką nadzieję.

## Rozdział siódmy

Jake siedział przy kominku, strugał kawałek drewna i od czasu do czasu zerkał na żonę. Nie mówiła tak o sobie, ale jemu nazywanie Elizabeth żoną sprawiało przyjemność. Zależało mu na tym, aby z czasem polubiła ich wspólne życie. Stała w świetle lampy naftowej, wplatając skrawki materiału w długie czarne włosy Nakrapianej Sarenki, żeby je zakręcić. Nakarmione niemowlę leżało w kołysce i smacznie spało. Jake był zadowolony, że nie szczędziła wysiłku i zadbała o dziewczynki, a także zajęła się wyprawieniem Sarenki do szkoły.

Uznał, że wbrew wcześniejszym obawom i wątpliwościom ślub z Elizabeth O'Brian okazał się bardzo dobrym pomysłem. To ona wybrała najładniejsze wstążki, które teraz leżały na stole, i zdecydowała o ich kupnie. Najwyraźniej zależało jej na tym, aby Nakrapiana Sarenka nie różniła się od innych uczennic i poczuła się w miarę pewnie w nowym, niekoniecznie przyjaznym środowisku.

Jake wątpił, by Sarenka kiedykolwiek wcześniej nosiła wstążki, ale wiedział na pewno, że tego typu ozdoby nie pojawiłyby się u niego w domu, gdyby nie Elizabeth. Szybko odnalazła się w nowej rodzinie; była opiekuńcza i troskliwa. Jake zapragnął, aby nie rozstała się z nim na wiosnę, kiedy niemowlę nie będzie jej potrzebowało, ale by została z nim na zawsze.

- Jutro będziesz najładniejszą dziewczynką w całej szkole - oświadczył Jake i uśmiechnął się do Sarenki, która siedziała na krześle przy stole.

- Będzie lepiej dla niej, jeśli nie okaże się najładniejsza - zauważyła Elizabeth i nawinęła następny kosmyk na materiał. - Nie powinna zwracać na siebie uwagi. Już o tym rozmawialiśmy. Wystarczy, że pierwszego dnia będzie się dużo uśmiechała.

- Moim zdaniem, powinnaś zachowywać się całkiem zwyczajnie - poradził Jake. - Inne dzieci cię polubią, tylko trzeba uzbroić się w cierpliwość.

- Z pewnością się spodobasz - dodała krzepiąco Elizabeth.

Bardzo chciała w to wierzyć, ale zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Wiele wskazywało na to, że dziewczynkę czeka w szkole sporo przykrych chwil. Wcześniej



poinformowała męża o petycji sporządzonej przez panią Barker, ale Jake uznał, że tej okropnej kobiecie trudno będzie zebrać dostatecznie dużo podpisów.

- Odwieziemy cię i dopilnujemy, żeby wszystko było w porządku - postanowił Jake.

Elizabeth spojrzała na niego.

- Wpadniemy do szkoły, kiedy Nakrapiana Sarenka trochę się oswoi z nową sytuacją - poprawiła go.

Wplotła ostatni skrawek materiału we włosy dziewczynki i poklepała ją po ramieniu.

- Możesz się położyć. Niczym się nie przejmuj. Miłych snów.

Nakrapiana Sarenka popatrzyła pytająco na Jake'a, który skinął głową i powiedział:

- Za moment przyjdę na górę, żeby zmówić z tobą paciorek.

Ojciec dziewczynki odmawiał z nią wieczorną modlitwę i Jake wiedział, że właśnie przed snem Nakrapiana Sarenka najbardziej tęskni za rodzicami. Elizabeth ściągnęła jej fartuch z ramion. Przez chwilę Jake sądził, że żona pocałuje podopieczną na dobranoc, ale tego nie zrobiła.

- Dzień szybko minie - pocieszyła ją i wyciągnęła rękę, żeby poprawić kosmyk, który wymknął się ze szmacianego papilota. - Upiękę trochę melasowych ciastek, które zabierzesz do szkoły na drugie śniadanie.

Dziewczynka w milczeniu skinęła głową i podeszła do drabiny, która prowadziła na poddasze. Elizabeth powiodła za nią wzrokiem.

- Może pani usiądzie? - zaproponował Jake i wysunął krzesło. - Powinna pani trochę odpocząć i dopiero potem zająć się pieczeniem ciastek.

Elizabeth z widoczną ulgą zajęła miejsce przy stole. To był naprawdę ciężki dzień, pomyślała.

- Mam nadzieję... - Zawiesiła głos i popatrzyła w górę.

Nakrapiana Sarenka szykowała się do snu na poddaszu.

Jake potwierdził ruchem głowy.

- Ja też.

- Moim zdaniem, nie powinniśmy jutro jechać z nią do szkoły. - Elizabeth zniżyła głos do szeptu. - Inne dzieci będą jej dokuczały, widząc, że jesteśmy nadopiekuńczy.

- Nadopiekuńczy? A co robią inni rodzice?

Jake wydawał się do tego stopnia zdezorientowany, że Elizabeth zachichotała rozbawiona.

- Tego nie wiem.

Jake stał tuż przy jej krześle, spoglądał na nią z góry, aż w pewnym momencie pochylił się i mocno pocałował ją w usta. Elizabeth czuła, że powinna była zaprotestować, ale pocałunek ją zaskoczył, a także sprawił przyjemność.

- Nie powinien pan tego robić - szepnęła, choć nie była przekonana, czy mówi szczerze. Na wszelki wypadek odsunęła się odrobinę.

Zapamiętała ich pierwszy pocałunek, który wymienili, kiedy pastor ogłosił ich mężem i żoną. Wówczas pocałowali się, bo duchowny wyraźnie tego oczekiwał i tak nakazywał zwyczaj. Teraz Jake pocałował ją z zupełnie innych pobudek, a przecież pogrążona w żałobie wdowa nie powinna ulegać takim pokusom. Matthew i Rose odeszli zaledwie dwa tygodnie temu. Co się z nią dzieje? Czyżby ich tragedia przestała ją obchodzić? Leżeli w zimnej ziemi, a ona pozwalała sobie na niestosowne zachowanie!

Bała się spojrzeć na Jake'a.

- Nie martw się, Elizabeth - powiedział cicho. To, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, nie uszło jej uwagi. - Bez obaw, zaraz sobie pójdę.

- Nie możesz odejść - zaprotestowała. - Musisz się pomodlić z bratanicą.

Wpatrywała się w blat stołu, ale kątem oka zauważyła, że Jake podchodzi do drabiny prowadzącej na poddasze.

Odetchnęła z ulgą, gdy wdrapał się na górę. Potrzebowała czasu do spokojnego zastanowienia się nad tym, co się wydarzyło, i swoją reakcją. Matthew czasem narzekał i utyskiwał. Może miał uzasadnione powody do niezadowolenia? A jeśli uważał, że Elizabeth nie jest dla niego dostatecznie dobra? Bez wątpienia dostrzegł w niej coś, czego sama nie widziała: była rozwiązła.

Nie spodziewała się, że odkryje w sobie tę ubolewania godną skłonność. W domach, w których pracowała, musiała zachowywać się szczególnie ostrożnie, gdyż

ludzie często zakładali, że służącym brak poczucia przyzwoitości, i dlatego mogą sobie w stosunku do nich na wiele pozwolić. Uważała, że jej to nie dotyczy. Dopiero oddając pocałunek Jake'owi, poczuła, jak jej ciało wypełnił żar. Najgorsze w tym wszystkim było to, że przy Matthew ani razu nie doznała tak przyjemnych wrażeń.

Siedziała, zasłuchana w słowa modlitwy odmawianej na poddaszu przez Jake'a i jego bratanicę. Jak mógł przemawiać do Boga po tym, co uczynił? Przecież obiecał szanować jej ból i żalobę. Wstała, gdy głosy na górze ucichły. Przed pójściem spać musiała upiec ciasteczka, zgodnie z obietnicą daną Nakrapianej Sarence. Chciała, żeby dziewczynka mogła osłodzić sobie nimi jutrzejszy dzień i pamiętać, że w domu czekają na nią życzliwi i przychylni jej ludzie.

Jake został na poddaszu, aż bratanica zamknęła oczy. Słyszał krzątającą się na dole Elizabeth. Uznał, że należy dać jej trochę czasu na ochłonięcie. Popełnił fatalny błąd. Wcześniej nie zalecał się do Elizabeth, więc, chociaż czuł się jej mężem, nie powinien jej całować. Zauważył, że żona zaznacza przy łóżku dni, tak samo jak to robiła przy namiocie. Jake przeliczył wtedy kreski, które tam postawiła, ale wówczas nie uświadamiał sobie, co one oznaczają. Teraz zrozumiał, że Elizabeth nadal sumuje dni od śmierci męża. Nadal czuła się bardzo silnie związana z najbliższymi, których niedawno pogrzebała. Poprzedni mąż oraz dziecko zajmowali tyle miejsca w jej sercu, że nie mogło już ono pomieścić nikogo więcej.

Powoli zszedł po sznurowej drabinie. Elizabeth stała przy piecu, a w powietrzu czuć było woń imbiru i melasy.

- Dziękuję ci za wszystko, co dzisiaj zrobiłaś - odezwał się Jake.

Nawet jeśli, jak przypuszczał, nie miała w sercu miejsca dla niego i bratanic, to i tak skrupulatnie wypełniała obowiązki. Pomyślał, że wbrew własnym pragnieniom, wraz z nadejściem wiosny będzie musiał znaleźć sposób na to, żeby umożliwić Elizabeth odejście, o ile tego sobie będzie życzyła.

Elizabeth nie odwróciła się, kiedy Jake opuszczał domek. Była zawstydzona swoim zachowaniem i zakłopotana. Bez pośpiechu dokończyła pieczenie ciastek. W pewnym momencie obudziło się wygłodniałe niemowlę. Wzięła je na ręce i mocno przytuliła, a

ono zabrało się do jedzenia. Świat zawsze wydawał się jej lepszy, kiedy trzymała dziecko w objęciach. Gdy na nie patrzyła, na jej ustach nieodmiennie pojawiał się uśmiech.

Dziecko smacznie zasnęło, nim zdążyła odłożyć je do łóżeczka.

W chacie było cicho i przytulnie, ale przez większość nocy przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Zerwała się skoro świt, chcąc napalić w piecu. Zależało jej na tym, żeby było ciepło, kiedy Nakrapiana Sarenka wstanie z łóżka. Elizabeth postanowiła już wcześniej, że będzie traktować męża tak, jakby nic się nie wydarzyło. Poza tym problem nie dotyczył Jake'a. Chodzi o mnie, pomyślała Elizabeth. To ja zapomniałam o zmarłym mężu i powinnościach wdowy.

Elizabeth postanowiła z determinacją, że odsunie wszystkie troski na bok, kiedy podopieczna zeszła na dół. Wczoraj pomogła jej przymierzyć strój do szkoły, ale teraz, jak nietrudno się było domyślić, dziewczynce nie podobało się nic z tego, co miała włożyć.

- Zmarznę - poskarżyła się, stojąc przy łóżku, gdy Elizabeth podawała jej białe pantaloney, które kupiła w doskonale zaopatrzonym sklepie.

- Dam ci dodatkową halkę.

Czarne, sznurowane buciki stały na jednym z krzeseł przy stole, a niebieska sukienka z perkalu, którą Elizabeth uszyła z własnej sukni, wisiała na oparciu fotela na biegunach.

- Przykro mi, ale musisz zrezygnować z tych obcisłych spodni - oznajmiła Elizabeth, kiedy mała Indianka popatrzyła z niechęcią na pantaloney.

Wcześniej Elizabeth kupiła trochę żółtego muślinu na jeszcze jedną sukienkę dla Sarenki, i jeszcze tego samego popołudnia zabrała się do szycia. Postanowiła ufarbować także starą sukienkę dziewczynki.

- Może wybierzesz sobie wstążkę, a ja wyciągnę ciastka z pieca? - zaproponowała Elizabeth.

Z nowej garderoby tylko wstążki przypadły do gustu jej podopiecznej. Nie zdziwiła się, że dziewczynka wybrała czerwoną - uwielbiała ten kolor. Po śniadaniu wspólnie zjedzonym z Jake'em Elizabeth wplotła wstążkę we włosy przyszłej uczennicy.

Postanowili, że z samego rana pojedą razem do Miles City, aby bratanica nie spóźniła się na lekcje, jednak Jake i Elizabeth zamierzali odczekać parę godzin i dopiero potem zajrzeć do szkoły, żeby sprawdzić, jak dziewczynka sobie radzi.

Po niecałych dwóch godzinach od rozpoczęcia zajęć Jake, który siedział na krześle w kącie sklepu, przerwał czytanie gazety i popatrzył na żonę. Stała przy ladzie, przeglądała wykroje i gawędziła półgłosem z Annabelle.

- Czy za każdym razem dzwonek oznacza przerwę? - zainteresował się i wstał.

- Nie - odparła Annabelle. - To chyba zależy od nastroju pastora.

- Czy już pora, żebyśmy zajrzeli do szkoły? - zwróciła się do męża Elizabeth.

- Moim zdaniem, mniej więcej teraz dzieci powinny mieć przerwę, więc możemy wpaść z krótką wizytą.

Elizabeth odłożyła wykroj, który właśnie oglądała, do pudełka na ladzie. Chwilę później oboje pożegnali się z Annabelle i opuścili sklep. Gdy szli ulicą w kierunku szkoły, Jake usłyszał śmiech dzieci i pomyślał, że trafnie przewidział porę przerwy. Przyszło mu do głowy, że jeśli wszystkie dzieci wyszły na zewnątrz, to będzie mógł spytać pastora, jak bratanica radziła sobie tego ranka. Dziewczynka znała angielski, ale musiała nauczyć się czytać i pisać. Jake poniewczasie doszedł do wniosku, że powinien był poduczyć bratanicę przed posłaniem jej do szkoły.

Nagle rozległ się przenikliwy wrzask.

- *Ho'ka hey!* - krzyknęła jakaś dziewczynka.

- Co to takiego? - Elizabeth i rozejrzała się wokół nerwowo.

Jake przyśpieszył kroku.

- Okrzyk bojowy Indian Lakota - wyjaśnił i puścił się biegiem.

Pastor wychodził z budynku w chwili, gdy Jake dotarł do schodów.

- Gdzie moja bratanica? - spytał zdyszany.

- Za szkołą, razem z dziećmi - odparł wielebny Olson. - Właśnie trwa przerwa.

Jake pognał dookoła budynku.

Zatrzymał się na placu za szkołą. Nieopodal rosło kilka krzewów, ale wszystkie dzieci stały nieruchomo, zupełnie jakby bały się choćby drgnąć. Pośrodku grupy

Nakrapiana Sarenka przykucnęła w pozycji bojowej i wodziła wzrokiem po twarzach zgromadzonych. W wyciągniętej ręce trzymała niezbyt dużą gałąź.

- Co tu się dzieje? - spytał Jake i szybko podszedł do bratanicy.

Wiedział, że w dalszym ciągu nachodzą dziewczynkę dramatyczne wspomnienia z dnia, gdy żołnierze spalili jej wioskę.

- Moja mama mówi, że nie musimy chodzić do szkoły z żadnymi Indiańcami - odezwał się jeden z wyższych chłopców.

Miał płomiennorude włosy, co w tej okolicy mogło oznaczać tylko jedno: nosił nazwisko Barker. Jake nie zareagował na uwagę chłopca i przykucnął, żeby spojrzeć bratanicy w oczy.

- Nakrapiana Sarenko?

Dziewczynka podniosła na niego wzrok, a gdy się poruszyła, zauważył resztki rozbitego jajka z przodu nowej sukienki. Miała umorusaną buzię, a na policzku świeży siniak. Z jej rozczochranych, zakurzonych włosów znikła czerwona wstążka.

- Eliasie Barker, marsz do klasy! - zagrzmiął wielebny Olson zza pleców Jake'a. - Mary, natychmiast sprowadź tutaj panią Barker. Musimy tę sprawę wyjaśnić raz na zawsze. To niedopuszczalne, żeby moi uczniowie wdawali się w burdy.

- To jej wina - odezwał się Elias.

- Śmiem wątpić. - Pastor wskazał palcem budynek. - Jeśli się dowiem, że wszcząłeś awanturę, będziesz szorował tablicę przez resztę pobytu w szkole.

Jake powiódł wzrokiem za Eliaszem, który posłusznie ruszył do klasy, a w tym samym czasie Elizabeth przykucnęła obok Sarenki. W dłoni ścisnęła czerwoną wstążkę, którą odnalazła w trawie.

- Poczekaj, otrzępię cię trochę - powiedziała i podała dziewczynce rękę. - Annabelle na pewno pozwoli nam skorzystać ze swojego pokoju, żebyś mogła doprowadzić się do porządku.

Pomogła podopiecznej wstać i objęła ją, jakby wybierały się na wspólny spacer. Następnie popatrzyła na pastora.

- Wrócimy najszybciej, jak to będzie możliwe - oświadczyła.

- Może pani być spokojna - zapewnił. - Przez ten czas wyjaśnię dzieciom, dlaczego muszą przeprosić Sarenkę natychmiast po jej powrocie.

Elizabeth podziękowała mu skinieniem głowy i odeszła razem z dziewczynką. Jake miał ochotę coś uderzyć albo kopnąć, ale ograniczył się do obrzucenia wrogim spojrzeniem dwóch starszych chłopców, którzy uśmiechali się cynicznie.

- Co to znaczyło? - spytała go jakaś dziewczynka. - Co powiedziała Nakrapiana Sarenka?

- Że to dobry dzień na śmierć. Siuksowie Lakota ruszają z tym okrzykiem do boju. - Jake zauważył, że chłopcy przestali się uśmiechać.

- Ale to chyba nie znaczy, że tutaj przyjadą i nas oskalpują? - spytał jeden z nich. - Znaczą się, Indianie. To nie jest tak, że ona ich przyzywała?

- Będziesz musiał spytać o to moją bratanicę - odparł Jake.

Żałował, że dorosłych nie można zatrzymać po lekcjach, tak jak uczniów. Pani Barker wyraźnie podburzała dzieci przeciwko Sarence i doprowadziła do konfliktu w klasie. Na szczęście, pastor przykazał uczniom, także Eliasowi, żeby pozostali na zewnątrz do końca spotkania z rodzicami.

- Przecież mówiłam, że będą problemy - oświadczyła pani Barker triumfalnie, gdy tylko wezwana przez pastora weszła do środka. - Ta dziewczynka tutaj nie pasuje.

- To pani syn wszczął awanturę - podkreślił Jake.

- W szkole w Miles City nie ma miejsca dla Indian.

- Pani nie jest jej właścicielką - zauważył Jake.

- Pan też nie - odparowała pani Barker.

Stanąła pośrodku sali, wzięła się pod boki i popatrzyła wyzywająco na Jake'a.

- Tylko bez emocji - zaapelował pastor. - Należy odłożyć je na bok i odwołać się do racjonalnych argumentów. Nie wolno kierować się uprzedzeniami.

- Jestem idealnie racjonalna - oznajmiła pani Barker i wycelowała palec w Jake'a. - Ten człowiek nie zauważył, że czasy się zmieniły. To już nie jest kraj Indian, nie ma w nim miejsca dla tych dzikusów.

- Moja bratanica będzie chodziła do tej szkoły, a jeśli pani zacznie mi rzucać kłody pod nogi, to zażadam pieniędzy za wypożyczone drewno - oświadczył Jake.

Pani Barker popatrzyła na wielebnego.

- Czy ten człowiek ma do tego prawo? - spytała.

- Owszem, to jego prawo - odparł spokojnie wielebny Olson. - Jest właścicielem połowy drewna wykorzystanego do budowy szkoły.

Pani Barker wbiła wzrok w Jake'a.

- Szkoły na to nie stać - wysyczała.

- Wiem.

- Zatem proponuję, żeby pańska bratanica siedziała po pańskiej stronie budynku, a mój syn zajmie miejsce po stronie należącej do miasta.

Nie czekając na odpowiedź, pani Barker okręciła się na pięcie i wymaszerowała ze szkoły.

- Chyba możemy to nazwać kompromisem - rzekł pastor. - W każdym razie zbliżamy się do porozumienia. Pani Barker zadeklarowała, że Nakrapiana Sarenka może tutaj przebywać.

Jake odchrząknął. Nie był pewien, co chodzi po głowie pani Barker, ale raczej nie wyglądała na skłoną do pojednania.



## Rozdział ósmy

Jake zaproponował żonie, żeby zjedli obiad w hotelu. Elizabeth wiedziała, że mężowi nie chodziło o sprawienie jej przyjemności, tylko o to, aby poczekać do zakończenia lekcji. Oboje zgodnie pragnęli przebywać jak najbliżej Nakrapianej Sarenki na wypadek dalszych problemów.

- Powinniśmy zamówić na deser szarlotkę - orzekł Jake.

Elizabeth siedziała naprzeciwko, po drugiej stronie stołu. Spozobregła, że zmartwiony Jake nawet nie zauważył, że kelnerka zatrzymała się przy ich stoliku aby spytać, czy mogłaby zawiesić jego piękne nakrycie głowy na wieszaku przy drzwiach. Dobrze sobie, pomyślała Elizabeth, też coś. Przecież nowy kapelusz nie był aż tak wyjątkowy, żeby się nim zachwycać.

- Z przyjemnością skosztuję tutejszej szarlotki - powiedziała.

Podłogę w hotelu pokrywały kasztanowe dywany na stołach znalazły się białe serwetki, sztucze były ciężkie i starannie wypolerowane. Elizabeth jeszcze nigdy nie zawitała do równie eleganckiego przybytku.

Wkrótce kelnerka zjawiała się ponownie, proponując Jake'owi dodatkową porcję kawy. Najwyraźniej interesował ją nie tyle kapelusz, ile jego właściciel.

Elizabeth uznała, że wcale nie jest zazdrosna, tylko chce, aby młoda kobieta się nie przepracowywała. Na wszelki wypadek położyła dłoń na blacie stołu i lekko poruszyła palcami, żeby światło słoneczne odbiło się od obrączki. Ku jej zdumieniu, ten prosty manewr poskutkował. Najwyraźniej kelnerka zrozumiała, w czym rzecz.

Elizabeth ponownie położyła dłoń na kolanie. Podobało się jej, że może nosić obrączkę, chociaż nie była pewna, czy przypomina jej o Matthew, czy o Jake'u. Wzdrygnęła się, uświadomiwszy sobie, jakie myśli przychodzą jej do głowy. Czy naprawdę aż tak jej się wszystko pomieszało? Przecież pozostaje w żałobie po pierwszym mężu. No tak, ale zdecydowała się wziąć drugi ślub i tę obrączkę wsunął jej na palec Jake.

- Przypuszczam, że będziesz chciała mieć coś do czytania na zimę - odezwał się Jake.

- Słucham? - Wyrwana z zadumy Elizabeth podniosła wzrok znad talerza. Dlaczego to go interesowało? - Ciężko pracuję bez względu na porę roku.

Nie mogła winić kelnerki za to, że zauważyła, jak przystojny jest Jake. Tego ranka ogolił się ponownie, a krótkie włosy prezentowały się nad wyraz schludnie.

- Zmierzam do tego, że moglibyśmy kupić w sklepie kilka książek. To chyba dobry moment na sprawdzenie, co jest w sprzedaży. W domu powinna być biblioteczka.

- Ach, tak. - Przyznała w duchu, że Jake mówi do rzeczy, choć dotąd nie czytała niczego poza Biblią. - Może znajdziemy tam książkę odpowiednią dla Nakrapianej Sarenki.

- I tomik poezji. Przydałyby się nam wiersze, o ile nie masz nic przeciwko temu. Zdaje się, że kobiety lubią pięknie dobrane słowa.

- Tak, oczywiście. - Usiłowała robić dobrą minę do złej gry. Rzecz jasna, знаła litery, ale nigdy nie czytała poezji. Nie była nawet pewna, czy rozumiałaby te wszystkie fikuśne słowa. - Skoro tego chcesz.

- Właściwie... - zaczął Jake i umilkł.

Elizabeth uznała, że mąż martwi się nie tylko kłopotami swojej bratanicy.

- Nie możesz pracować, bo zajmujesz się mną i bratanicą - domyśliła się.

- Zimą nie poszukuję złota. Poza tym Black Hills są już prawie całkiem ogołoczone z kruszcu.

- To niedobrze. - Elizabeth sięgnęła po szklanę z wodą.

W tej samej chwili podeszła kelnerka i spytała, czy mieliby ochotę na szarlotkę. Elizabeth zauważyła, że tym razem zaproponowała deser obojgu, nie tylko Jake'owi. Wróciła, usłyszawszy, że chętnie skosztowaliby szarlotki.

Niespiesznie delektując się ciastem, Jake rozmyślał nad tym, jak zdobyć serce Elizabeth, jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Usiłował sobie przypomnieć zachowanie rodziców. Ojciec zadał sobie trud, aby przetransportować na zachód rzeczy matki, dzięki czemu przy kominku Jake'a stał teraz fotel na biegunach. Matka była bardzo z tego zadowolona. Zdarzyło się też, że ojciec zamówił na wschodzie flakon perfum o zapachu bzu, którymi kiedyś się zachwycała. Matkę stosunkowo szybko

ogarnęło przygnębienie, jednak prezenty na krótko poprawiały jej nastrój. Uznał, że powinien pójść w ślady ojca.

- Lubisz także zapach róż?

Elizabeth oderwała wzrok od pustego talerza i spojrzała pytająco na męża. Właśnie zjadła ostatni kawałek szarlotki.

- Także? - powtórzyła.

- Domyśliłem się, że to twój ulubiony kwiat - ciągnął Jake. - Zastanawiałem się, czy podobałyby ci się różane perfumy.

- Woda różana pachnie wspaniale - przyznała z wahaniem.

Jake skinął głową.

- W takim razie kupimy flakonik.

Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Chcesz sprawić przyjemność bratanicy? - spytała. - Nie jestem pewna, czy dziewczynka w jej wieku powinna się spryskiwać wodą różaną, zwłaszcza do szkoły. Chyba wystarczy, że będzie się myła.

- Woda byłaby dla ciebie.

- Dla mnie? Ale ja...

Jake od razu się zorientował, że popełnił nietakt.

- Pachniesz fantastycznie bez perfum - zapewnił szczerze. - Przyszło mi do głowy, że drobny prezent sprawiłby ci radość.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Dałeś mi upominek - przypomniała. - Imbryk.

- To prawda, ale zbliża się Gwiazdka. Imbryk ofiarowałem ci z okazji ślubu. Nie można komuś wręczać tego samego prezentu dwa razy.

- Rzeczywiście, zapomniałam o świętach.

- Jest początek grudnia.

- W takim razie odrobina wody różanej byłaby mile widziana - zgodziła się Elizabeth. - Ja również chcę podarować prezenty tobie i dziewczynkom.

Jake pokiwał głową. Żałował, że nikt mu nie zdradził, jak skomplikowane są zaloty. Nagle zrozumiał, jakie trudności napotykał jego ojciec, gdy usiłował sprawić przyjemność żonie, i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien uprzedzić Higginsa.

Całkiem nieoczekiwanie, do hotelu wszedł nie kto inny, tylko Higgins we własnej osobie.

- Annabelle powiedziała mi, gdzie was znaleźć - oznajmił na powitanie i przysunął sobie krzesło, żeby usiąść przy ich stoliku. - Dowiedziałem się też od niej, co zrobiły dzieciaki w szkole. Tych chłopaków należałoby przełożyć przez kolano. Szczerze mówiąc, chętnie zgłosiłbym się na ochotnika.

- Pastor Olson poradzi sobie z nimi - powiedział Jake.

W odpowiedzi Higgins machnął lekceważąco ręką.

- Wielebny nie ma szans się uporać z tymi wyrostkami - orzekł. - Wiem o tym dobrze, bo w ich wieku byłem nieznośny. Przekonają go, żeby im wybaczył, a potem znowu będą robić swoje.

Jake nie odpowiedział. Nie miał pewności, czy pastorowi uda się skłonić chłopców do właściwego zachowania. Wielebny świetnie się spisywał jako rozjemca, ale w zetknięciu z nieposłuszeństwem i agresją niekoniecznie musiał sobie poradzić.

- Annabelle poprosiła swojego syna, Thomasa, o opiekę nad Nakrapianą Sarenką. Dobrze i to - dodał Higgins.

- Thomas jest za mały, żeby przeciwstawić się tym wyrośniętym chłopcom - uznała Elizabeth. - Ma dziesięć lat, a niektórzy jego koledzy skończyli już trzynaście, a nawet czternaście.

Jake wstał.

- W takim razie musimy wziąć sprawy w swoje ręce - oznajmił.

Jake, Elizabeth i Higgins opuścili hotel i ruszyli w kierunku szkoły. O tej porze na ulicach Miles City panował spokój.

- Zajrzyjmy przez okno - zaproponowała Elizabeth. - Nie chcę, żeby dzieci zaczepiały Sarenkę.

- Po mojemu, te chłopaki już to zrobiły - odezwał się Higgins.

- Ale jeszcze nikt jej nie dokuczał z powodu rodziny. Wolałabym, żeby nie miała przykrości z mojego powodu.

Jake uważnie popatrzył na żonę. Nie rozumiał jej obaw.

- Dlaczego, u licha, mieliby jej dokuczać z twojego powodu?

- Obozowałam w namiocie poza fortem i nie mam pojęcia, co ludzie o mnie wygadywali. Pewnie uważają mnie za wariatkę. Żadna dziewczynka w wieku Sarenki nie chciałaby odczuwać, że rodzice nie dają jej ani odrobiny wolności i ciągle mają ją na oku. Jake poprawił kapelusz.

- Tak czy owak, będę ją obserwował - zapowiedział stanowczo.

- Oczywiście - zgodziła się Elizabeth. Weszła na ganek i zbliżyła do okna. - Nigdy nie twierdziłam, że powinniśmy stracić nad nią kontrolę. Musimy tylko postarać się robić to dyskretnie, aby nikt nie zauważył. Sam rozumiesz, chodzi o wyczucie taktu.

- Umiem być taktowny - zadeklarował Jake.

Elizabeth zajrzała przez okno.

Nakrapiana Sarenka oraz Thomas siedzieli całkiem sami z jednej strony klasy, a z drugiej tłoczyły się pozostałe dzieci. Wielebny Olson nie wydawał się zachwycony, ale pokazywał jakiś punkt na mapie i coś wyjaśniał. Elizabeth odsunęła się od okna z takim wyrazem twarzy, że Jake nawet nie spytał, co zobaczyła. Wolał sam się przekonać, co wstrząsnęło jego żoną. Po chwili z ponurą miną odstąpił od okna.

- Wszystko się ułoży - szepnęła z nadzieją w głosie Elizabeth.

- Sytuacja dojrzała do tego, żebym wszedł do środka i odbył poważną rozmowę z dziećmiakami.

- To tylko pogorszy sytuację. Dzisiaj jest piątek. Do poniedziałku dzieci pewnie o wszystkim zapomną. Nie możemy dolewać oliwy do ognia.

- Masz rację - przyznał Jake.

Żadne z nich nie zauważyło, że Higgins się cofnął. Odwrócili ku niemu głowy dopiero wtedy, gdy głośno zastukał do drzwi.

- Co on wyprawia? - zaniepokoił się Jake.

Elizabeth zdołała tylko pokręcić głową. Cokolwiek postanowił zrobić Higgins, było za późno, żeby go powstrzymać.

- Dzień dobry wszystkim! - zagrział Higgins, gdy otworzył drzwi i stanął na progu klasy. Elizabeth i Jake słyszeli wyraźnie każde jego słowo. - Przyszedłem się zapisać. Chyba już czas, żebym się nauczył czytać.

Elizabeth i Jake otworzyli usta ze zdumienia.

- Przynajmniej nie jest jej ojcem ani opiekunem - powiedział Jake.

- I będzie bezpieczna - dodała Elizabeth.

Popatrzyli po sobie i się wycofali. W drodze powrotnej do domu niewiele rozmawiali. Gdy dotarli na miejsce, Jake poszedł sprawdzić, jak się miewają zwierzęta, a Elizabeth wyjęła żółty perkal, który zamierzała wykorzystać do uszycia nowego stroju dla Nakrapianej Sarenki. Obliczyła, że jeśli zabierze się do pracy tego wieczoru i poświęci na szycie całą sobotę, to sukienka będzie gotowa na niedzielny poranek.

Sięgnęła po igłę i położyła ją przy tkaninie, po czym westchnęła ciężko. Ostatnio niewiele czasu spędzała na modlitwie, ale poczuła się bezradna w obliczu tego, co wydarzyło się w szkole. Panie Boże, pomóż mi, bo nie wiem, co robić. Nie dopuść do tego, żeby dziewczynce stała się krzywda.

Elizabeth wiedziała, że tak bardzo rozpacza z powodu losu bratanicy Jake'a także ze względu na to, co ją samą spotykało w dzieciństwie. Biblia głosiła, iż Bóg opiekuje się sierotami, ona jednak wcale nie była o tym przekonana. Gdyby Pan naprawdę był tak troskliwy, w ogóle nie byłoby sierot na świecie. Ani wdów, skoro o tym mowa. Ani matek, które utraciły dzieci.

Elizabeth czuła złość na Boga i nie rozumiała, dlaczego jednocześnie tak bardzo Go potrzebuje. Pokręciła głową. Nie miała gotowej odpowiedzi na tak trudne pytanie.

Po powrocie ze szkoły Nakrapiana Sarenka wyglądała na wyczerpaną. Higgins odprowadził ją aż do drzwi, za co Elizabeth gorąco mu podziękowała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł i uchylił kapelusza.

- Jak ci się układało w szkole po naszej wizycie? - zainteresowała się Elizabeth, gdy już pożegnała Higginsa.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

- W poniedziałek na pewno będzie lepiej - pocieszyła ją Elizabeth. - Masz ochotę na ciastka? Zostało kilka ze śniadania.

Sarenka skinęła głową i usiadła przy stole. Elizabeth otworzyła słoik z dżemem rabarbarowym i postawiła go obok dziewczynki, razem z ciastkami. Sarenka nawet nie drgnęła, więc Elizabeth zajęła miejsce obok niej. Dopiero wtedy dziewczynka sięgnęła po ciastko.

Kolację zjedli późno, gdyż Elizabeth postanowiła poczekać na Jake'a. Na posiłek przyrządziła smażone ziemniaki z soloną wieprzowiną.

- Chcę do domu - oznajmiła Nakrapiana Sarenka, gdy odłożyła widelec na pusty talerz.

- Przecież jesteś w domu - zauważył Jake.

- Chcę do swoich.

- Wielkie nieba. - Elizabeth popatrzyła mężowi w oczy.

Jake odchrząknął.

- Wiem, że miałaś dzisiaj ciężki dzień. Rozumiem cię, ale nie możesz wrócić do swoich bliskich.

- Chcę do domu - upierała się dziewczynka. - Wrócę na kucyku. Ojciec uczył mnie jak syna, którego nie miał.

- Z całą pewnością nigdzie nie pojedziesz sama - oświadczyła nieznoszącym sprzeciwu tonem Elizabeth. - Kto wie, jakich ludzi napotkałabyś po drodze.

- Napotkałabym swoich - nie ustępowała Nakrapiana Sarenka. - Wcale się nie boję.

- Twój ojciec wiedział, że będziesz musiała wykazać się odwagą, aby żyć wśród białych - powiedział Jake. - Trafiłaś tutaj, bo pragnął cię uchronić przed pewną śmiercią. Ciebie i twoją siostrę.

- Bardzo cię proszę, spróbuj jeszcze raz - dodała Elizabeth. - Wiem, że to niełatwe, ale wspólnie damy radę.

Sarenka wstała od stołu i podeszła do łóżeczka, w którym spała jej mała siostrzyczka, po czym pogłaskała ją po główce.

- W niedzielę jest msza - zauważył Jake, kiedy jego bratanica podeszła do drabinki.

Pomyślał, że może do tego czasu ludzie trochę ochłoną, a dzieci przestaną zwracać uwagę na to, po której stronie sali siedzą.

Elizabeth przytaknęła. Nie spuszczać wzroku z Jake'a, zastanawiała się, czy naprawdę wierzył w to, co mówił, czy po prostu chciał pokrzepić bratanicę i podnieść ją na duchu. Doskonale wiedziała, jak ciężko jest, gdy inni uważają człowieka za osobę niepożądaną.

W stajni Jake naprawiał pułapki na myszy, gdy poczuł apetyczną woń cynamonu i smażonego ciasta. Momentalnie zapomniał o pracy i wrócił do domu.

- Pączki! - zawołał z niedowierzaniem.

Jedna z restauracji w Miles City czasami serwowała na śniadanie całkiem niezłe pączki, ale nie umywały się one do wyjątkowych, idealnie wysmażonych, złocistych smakołyków, które właśnie stygły na kilku talerzach na stole. Nakrapiana Sarenka miała na sobie biały, wyraźnie za duży fartuch. W dłoni trzymała kubek z cukrem.

Na widok Jake'a podniosła talerz z pączkami.

- Proszę - powiedziała.

Ochoczo sięgnął po jeden z nich i zatopił w nim zęby. Jeszcze nigdy w życiu nie delectował się czymś równie wyśmienitym. W cieście wyczuł drobne kawałki soczystego jabłka, a aromaty cynamonu i cukru pudru, którymi Sarenka posypywała każdego pączka, były cudowne.

- Smażymy pączki - oznajmiła dziewczynka z nieukrywaną dumą.

Elizabeth podniosła wzrok znad patelni.

- Przyszło mi do głowy, że powinniśmy usmażyć pączki, które moglibyśmy zanieść jutro do kościoła, aby poczęstować wiernych - powiedziała. - Może w ten sposób uda się nam pozyskać ich sympatię.

Jake pomyślał, że w jego domu jest ktoś słodszy od pączków.

- To doskonały pomysł - pochwalił z szerokim uśmiechem.

Nawet pani Barker nie miała szans skutecznie przeciwstawić się tak zmyślnemu planowi zjednania miejscowych. Dorośli w Miles City, w większości mężczyźni, z pewnością woleli skosztować wyśmienitego pączka, niż podpisać petycję. Co do dzieci, Jake był gotów iść o zakład, że Elias chętnie usiądzie po tej samej stronie klasy co Nakrapiana Sarenka, jeśli dostanie kilka pysznych pączków.



## Rozdział dziewiąty

Jake ściągnął wodze i pokierował zaprzęg na boczną, przylegającą do szkoły uliczkę. Budynek stanął na obrzeżach Miles City, żeby na jego tyłach znalazło się odpowiednio dużo miejsca na zabawę dla uczniów. Teraz, w niedzielny poranek, Jake z rodziną przygotowywał się do cotygodniowej mszy. W nocy spadło trochę śniegu, a w powietrzu ciągle dawało się wyczuć wilgoć, ale z komina szkoły wydobywały się kłęby dymu, więc w środku było zapewne ciepło.

Mieszkańcy Miles City liczyli na to, że niedługo dorobią się kościoła z prawdziwego zdarzenia, ale na razie musieli siedzieć w ławkach, które w tygodniu służyły uczniom. W niewielkim pomieszczeniu zazwyczaj panował ścisk i od czasu do czasu ktoś plamił sobie ubranie atramentem, ale w zasadzie nikt się nie uskarżał. Odprawianie nabożeństwa w salce szkolnej było bardziej stosowne niż w saloonie, jak to się zdarzało w niektórych mniejszych miejscowościach.

Jake obszedł wóz i pomógł bratanicy zeskoczyć na ziemię. Następnie przekazał jej opatulone niemowlę, żeby Elizabeth mogła zejść z wozu.

- Zaczekaj - odezwała się, kiedy poprawiła sukienkę i ponownie wzięła dziecko na rękę. - Chcę, żebyśmy wyglądali nienagannie. Czy wszyscy mają pozapinane guziki? - spytała, a następnie przeprowadziła tak surowe oględziny Jake'a i jego bratanicy, że pochwaliby ją nawet najbardziej wymagający sierżant w forcie.

Jake ogolił się z samego rana i miał teraz na sobie niebieską koszulę, którą Elizabeth starannie wyprała i wyprasowała. Nakrapiana Sarenka wyglądała ślicznie z czerwoną wstążką we włosach. Nowa sukienka nie była jeszcze gotowa, zabrakło też dla niej szala, w miejsce którego Elizabeth użyła koca, ale dziewczynka i tak wyglądała odświętnie. Szkoda tylko, że ponura mina świadczyła o zupełnie nieświętecznym nastroju Nakrapianej Sarenki.

Wcześniej, kiedy siedzieli w domku przy stole, Jake odmówił modlitwę, w której poprosił Boga, aby pączki stały się symbolem pojednania dzieci i ich rodziców w Miles City. Bratanica była świadkiem wielu tragicznych zdarzeń i w przypadku zetknięcia się z

przemocą lub gniewem zamykała się w sobie. Pragnął, aby odzyskała poczucie bezpieczeństwa.

Stała nieruchomo, czekając, aż Elizabeth zakończy inspekcję. Było jasne, że Sarenka pragnie sprawić przyjemność kobiecie, która z oddaniem opiekuje się rodziną. Elizabeth strzepnęła ledwie widoczny pyłek z ramienia małej, a potem pochyliła się i pocałowała ją w czoło. Została nagrodzona uśmiechem.

- Wyglądamy jak należy - oceniła Elizabeth i skinęła głową Jake'owi.

Jake zgadzał się z nią w całej rozciągłości. Na tle szarej tkaniny sukienki oczy Elizabeth stały się jeszcze intensywniej zielone, a determinacja wypisana na jej twarzy wydała mu się poruszająca. Mylił się wcześniej i źle ocenił żonę - nie przypominała jego matki. Nie wycofywała się w obliczu trudności życiowych, lecz usiłowała stawić im czoło.

Wziął dziecko na ręce, żeby Elizabeth mogła przenieść koszyk. Zza zamkniętych drzwi dobiegały głosy, więc domyślał się, że na mszę przybyło sporo ludzi. Zwykle jednak wierni starali się mówić ciszej, aby nie przeszkadzać sobie nawzajem w przygotowaniach do nabożeństwa, więc Jake nie rozumiał, z czego wynika ich poruszenie.

Nawet w tak wilgotnym powietrzu dało się wyczuć apetyczny aromat pączków umieszczonych w wiklinowym koszyku, wyściełanym i przykrytym czystymi, bawełnianymi serwetkami. Wyglądali tak, jakby postanowili urządzić sobie piknik.

Kiedy dotarli do drzwi, Jake nieoczekiwanie znieruchomiał. Pomyślał z niepokojem, że te głosy nie brzmią tak jak zwykle. Wielebny Olson z samego rana odprawiał mszę dla żołnierzy w forcie i na pewno nie zdążył jeszcze wrócić. Ludzie na ogół rozmawiali, czekając na rozpoczęcie nabożeństwa, lecz dzisiaj mówili ostrzej, wręcz agresywnie. Zamiast więc wprowadzić Elizabeth do środka, Jake stanął przed nią i uchylił drzwi.

- Och! - Wzdrygnął się na widok tego, co ktoś zrobił w środku.

Wierni stali pod ścianami i patrzyli na grubego czarnego pasa, namalowanego nierówno pośrodku pomieszczenia. Krecha prowadziła od jednego jego końca do drugiego, dzieląc

je na dwie części. Z jednej strony ktoś nabazgrał koślawy napis „Miles City”, a z drugiej „Dry Creek”.

Jake pośpiesznie zamknął drzwi i odwrócił się do rodziny.

- Wracamy do domu.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Elizabeth.

- Odprowadzę was do wozu. Zaczekacie tam, aż wrócę. Muszę zamienić parę słów z pewnymi osobami.

Po chwili wahania Elizabeth wyciągnęła ręce po niemowlę.

- Pójdę sama z dziewczynkami. Spotkamy się przy wozie.

Jake zauważył kątem oka, że nadjeżdża Higgins, a tuż za nim Wells. Obaj kierowali się prosto do szkoły, choć żaden z nich od wielu miesięcy nie zdradzał najmniejszego zainteresowania celebrowanymi tam nabożeństwami. Virginia i Annabelle właśnie wychodziły na ulicę, gdy ujrzały obu jeźdźców i cofnęły się, żeby nie blokować im przejazdu.

- Idźcie do Elizabeth! - krzyknął do nich Jake i wskazał ręką żonę.

Następnie skupił całą uwagę na mężczyznach.

Higgins ściągnął wodze i zatrzymał konia tuż przy Jake'u.

- Byłeś w środku? - spytał.

- Zajrzałem i zobaczyłem, co tam się wyprawia. Skąd o tym wiesz?

- Annabelle przysłała Tommy'ego, żeby nas powiadomić. Pomyśleliśmy, że pewnie będziesz potrzebował pomocy.

Jake odwrócił się ku wozowi. Nie słyszał, o czym rozmawiają kobiety, ale poczuł ucisk w sercu na widok żywiłowo gestykułującej Annabelle. Bez wątpienia opowiadała Elizabeth o czarnym pasie pośrodku sali. Słowa Jake'a o tym, że połowę szkoły wybudowano z ofiarowanego przez niego drewna, musiały kogoś skłonić do podziału szkolnej sali. Nawet gdyby nie dostrzegł nerwowych gestów Annabelle i tak domyśliłby się, czego dotyczy rozmowa, bo Elizabeth nagle się wyprostowała.

Higgins i Wells jednocześnie zręcznie zeskoczyli z wierzchowców.

- Do roboty - oświadczył Higgins i zakasał rękawy koszuli. - Może podzielimy salę na trzy części? Ja się zajmę facetami z prawej, Wells tymi pośrodku, a ty, Jake, resztą. Pokażemy im, że ludziom znad Dry Creek nikt nie będzie w kaszę dmuchał.

- To jest kościół, a nie ring bokserski czy saloon - zauważył Jake. - Poza tym przemocą niczego nie osiągniemy.

- Przemoc się sprawdziła, jak trzeba było zrobić porządek z dziećmiakami w klasie - zauważył z przekonaniem Higgins. - Powiedziałem Eliasowi Barkerowi, że jeśli znowu skrzywdzi Nakrapianą Sarenkę, będzie miał ze mną do czynienia. A potem zawarzałem na niego jak grizzly. Szczeniak zbladł jak ściana, więc chyba pojał, w czym rzecz.

- Może i zrozumiał, co do niego mówisz, ale na pewno pozostał przy swoim zdaniu, więc w sumie niewiele się zmieniło - uznał Jake. - Tak czy siak musimy coś zrobić z tą krechą.

Wszyscy trzej zapatrzyli się na budynek.

- To nie w porządku, że nie możemy spuścić komuś batów tylko dlatego, że siedzi w kościele - rzekł z żalem Wells. - Przecież to jest szkoła.

- W szkole też nie wolno się bić - powiedziała Elizabeth, która stanęła za ich plecami. - Poza tym nie ma się czego bać, to przecież tylko trochę farby.

Jake nie zauważył jej nadejścia, więc popatrzył na nią dopiero wtedy, gdy się odezwała.

- Wiem, że to zwykła podłość i złośliwość - powiedziała z błyskiem w oku. - Nie możemy jednak wrócić do domu i pozwolić im zwyciężyć. Jak zrozumiałyby to dzieci?

Jake uświadomił sobie, że tak bardzo skoncentrował się na obronie bratanicy, że nie brał pod uwagę uczniów. Tymczasem nie wolno mu było zapominać, że mała jeszcze długo będzie z nimi w jednej klasie. Zrozumiał, że jeśli winny namalowania czarnego pasa nie poniesie kary, całe miasto na tym ucierpi.

- Ho, ho, co tak pięknie pachnie? - zainteresował się Wells.

Nakrapiana Sarenka właśnie podeszła z koszykiem pełnym pączków, a w ślad za nią zbliżyły się Annabelle i Virginia.

- To pączki - odparła dziewczynka. - Elizabeth mówi, że to będzie prezent na zgodę.

Popatrzyła na Jake'a, który uświadomił sobie, że powinien coś powiedzieć, żeby zachęcić bratanicę.

- Skoro Elizabeth uważa, że dzięki pączkom zapanuje zgoda, to chyba warto spróbować, prawda?

Dziewczynka skinęła głową, po czym odchyliła ramiona i uniosła brodę w taki sam sposób jak Elizabeth. W tym momencie Jake podjął decyzję. Otworzył szeroko drzwi, tak żeby wejść do środka razem z Elizabeth, która trzymała na rękach dziecko. Za nimi podążała Nakrapiana Sarenka z koszykiem pełnym pączków. Do tego czasu wierni zdążyli zająć miejsca - wszyscy po stronie Miles City. Druga połowa sali świeciła pustkami.

Zazwyczaj w oczekiwaniu na pastora i rozpoczęcie ludzie stali tu i tam, w małych grupkach, i gawędzili. Jake doszedł do wniosku, że pastor nie pojawi się jeszcze przez najbliższe pięć minut, a może nawet więcej, gdyż po przelotnych opadach śniegu z deszczem drogi stały się miękkie. Na podłodze widniały ślady błota, a w powietrzu czuć było zapach mokrych ubrań. Jake pomyślał, że ktoś będzie musiał wyszorować deski przed jutrzejszymi zajęciami, ale to nie rozwiązywało problemu czarnej linii.

Elizabeth położyła dłoń na jego ramieniu, aby go powstrzymać, zupełnie jakby wyczuwała, że Jake zamierza bez ogródek zażądać wyjaśnień. Gdy szli środkiem pomieszczenia, wśród ludzi rozległy się szepty. Jake nie był szczególnie przyjaźnie usposobiony do sąsiadów, niemniej pohamował złość i nawet uklonił się kilka razy, nikt jednak nie raczył odpowiedzieć mu tym samym. Po chwili wskazał bliskim miejsce na ławce prawie na samym przedzie pustej połowy sali. Usłyszał, że Higgins i Wells wchodzą za nim.

Jake powiedział sobie, że teraz przynajmniej wie, kto w tym mieście jest jego prawdziwym przyjacielem. Powiódł wzrokiem po zatłoczonych ławkach. Na nabożeństwie zjawili się głównie kupcy, z wyjątkiem pana Wallsa, bankowca. Wszyscy ubrali się w garnitury, nawet golibroda, który strzygł Higginsa. Jake zauważył, że na mszę nie przyszli górnicy, którym nie sprzyjało szczęście. Brakowało także człowieka trudniącego się wynajmem koni, który znał na pamięć dziesiątki psalmów i zawsze je cytował.

Słyszac za plecami szelest sukienek, Jake się odwrócił i ujrzał Annabelle, która właśnie zajmowała miejsce obok Higginsa i Wallsa. Jake uśmiechnął się do przyjaciół.

- Dziękuję, że do nas dołączyliście - powiedział.

- Nie dziękuj ani mnie, ani Wellsowi - odparł Higgins. - Mieszkamy tam, gdzie wy. Dry Creek to również nasz dom.

Wells tylko pokiwał głową. Jake popatrzył na Annabelle. Sprzedawczyni wydawała się niespokojna, na jej twarzy widniały rumieńce.

- Mieszka pani w mieście - zauważył. - Nie musi pani tego robić, wiem, że nie lubi pani kłopotów.

- Jeszcze bardziej nie lubię niesprawiedliwości - oznajmiła stanowczo.

- To chyba oznacza, że pani nam wybaczyła? - Jake uśmiechnął się do niej.

- Pan Higgins zapewnił mnie, że zrezygnuje z polowań na wilki, a ja nie mam zwyczaju wytykać ludziom przeszłości, skoro rozpoczęli porządne życie. Poza tym, jeśli mogłam wstawić się za wilkami, to tym bardziej mogę wesprzeć małą dziewczynkę.

Jake zerknął z ciekawością na Higginsa.

- Już nie jesteś wilkołapem?

Higgins poruszył się niespokojnie.

- Skoro pobieram nauki, to mogę chyba robić co innego - odparł.

- To bardzo dobrze - ocenił Jake.

Czasy się zmieniają, a ludzie razem z nimi, dodał w myśli.

Elizabeth rozejrzała się dyskretnie. Zdumiała ją decyzja Annabelle, żeby usiąść przy Higginsie. Przecież sprzedawczyni nadal nosiła żałobę, jej mąż zmarł nie tak dawno temu. Rzecz jasna, zajęcie miejsca u boku mężczyzny nie było porównywalne do ponownego zamążpójścia, jak to uczyniła Elizabeth, na dodatek mąż Annabelle odszedł parę miesięcy, a nie parę tygodni wcześniej.

W pewnej chwili po drugiej stronie sali wstał łyсы, niemłody mężczyzna w kamizelce, która opinała wielkie brzuszysko, i w szarym garniturze. Uniósł rękę i wycelował palec w Annabelle.

- Annabelle Bliss, zdaje się, że usiadła pani w niewłaściwym miejscu - powiedział oskarżycielskim tonem.

Kobieta zacisnęła pięści tak mocno, że kostki zrobiły się całkiem białe. Na serdecznym palcu ciągle widniała jasna kreska po obrączce.

- To mój szef - wyszeptała. - Pan Broadman. Kieruje sklepem.

- Może jednak powinna pani przejść na drugą połowę - poradziła ściszym głosem Elizabeth. Nie chciała, żeby Annabelle straciła dobrą pracę tylko dlatego, że opowiedziała się po ich stronie. Była wdową i jedyną żywicielką rodziny.

Annabelle wzięła głęboki oddech i wstała.

- Panie Broadman, wie pan doskonale, że nie cierpię niesprawiedliwości - oświadczyła. - Jeśli z tego powodu zamierza pan wyrzucić mnie z pracy, proszę bardzo, może to pan uczynić choćby w tej chwili. Proszę jednak pamiętać, że jestem sumienną pracownicą. Poza tym tylko mnie pan zatrudnia, więc kto jutro otworzy sklep, jeśli trafię na bruk?

Elizabeth uznała, że Annabelle to bardzo dzielna kobieta. Odważyła się powiedzieć, co myśli, ryzykując utratę posady. Stała wyprostowana, ubrana w czarną suknię. Materiał był nierówno ufarbowany i brakowało mu połysku, typowego dla większości żałobnych strojów. Z pewnością wdowa uszyła odzienie naprędce, z dostępnego akurat materiału.

Po tej stronie sali, gdzie zgromadzili się prawie wszyscy mieszkańcy Miles City, wstał mężczyzna w brązowym garniturze.

- Jak pani jest taka chętna do rozmowy o niesprawiedliwości, to pogadajmy o mojej siostrze - odezwał się napastliwie. - Indianie zabili jej męża. Nie tylko mojej siostrze pobratymcy tej tutaj - wycelował palec w Nakrapianą Sarenkę - pozabijali bliskich.

- Przecież to tylko dziewczynka! - oburzyła się Annabelle. - Jej siostra jest niemowlęciem. Nie zrobiły nikomu najmniejszej krzywdy.

Z ławki podniosła się kobieta w kapeluszu ozdobionym piórami.

- Nie zrobiły nikomu krzywdy, coś takiego! - wykrzyknęła ze złością. - Ta większa omal nie wystraszyła mojej Susan na śmierć, kiedy pokazała, na co ją stać! Wrzeszczała, jakby chciała kogoś zabić, i wymachiwała gałęzią. Do czego to podobne? Tak się zachowują poganie, ot co.

W tej samej chwili zaskrzypiały drzwi i do sali wszedł wielebny Olson.

- Dość tego! - zawołał donośnie. - Czy tak postępują chrześcijanie? I to w dodatku w dzień Boży? Powinniście się wstydzić!

Elizabeth popatrzyła na Jake'a. Atmosfera była napięta, on jednak wydawał się odprężony. Czy nie rozumiał, że lada moment może dojść do bijatyki? Matthew z pewnością opuściłby salę albo przynajmniej schował się pod ławką, pomyślała i natychmiast skarciła się w duchu. Nie powinna porównywać poprzedniego i obecnego męża. Zachowywała się nielojalnie i powinna się wstydzić. Zmarli zasługiwali na szacunek, a ona zamierzała ofiarować Matthew to, co mu się należało. Człowiek, który udał się na tamten świat, powinien być opłakiwany przez żyjących.

Odsunęła się od Jake'a na wypadek, gdyby ktoś zwrócił uwagę na to, że siedzą zbyt blisko siebie, po czym dyskretnie rozejrzała się wokół. Pastor właśnie patrzył na linię biegnącą przez środek sali.

- Po mszy chcę porozmawiać z autorem tego dzieła - oznajmił stanowczo. - Informuję was wszystkich, że takie zachowanie nie będzie tolerowane, zwłaszcza w domu Bożym. Proszę parafian o powstanie i zajęcie tych samych miejsc, co zwykle. Spodziewam się, że po obu stronach sali usiądzie mniej więcej tyle samo osób, co dotąd.

Nikt się nie poruszył.

- Wielebny nie może nam mówić, gdzie mamy siedzieć - zabrzmiał kobiecy głos.

Jake pomyślał, że zna ten głos. Nie mylił się. Kobieta okazała się pani Barker, która podniosła się i wojowniczo poprawiła czepek. Pastor raz jeszcze rozejrzał się po twarzach ludzi.

- Skoro nie zamierzacie siedzieć razem z sąsiadami, bez względu na ich kolor skóry, to jestem zmuszony prosić was o opuszczenie kościoła.

- Wielebny nie może nas zmuszać do opuszczenia kościoła - sprzeciwiła się pani Barker.

Pastor Olson uśmiechnął się smutno.

- Nie zmuszam was do wyjścia - zauważył. - Proszę tylko o pozostanie w chwale Bożej i w zgodzie z sąsiadami.

- Nigdy nie słyszałam nic podobnego - obruszyła się pani Barker i wyszła na środek sali. - To nasz kościół. Należy do miasta.



- To kościół Pana Boga - sprostował spokojnie duchowny. - Należy do Niego.

- W takim razie kościół Pana Boga będzie świecił pustkami - stwierdziła pani Barker ze złością i podeszła do pastora. - Wielebny nie może prowadzić kościoła bez wiernych i niech wielebny nie przychodzi do mnie utyskiwać, kiedy rodzice postanowią w głosowaniu nie płacić mu za pracę w szkole. - Odwróciła się do ludzi, którzy ciągle siedzieli w ławkach, i wycelowała w nich palec. - Mieszkańcy Miles City, jeśli leży wam na sercu przyszłość miasta, natychmiast wstaniecie i wraz ze mną opuście to miejsce. Nie pozwólmy, żeby Indianie kręcili się tutaj tak, jakby byli jednymi z nas. Jeśli przedstawiciele kolei to zobaczą, nie wybudują u nas stacji. Szukają bezpiecznych okolic, a nikt nie czuje się bezpiecznie, kiedy Indianin kręci się w pobliżu. Poza tym to zwykła niesprawiedliwość.

Po tych słowach pani Barker wymaszerowała z kościoła. Gdy otworzyła drzwi, niebo przeszła błyskawica, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi, nawet kiedy po chwili rozległ się potężny grzmot. Wystarczyło kilka minut, żeby kościół niemal całkiem opustoszał. Niektórzy po drodze do wyjścia odwracali się do pastora, mamrocząc pod nosem słowa usprawiedliwienia, ale nikt nie zawrócił i nie usiadł na miejscu,

- Biedni głupcy - mruknął pod nosem Jake, kiedy ostatni mieszkaniec Miles City zamknął za sobą drzwi.

Rozejrzał i szybko przeliczył wiernych, którzy pozostali. Łącznie z nim znajdowało się tam dziewięć osób - wielebny, Elizabeth, on sam, jego bratanica, niemowlę, Annabelle, Higgins, Wells i Virginia Parker. Ta młoda kobieta wprowadziła go w lekkie osłupienie. Siedziała z tyłu, po stronie Dry Creek, i wydawała się niesłuchanie zakłopotana. Jake zamierzał się do niej odezwać, lecz w tym samym momencie do sali wszedł syn Annabelle, Tommy. Jake nie miał pojęcia, gdzie chłopiec się przed tym podziewał.

Niespodziewanie chłopiec oblizał się i spytał:

- To pączki tak pachną?

Jake uśmiechnął się szeroko. Przynajmniej niektóre sprawy zostały po staremu.

- A jakże - potwierdził. - Mamy ich mnóstwo, więc możesz jeść do woli. -

Skierował wzrok na pastora. - Po mszy, rzecz jasna.

Wielebny Olson wydawał się zmęczony.

- Rozpoczniemy mszę dopiero za kilka minut, więc Tommy może się poczęstować. Sam też chętnie uraczyłbym się pączkiem.

- Zapraszamy, niech wielebny usiądzie z nami - zaproponowała Elizabeth. Wstała i popatrzyła na Nakrapianą Sarenkę. - Czy mogłabyś pomóc mi poczęstować wszystkich pączkami? - Zerknęła na pastora. - Czy na pewno mamy dość czasu?

Duchowny skierował spojrzenie na tył sali.

- Chyba nie ma pani nic przeciwko temu? - spytał Virginie.

- Jestem gotowa śpiewać, kiedy wielebny zechce - odparła.

- Zawsze z przyjemnością słucham pani śpiewu - podkreślił pastor i usiadł na jednej z ławek. - Ma pani śliczny głos.

Jake pomyślał, że Virginia wydaje się bardzo niepewna siebie. Podejrzewał, że nie czuła się mile widziana wśród mieszkańców Miles City, ponieważ postanowiła utrzymywać się dzięki grze na pianinie w saloonie Coltera. Skinął głową i uśmiechnął się zachęcająco, by Virginia zrozumiała, że jest mile widziana w tym gronie. Był zadowolony, że Elizabeth nie jest tak delikatna jak Virginia. Jego żona sprawiała wrażenie kobiety mocno stąpającej po ziemi, odkąd otrząsnęła się po tragedii i postanowiła odsunąć w czasie wyczekiwane spotkanie z aniołami.

- Czy mogę przyprowadzić kolegę? - spytał Tommy, gdy tylko przełknął pierwszy kęs pączka. - Na pewno też chciałby się poczęstować.

Pastor skinął głową.

- Tylko wracajcie szybko.

Chłopak rzucił się biegiem do wyjścia.

- Tommy! - upomniała go matka. - W kościele nie wolno biegać.

Chłopiec jednak już zniknął za drzwiami. Annabelle popatrzyła na duchownego.

- Przepraszam za syna - powiedziała z westchnieniem. - Staram się uczyć go manier, ale... bez ojca...

Jake zauważył, że Higgins nagle poczerwieniał. Na szczęście nikt z pozostałych nie zwrócił na to uwagi.

- Po tym, co dzisiaj widzieliśmy w kościele, bieg chłopca jest przyjemnie odprężającym doświadczeniem - orzekł pastor i spróbował ciastka. - Są pyszne - pochwalił.

- Miały być naszym prezentem na zgodę - wyjaśniła Elizabeth i cicho poprosiła Sarenkę, żeby ponownie podsunęła koszyk pastorowi. - Uznaliśmy, że ludzie mogą zechcieć... - Zawiesiła głos. - W każdym razie nic z tego nie wyszło.

Pastor Olson pokręcił głową.

- Tego jeszcze nie wiemy - zauważył. - Muszą przecież okazać wiarę, a do tego potrzeba czasu.

Tommy wpadł z powrotem do kościoła.

- Idą - wydyszał.

- Kto idzie? - zaniepokoiła się jego matka i wstała.

Tommy uśmiechnął się od ucha do ucha. Jego buzia nadal była umorusana cukrem.

- Powiedziałem im, że są pączki, a panna Virginia będzie śpiewać. Powiedzieli, że chcą posłuchać.

Jake'owi mocniej zabiło serce, gdy zobaczył, kto wchodzi do sali. Pierwszy wierny wyglądał jak pechowy górnik. Drugim był żołnierz z fortu. Trzecim okazał się jakiś powsinoga, a czwartym traper. Żaden z nich nie miał na sobie garnituru i wszyscy byli zarośnięci. Mimo to weszli do środka spokojnie i szacunkiem, na progu zgodnie zdejmując kapelusze.

Ostatni zjawili się Colter oraz Danny. Wyglądało na to, że patykowaty chłopiec został właśnie zwolniony z więzienia. Jasnobrazowe włosy miał przystrzyżone, wełniane spodnie wydawały się czyste. Colter trzymał go jednak za kołnierz, zupełnie jakby nie miał do niego za grosz zaufania. Jake wcale mu się nie dziwił. Colter jest równie przytłoczony obowiązkami rodzicielskimi, jak Annabelle, a może nawet bardziej, uznał.

- Witajcie - powiedział.

- Zapraszamy na pączka, a nawet dwa - dodała Elizabeth i odsunęła się, aby jej podopieczna mogła wyjść na środek pomieszczenia i poczęstować nowo przybyłych.

Jake wodził wzrokiem za żoną i bratanicą, aż obie rozdały wszystkie pączki, a na dnie koszyka pozostały tylko drobne kryształki cukru. Do tego czasu w sali zgromadziło

się już co najmniej czterdzieści osób i żadna z nich nie przywiązywała najmniejszej wagi do tego, z której strony powinna usiąść.

Gdy w końcu Elizabeth ponownie zajęła swoje miejsce, Jake uśmiechnął się z zadowoleniem. W sali, oczekując na mszę, znaleźli się ludzie, dla których nie liczyły się pozory. Wyglądało na to, że nic nie stoi na przeszkodzie, by mógł spokojnie położyć dłoń na rękę żony. Gdy przysunął się bliżej, Elizabeth nie zaprotestowała, więc uznał, że powoli zaczyna akceptować go jako męża. Nie przypuszczał, że małżeństwo tak mu się spodoba. Odnosił wrażenie, że świat stał się lepszy, gdyż żyje na nim bliska mu osoba.

TLR

## Rozdział dziesiąty

Elizabeth poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Niewątpliwie Annabelle kierowała się dobrymi intencjami, wygłaszając uwagi na temat Jake'a, ale Elizabeth ciągle czuła się nieswojo, gdy musiała o nim rozmawiać. Pochyliła głowę i skoncentrowała uwagę na szczotce ryżowej, która trzymała w dłoni. Nabożeństwo dobiegło końca i obecne na sali kobiety zabrały się do szorowania podłogi, żeby usunąć nieszczęsną czarną kreskę. W tym samym czasie mężczyźni zajęli się rąbaniem drewna opałowego, potrzebnego do ogrzania sali podczas lekcji. Po mszy pastor poczuł się źle, przeprosił obecnych, że musi już iść, i udał się do domu. Zapewne właśnie posilał się zupą, którą Annabelle ugotowała dla niego i jego żony.

- Tak czy owak, uważam, że to było urocze - dokończyła myśl Annabelle i się wyprostowała, na moment przerywając pracę. - Mąż trzymał panią za rękę w kościele i to był przyjemny widok.

Elizabeth nagle uświadomiła sobie, że od kwadransa Annabelle zaskakująco często powtarza słowo „mąż”, ona zaś za każdym razem widzi oczami duszy oczami twarz Jake'a.

- Mój mąż nie żyje - zauważyła cicho ze skrucą w głosie.

- Och. - Zaskoczona Annabelle tylko odetchnęła głęboko.

- Och - powtórzyła za nią Virginia i szeroko otworzyła niebieskie oczy.

- Poza tym trzymał mnie za rękę, bo było chłodno - dodała Elizabeth zupełnie bez sensu i ponownie skupiła się na szorowaniu.

Zapadło milczenie.

Na czas sprzątnięcia Annabelle pożyczyła Elizabeth i Virginii stare sukienki, które okazały się nieco za luz<sup>r</sup>ne i trzeba je było przewiązać troczkami fartuchów. Na początek kobiety wytarły błoto z całej podłogi, więc teraz, gdy szorowały czarną linię, były mokre i brudne. Nakrapiana Sarenka usiadła z tyłu sali i zabawiała siostrzyczkę.

Elizabeth przestała trzeć podłogę i strudzona otarła pot z czoła.

- Zauważyły panie, że to nie jest farba kredowa? - spytała. Doszła do wniosku, że to bezpieczny temat. - Gdyby ktoś użył łagodniejszego barwnika, miałybyśmy mniej roboty.

Farbami kredowymi posługiwali się głównie ludzie biedni. Elizabeth nie przygotowywała ich od lat, ale wiedziała, jakiego rodzaju glinki należy użyć, żeby nadać mieszance odpowiedni kolor. Była pewna, że już niewiele osób w tej okolicy zajmowało się wyrobem farb wapiennych i kredowych. Za bardzo brudziły, poza tym wyszły z mody, podobnie jak samodzielne barwienie strojów.

- Podejrzewam, że teraz wszyscy kupują te nową farbę olejną - ciągnęła. - Brakuje mi barw farb kredowych. Miały takie delikatne, łagodne odcienie.

- Wiem, o czym pani mówi. - Annabelle odsunęła z czoła niesforny kosmyk. - Wspomniała pani, że samodzielnie komponuje kolory farb i barwników. Ja nigdy tego nie robiłam.

- Naprawdę sama pani farbuje materiały? - zainteresowała się Virginia.

Elizabeth skinęła głową.

- W ubiegłym roku udało mi się własnoręcznie ufarbować materiał w tureckie wzory. Rzecz jasna, dzięki natłuszczeniu. Farbowałam wtedy tkaninę przeznaczoną na koc.

- Doprawdy? - zainteresowała się żywo Virginia. - Zastanawiałam się nad ufarbowaniem kilku moich starych sukienek. - Zarumieniła się. - Po prostu trochę spłowiały, a ja... - Zawiesiła głos.

- Przy nas nie musisz się wstydzic, że masz problemy z pieniędzmi, Virginio. - Annabelle zanurzyła szczotkę w wiadrze z wodą. - Obie jesteśmy wdowami i rozumiemy, że kobiecie nie jest łatwo poradzić sobie bez mężczyzny.

- To prawda - przytaknęła Elizabeth.

- Nie wiem, co bym zrobiła po śmierci brata, gdybym nie dostała pracy w saloonie Coltera. - Virginia wytarła zaczerwienione dłonie w fartuch. - Nie mogłam zostać w forcie. Szukałam pracy wszędzie i nie znalazłam żadnej poza grą na pianinie w saloonie.

- Słyszałam, że pan Colter uczciwie prowadzi lokal - przypomniała sobie Elizabeth. Jake jej o tym wspominał.

- Bywalcy saloonu go szanują - przytaknęła ochotczo Virginia.

- Cieszę się, że podjął rozsądną decyzję, i posyła cię do domu przed zmrokiem.

Tyle mam do powiedzenia - podsumowała Annabelle.

Elizabeth zauważyła błysk w oczach Virginii, kiedy rozmawiały o właścicielu saloonu, i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem ona nie jest w nim zakochana. Niedobrze, pomyślała. Przecież ten związek nie miałby większych szans powodzenia. Colter i Virginia nie pasowali do siebie, nawet nie prezentowali się dobrze razem.

- Z przyjemnością zauważyłam, że pan Colter przyszedł dzisiaj do kościoła. - Elizabeth postanowiła powiedzieć coś życzliwego na temat tego człowieka. Ostatecznie każdy zasługiwał na szansę. - W dodatku przyprowadził Danny'ego.

Virginia tylko skinęła głową.

- Pan Colter ciągle mu powtarza, że powinien się poprawić, bo inaczej prędzej czy później wróci do więzienia. Z pewnością właśnie dlatego chciał, aby Danny zjawił się na mszy. - Skierowała wzrok na Annabelle. - Cieszę się, że Danny zaprzyjaźnił się z pani Thomasem.

- Jeśli naprawdę pragnie się zmienić na lepsze, to powinien chodzić do szkoły. - Annabelle odłożyła szcztokę. - Wiem, że się nie uczy, ale przecież gdzieś musieli się poznać, on i Tommy... - Nagle wstała i nerwowo przyłożyła dłoń do serca. - Czy to możliwe, że mój syn jest bywalcem... tego miejsca?

- Skąd - zaprzeczyła pośpiesznie Virginia. - Colter nie pozwala chłopcom przebywać w saloonie. Danny pracuje na zapleczu, przy zmywaniu naczyń. Z tego, co wiem, chłopcy poznali się u szeryfa, kiedy Danny siedział w więzieniu. Szeryf pozwolił im grać w warcaby przez kraty.

- Mój syn bywa w więzieniu! - Annabelle ciężko opadła na najbliższą ławkę. - Nie miałam pojęcia, że tak trudno mi będzie wychowywać chłopca bez wsparcia mężczyzny. Na dodatek cały dzień jestem w sklepie.

- Higgins mógłby pani pomóc - zauważyła z wahaniem Elizabeth.

- Ależ ja nigdy... Nigdy nie powiedziałam, że pan Higgins mnie interesuje. On jest tylko... przyjacielem.

Elizabeth uśmiechnęła się szeroko.

- Wiem.

Annabelle przechyliła głowę, a na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Ciekawi mnie, jak pani układa się z Jake'em. Mam nadzieję, że u niego wszystko w porządku. Dręczy mnie poczucie winy, że wcześniej odradzałam pani poślubienie Jake'a.

- Po prostu starała się pani okazać mi życzliwość.

Było jej przykro, że dotąd traktowała Annabelle dość obcesowo. Gdyby wiedziała, że jej uwagi wynikają z poczucia winy, z pewnością zapewniłaby Annabelle, iż wszystko jest w porządku.

- Wiadomo, że samotnej kobiecie jest ciężko. Martwiłam się o panią.

- Miło mi to słyszeć - odparła Elizabeth. - Proszę się nie przejmować, Jake jest dżentelmenem w każdym calu.

- Bardzo bym chciała, żeby pan Colter również był prawdziwym dżentelmenem. - Virginia się zarumieniła. - On chyba wcale mnie nie zauważa, chociaż gram na pianinie, więc wszyscy powinni wiedzieć, że jestem obecna. Zagrałam „Cudowną Bożą łaskę” kilka razy, a on nawet nie drgnął. Część osób, które mnie słuchały, miała łzy w oczach, a jego to nic a nic nie obeszło. - Virginia gniewnie pokręciła głową, jasny kok zakołysał się na karku. - Moim zdaniem przysypiał - dodała i głos lekko jej zadrżał.

- Może nie zna tego utworu - pocieszyła ją Annabelle. - Teraz nosi garnitur, przypuszczam jednak, że przed otwarciem saloonu wiódł burzliwe życie. Chyba jest na bakier ze znajomością religijnych pieśni.

- Pewnie tak - przyznała Virginia. - Nie rozumiem mężczyzn.

- Nie wiem, czy to będzie dla pani pociechą, moja droga, ale ja również ich nie pojmuję - wyznała Annabelle. - A przecież dwukrotnie byłam mężatką.

- Dwukrotnie? - powtórzyła ze zdumieniem Elizabeth.

Annabelle skinęła głową.

- Pochowałam dwóch mężczyzn. Najpierw tatę Tommy'ego, a potem drugiego męża.

- Przykro mi - powiedziała Elizabeth.



Pomyślała, że nikt nie zasługuje na to, aby dwukrotnie doświadczać takiej tragedii, zwłaszcza kobieta w sile wieku. Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Elizabeth uświadomiła sobie, że właśnie teraz zawiązuje się przyjaźń między nią a nowymi znajomymi. Wyglądało na to, że na wiosnę nie będzie chętna do opuszczenia miasta.

- Virginio, mogłabym pomóc ci ufarbować kilka sukienek, jeśli chcesz - zaproponowała, czując, że to odpowiedni moment, aby zaczęły zwracać się do siebie po imieniu. Następnie spojrzała na Annabelle. - Annabelle, ty pewnie masz jakieś rzeczy Thomasa, które przydałoby się odświeżyć.

Obie zgodnie pokiwały głowami.

- To byłoby miłe z twojej strony, Elizabeth - potwierdziła Virginia.

- Czy mogłybyśmy zająć się tym jeszcze przed Gwiazdką? - spytała nieśmiało Annabelle.

- Czemu nie? - zgodziła się Elizabeth, wiedząc, że i tak powinna przygotować jakieś prezenty dla bliskich. - Póki co musimy zająć się problemem podziału sali.

- Może warto by pomalować całą podłogę na czarno? - zaproponowała Annabelle, ale bez przekonania. - Rzecz w tym, że mamy w sklepie tylko jedną puszkę czarnej farby, a to nie wystarczy. Poza tym, nawet gdybyśmy zamalowały posadzkę, to i tak nie wyschnie przed jutrzejszymi lekcjami.

- Mam wolne popołudnie - oświadczyła Virginia - ale skoro farba nie ma szansy wyschnąć...

- Nie trzeba malować całej podłogi - zdecydowała nagle Elizabeth. - Mam pomysł.

Jake wraz z innymi mężczyznami wyruszył w kierunku fortu i dotarł do lasu, z którego żołnierze brali drewno na opał. Niósł na ramieniu spory pniak. Także Higgins, Wells i Colter dźwigali pniaki starych topoli. Wcześniej pobieżnie usunęli tylko większe gałęzie i teraz jedna z pozostałych, mniejszych gałązek drapała Jake'a po karku.

- Wyjaśnij mi jeszcze raz, czemu to drewno będzie się paliło tak powoli, że pastor prawie wcale nie będzie musiał dorzucać do ognia - sapnął Jake, gdy na chwilę

przystanął i rzucił kłodę na ziemię, żeby wreszcie pozbyć się dokuczliwej gałązki. - Ty tak powiedziałeś, Higgins.

- Na pewno nie o to mi chodziło, że nie będzie trzeba dorzucać do ognia - zaprotestował Higgins i powoli zsunął bal na ziemię. - Drewno pali się dłużej, jak pniak jest gruby.

- Grube to one są, bez dwóch zdań - zgodził się Wells i z ulgą cisnął własne brzemie. - A jak grube, to i ciężkie.

Jake potarł dłonią kark i pomyślał, że nie podrapałby się, gdyby nie ostrzygł włosów.

- Wcale nie jestem pewien, czy jutro ktoś przyjdzie do szkoły, więc pewnie i tak nie ma sensu palić w piecu - stwierdził.

Wiedział, że mieszkańcy, którzy tego ranka opuścili kościół, zamierzają wprowadzić w mieście zmiany. Prawdopodobnie w pierwszej kolejności wezmą na celownik szkołę.

- Daj mi znać, jak dzieci nie przyjdą. - Colter zrzucił swój ciężar. - Gdyby tak się stało, to przyślę Danny'ego... - Zawiesił głos.

- Miejsce dla Danny'ego z pewnością się znajdzie, nawet jeśli zjawią się pozostali uczniowie. - Jake przysiadł na pniaku, wzorem Higginsa i Wellsa. - Pastor zapowiedział, że wszystkie dzieci są mile widziane.

Colter pokręcił głową.

- Nie posyłałem chłopaka wcześniej, bo się bałem, że będą się z niego nabijać. Jego matka kiedyś pracowała w saloonie.

- A jego ojciec? - zainteresował się Jake.

- Właśnie z tego powodu mu dokuczają. Niektórym przyszło do głowy, że jestem jego ojcem. Poznałem jego matkę dopiero parę lat temu. Niedługo potem umarła, a dzieciak nie miał się gdzie podziać, więc pomyślałem, że robota w saloonie jest lepsza niż śmierć z głodu.

- Nie martw się o niego - pocieszył go Jake. - Higgins będzie na miejscu i dopilnuje, żeby nikt go nie zaczepiał.

- Uczysz w szkole? - spytał zaskoczony Colter.

- Nie uczę, tylko chodzę się uczyć - sprostował Higgins. - Zamierzam nauczyć się czytać i pisać.

- Człowiek wcale nie musi umieć czytać - zaprotestował Wells. - Jak się nauczysz czytać, to szybciej przeniesiesz te bale na miejsce?

- Może i nie - przyznał Higgins i rozprostował nogi. - Ale byłoby piekielnie miło usiąść przy kominku i poczytać książkę.

- Kobiety to lubią, prawda? - zaciekawiał się nagle Colter. - Chętnie czytają przy kominku?

- Rzekłbym, większość kobiet - potwierdził z przekonaniem Jake. - Uważają, że to romantyczne - dodał.

Przypomniał sobie, że koniecznie musi kupić tomik poezji dla Elizabeth. Nie mógł zapomnieć o stacjonującym w forcie żołnierzu, który napisał dla niej wiersz. Jake czuł, że nie zdołałby powtórzyć tego wyczynu, ale pocieszał się myślą, że Elizabeth będzie równie zadowolona z eleganckiego, oprawionego w skórę zbioru. Nagle uświadomił sobie, że ktoś inny pierwszy pomyślał o romantycznych słowach, i uważniej przyjrzał się właścicielowi saloonu.

- Masz na myśli jakąś konkretną kobietę, która chciałaby czytać przy twoim kominku?

Colter wzruszył ramionami.

- Kto wie - burknął.

Jake napiął mięśnie na wypadek, gdyby przyszło mu w pośpiechu wstać z pieńka.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o Virginie Parker - powiedział. - To przyzwoita dziewczyna...

- Myślisz, że o tym nie wiem? - Colter skrzywił się z niesmakiem. - Chyba rozumiesz, czemu każe jej opuszczać saloon przed zmrokiem?

- Szczerze mówiąc, nie pojmuję, po co ją zatrudniłeś. Przecież nie umie grać na pianinie niczego poza psalmami.

- Wiem! - obruszył się Colter. - W rezultacie wypłoszyła większość moich bywalców. Ci, którzy zostali, albo stanowczo odmówili picia whisky, albo siedzą nad drinkami, chlipią bez opamiętania i rozmawiają ze zmarłymi matkami. Nawet barman

grozi mi odejściem. Powiada, że widok dorosłych facetów, którzy tak się mazgają, wpędza go w depresję.

- Miles City to nie jest małe miasteczko, na pewno znalazłoby się w nim inne zajęcie dla Virginii.

- Ona już ma pracę. - Colter wstał. - U mnie.

Tak to wygląda, pomyślał Jake i również dźwignął się z pnia.

- Taka kobieta jak ona zasługuje na własny dom, męża i...

- Wiem, wiem - burknął Colter.

Zrobił kilka kroków i kopnął parę kamieni, które w niczym mu nie przeszkadzały. Jake pomyślał, że Colter jest zdenerwowany, ale trudno było się temu dziwić. Wiadomo, że mężczyzna ma poważny problem, kiedy wpadnie mu w oko kobieta, której nie może zdobyć.

- W takim razie wracajmy do roboty - zdecydował Jake. Higgins i Wells również wstali. - Musimy przetransportować bale do szkoły, a potem porąbać je na kawałki.

- Czy mi się zdaje, czy dzisiaj jest niedziela? - Higgins westchnął i podniósł swoją kłodę. Miał nadzieję, że kobiety nie pracują tego popołudnia tak ciężko jak oni. - Właściwie czyj to był pomysł, żeby przynieść drewno na opał?

Żaden z mężczyzn nie chciał się przyznać.

Zmierzchało, kiedy dotarli na szkolne podwórze i zwalili kłody za budynkiem, tam, gdzie leżał zapas drewna.

- Chyba wielebnemu wystarczy opału - zauważył Jake. - W takiej sytuacji przyjdę jutro, żeby porąbać pniaki.

Pomyślał, że dzięki temu będzie miał okazję rzucić okiem na to, co robią uczniowie. Nawet Elizabeth nie mogłaby oskarżyć go o brak taktu, gdyby rozejrzał się, zachowując dyskrecję.

- Ja mogę przyjść po południu. W lokalu i tak nic się nie dzieje o tej porze - oświadczył Colter. - Poza tym wolę mieć oko na sytuację w szkole.

Jake popatrzył na niego uważnie.

- Wiesz coś konkretnego, czy tylko masz przeczucie? - spytał.

Colter wzruszył ramionami.

- I jedno, i drugie, po trochu. Danny powiedział, że przypadkiem usłyszał rozmowę jakichś chłopaków, którzy podobno coś szykowali na poniedziałek.

- Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej?

- Wspominam teraz. Danny obszedł budynek, żeby wejść tylnymi drzwiami i wtedy zauważył dwóch starszych chłopaków, którzy tam siedzieli. Na jego widok umilkli, ale podobno usłyszał, jak mówili coś o szkole albo o pralni Sama Lee. Danny nie był pewien.

- Czemu mieliby się interesować pralnią?

- Chłopcy w ich wieku często wygadują głupoty i się przechwalają - stwierdził Higgins. - Może wcale niczego nie szykują.

Colter pokiwał głową.

- Między innymi dlatego nie powiedziałem o tym wcześniej.

- A miałeś inne powody, żeby siedzieć cicho?

Colter popatrzył Jake'owi w oczy.

- Nie byłem pewien, czy ktoś uwierzy Danny'emu. Nie po tym, jak ukradł zegarek.

- Czy Danny często kradnie? - zainteresował się Jake.

- Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek to robił, ale z chłopakami różnie bywa.

Odniosłem wrażenie, że znalazł się na rozstajach dróg i może pójść w dobrą albo w złą stronę.

- Trzeba przyznać, że miał ciężkie życie - powiedział Higgins.

- Jestem dla niego kimś w rodzaju ojca i naprawdę nie wiem, jak mu pomóc.

- Karmisz go, ubierasz, przyprowadziłeś go do kościoła - wyliczył Jake. - To niemało jak na początek.

- Zgodził się przyjść na mszę tylko dlatego, że Virginia miała śpiewać. Uwielbia tę dziewczynę i powtarza, że ożeni się z nią, gdy dorośnie.

- Och! - wykrztusił zaskoczony Jake.

- Tak, tak. - Colter uśmiechnął się z goryczą.

- Co dokładnie usłyszał Danny? - spytał Higgins z niecierpliwością. - To ważne.

- Podobno chcą dać do wiwatu wielbicielom Indian. - Colter wydawał się przygnębiony. - Wybaczcie, to nie są moje słowa. Danny powtórzył też, że zamierzają stłuc człowieka z góry na kwaśne jabłko.

Zastanawiałem się, dlaczego tak mówią o Samie Lee, ale teraz wiem, że Higgins chodzi do szkoły, więc na pewno jego mieli na myśli.

- Niech no spróbują! - zagrzmiał Higgins i zacisnął wielkie pięści.

- Ciszej, człowieku - syknął Jake i zerknął na szkołę. - Nie ma potrzeby niepokoić kobiet.

Umilkli. Znajdowali się na tyłach budynku, więc Jake przez chwilę nasłuchiwał, czy drzwi się przypadkiem nie otwierają, ale wyglądało na to, że pracujące w środku panie niczego nie usłyszały.

- Chyba pora sprawdzić, jak przebiega sprzątanie - zaproponował.

- Wątpię, żeby udało się im wytrzeć farbę szczotkami - oświadczył Colter. - Moim zdaniem, to wręcz niemożliwe.

Jake podzielał jego opinię, ale nie zamierzał mówić tego głośno. Nauczył się, że kobiety rozwiązują problemy na własne sposoby i nie chciał wchodzić im w paradę, a zwłaszcza Elizabeth.

## Rozdział jedenasty

Jake stanął jak wryty na widok przepięknie ozdobionej na święta sali. Na czarnej kresce pośrodku podłogi widniały namalowane żółtą farbą gwiazdki oraz przepleciony wokół nich ostrokrzew. Kobiety, odwrócone do drzwi plecami, nie usłyszały, jak wszedł, gdyż były zajęte malowaniem napisu „Wesołych Świąt” na ścianie po stronie Dry Creek. Nad życzeniami znajdowały się namalowane na czerwono dzwonki, a wokoło roilo się od spadających gwiazdek.

- Nie traciły panie czasu - zauważył z podziwem.

Zza jego pleców wychylili się pozostali mężczyźni.

Jake kątem oka zauważył, że obie bratanice śpią na kocu w kącie pomieszczenia.

- Proszę nie deptać po farbie. - Elizabeth odwróciła się do przybyłych. - Jeszcze nie zdążyła wyschnąć.

Jake uśmiechnął się szeroko. Na policzku żony zauważył żółte maźnięcie, a na grzbiecie dłoni czerwoną smugę. Elizabeth sprawiała wrażenie ogromnie zadowolonej z siebie.

- Będziemy ostrożni - obiecał.

- Jak widzę, zrezygnowały panie z pomysłu wyszorowania podłogi - odezwał się Colter.

Ostrożnie podszedł do kreski i popatrzył na namalowane gwiazdy i gałązki ostrokrzewu.

- To z okazji świąt - powiedział cicho Jake na wypadek, gdyby Colter nie zorientował się, czemu służą malunki.

- Postanowiłyśmy inaczej się uporać z tym problemem. - Virginia odwróciła się do Coltera i uśmiechnęła szeroko, wręcz entuzjastycznie.

Jake nie wiedział, czy promienieje na widok właściciela saloonu, czy też z zadowolenia, że udało się udekorować salę. W dłoni trzymała pędzel umazany żółtą farbą, którym gestykulowała podczas mówienia.

- Elizabeth wpadła na ten pomysł - kontynuowała z ożywieniem.

- Dzieci uwielbiają Gwiazdkę - dodała Elizabeth i ostrożnie odłożyła pędzel do pustej puszki po farbie. - Dlatego postanowiłyśmy przypomnieć, że wielkimi krokami zbliża się święto dobroci i pojednania. Po Bożym Narodzeniu nie zabraknie czasu na pomalowanie całej podłogi, a także przedniej ściany.

- Gwiazdki są ładne - pochwalił Jake. - Bardzo mi się podobają.

Lubił czytać o tym, jak gwiazda betlejemaska prowadziła Trzech Mędrców podczas ich wędrówki. Wiedział, że wielu ludzi wędruje przez życie w poszukiwaniu czegoś nieuchwytnego, choć nie mają pewności, że to znajdą. Jake porzucił rozmyślania i spostrzegł, że Higgins podszedł do ściany, na której Annabelle malowała gałązkę ostrokrzewu. Wells z kolei popatrzył na pusty koszyk, do niedawna pełny pączków.

- Nie zechce pani przypadkiem usmażyć jeszcze trochę pączków? - spytał nieśmiało. - Dla uczczenia dobrej woli, świąt i w ogóle...

- Zamierzam przygotować następną porcję dla dzieci - przyznała Elizabeth. - Większość nie dostała dzisiaj ani jednego pączka. Chcemy przyszykować mnóstwo pyszności na święta.

- A będą ciasta? - ożywił się Wells. - Moja mama piekła na Gwiazdkę najlepsze ciasta orzechowe pod słońcem.

Jake po raz pierwszy słyszał, że Wells mówi o zamiłowaniu do ciasta orzechowego. Do tej pory nie wspominał także o matce.

- Będą też ciasta - potwierdziła Elizabeth. - Mam nawet orzechy, specjalnie odłożone na Gwiazdkę.

Jake przypomniał sobie, że przed laty jego matka również postanowiła upiec ciasto. Nazrywał dla niej owoców, już dawno temu zapomniał jakich. Matka spędziła cały ranek na ugniataniu ciasta i w końcu wsunęła placek do piekarnika. Albo za bardzo go rozgrzała, albo za dużo nałożyła do formy, w każdym razie owoce puściły sok, który przelał się przez ścianki naczynia i spłynął na dno piekarnika. Przez resztę dnia trzeba było wietrzyć dom, a matka uznała, że placek jest niejadalny, i wyrzuciła go do śmietnika. Nie próbowała upiec następnego. Jake wiedział, że Elizabeth nie zniechęciłaby się po pierwszej nieudanej próbie.



- Rozmawialiśmy z wielebnym Olsonem - ciągnęła Elizabeth. - Wspólnie z uczniami wystawimy jasełka.

- Dla całego miasta - dodała Virginia i zaklaskała w dłonie z radości. - Czy to nie cudowne? Dzieci przebiorą się za aniołki i będziemy śpiewać!

Jake i Colter wymienili niespokojne spojrzenia.

- Wszystkie dzieci? - upewnił się Jake.

- Oczywiście - przytaknęła.

- Nie jestem przekonany, czy starsza młodzież zdecyduje się na coś podobnego. Zwłaszcza chłopcy... - Zawiesił głos, widząc rozczarowanie w oczach Virginii. - Niewykluczone, że będą potrzebowali specjalnych kostiumów - dodał pośpiesznie. - Małym dzieciom wystarczy koszula po ojcu, ale starszym...

- Pomyślałyśmy o kostiumach - oznajmiła Virginia i ponownie się rozpogodziła. - Elizabeth powiedziała, że możemy wykorzystać stare kombinezony, które razem z innymi rzeczami nadal trzyma w wozie. Wystarczy dodać do nich jakieś białe akcenty, albo ufarbować je, choć nie wiem, czy udałoby się potem je sprzedać. Tak czy owak, są dostatecznie duże na starszych chłopców, a dla młodszych trochę je przytniemy tu i tam. - Virginia umilkła, żeby nabrać tchu, i popatrzyła na Coltera.

- Jestem przekonany, że dzieci ucieszą się z możliwości wystąpienia w jasełkach - powiedział.

- Chyba nie trzeba będzie doczepiać im skrzydeł? - spytał Jake.

Ktoś musiał się wypowiedzieć, a Colter najwyraźniej zapomniał języka w gębie. Gdyby nie było skrzydeł, chłopcy mogliby wmówić sobie, że są skałami albo drzewami.

- Skrzydła! - wykrzyknęła z zapalem Virginia. - Oczywiście, że będziemy musiały zrobić skrzydła.

- Kiedy dzieci dowiedzą się o tych planach? - spytał Jake.

- Jutro rano, po lekcji rachunków. Około dziesiątej. - Elizabeth stanęła obok Virginii. - Chcemy zaczekać z nowinami, inaczej entuzjazm nie pozwoli im spokojnie się uczyć.

Jake zerknął na Coltera. Uświadomił sobie, że w tym czasie obaj będą rąbać drewno pod szkołą. Był absolutnie pewien, że starsza młodzież nie zgodzi się nosić

skrzydeł i wybuchnie awantura. Na szczęście nikt dotąd nie napomknął o aureolach. Jake obiecał sobie w duchu, że za nic w świecie nie wspomni o tym anielskim atrybucie.

- Czy niektórzy chłopcy nie mogliby grać karczmarzy? - spytał. Domyślał się, że woleliby zamiatać podłogę, niż trzepotać skrzydełkami w towarzystwie dziewczynek. - Albo pasterzy? - Chłopcy marzyli o tym, żeby zostać kowbojami, ale mogliby przystać na role pasterzy.

- Hm, powinniśmy obsadzić kogoś w roli Józefa, rzecz jasna. - Elizabeth przygryzła wargę. - Potrzebujemy też Marii i Dzieciątka.

- Marię i Józefa mogą zagrać dorośli. - Annabelle odwróciła się, żeby zabrać głos w dyskusji. - Przecież to mają być jasełka dla całej społeczności. Dorośli również powinni wziąć w nich udział.

Jake zastanawiał się, jak do tej bożonarodzeniowej szopki ustosunkuje się pani Barker i Liga Poprawy Obywatelskiej, i doszedł do wniosku, że w tym wypadku byłby w stanie zrozumieć jej niechęć. Serdecznie współczuł każdemu dorastającemu chłopakowi, który musiałby nosić skrzydła.

Elizabeth wracała do domu razem z Jake'em i dziewczynkami. Trzymała w objęciach niemowlę, a Nakrapiana Sarenka siedziała na koźle, pomiędzy dorosłymi. Była zmęczona, ale bardzo zadowolona.

- Dobrze, że przestało padać - odezwała się Elizabeth. - Farba będzie schła jeszcze przez większość nocy. Gdyby było wilgotno, rankiem podłoga pewnie byłaby jeszcze mokra.

- Nie byłoby źle, gdyby szkoła została zamknięta na dzień lub dwa. - Jake lekko ściągnął wodze, żeby konie pokonały szeroki zakręt.

- Przecież dzieci muszą chodzić na lekcje.

- Wiem, ale dzień lub dwa nie mają większego znaczenia.

- Myślisz, że postąpiliśmy słusznie? - spytała Elizabeth. - Czy na pewno nie popełniłyśmy błędu, malując wyłącznie stronę Dry Creek? Nie chciałyśmy sprawiać wrażenia, że zagarnęłyśmy dla siebie całą salę. Może mieszkańcy Miles City wcale nie życzą sobie świątecznych ozdób ani jasełek.

- Wydaje mi się, że ludzie powinni składać sobie życzenia świąteczne, zwłaszcza jeśli mieszkają po sąsiedzku.

Elizabeth skinęła głową. Ona też tak uważała. Martwiło ją, że ciągle myśli o czarnej kresce, choć przecież znikła pod świątecznymi malowidłami. Doszło do niepotrzebnego podziału na mieszkańców Miles City i Dry Creek. Annabelle, Jake, Higgins, nawet Wells zostali wyrzuceni poza nawias. Kiedy rano jechali do kościoła, czuli się członkami jednej społeczności.

- Jesteśmy w domu - powiedział cicho Jake, a Elizabeth zauważyła, że Nakrapiana Sarenka zasnęła u boku stryja. Niemowlę także mocno spało.

- To był długi i ciężki dzień - szepnęła.

Jake odprowadził konie do stajni, nakarmił wszystkie zwierzęta i dopiero potem skierował się w stronę chaty. Przystanął na moment i rozejrzał się po okolicy. Zapadał zmierzch, Topole osłaniały dom od wschodu, wąż z strumieniem znajdował się na tyle blisko, że czerpanie wody nie nastęczało większych trudności. Pusta przestrzeń, rozciągająca się wokół, mogła budzić niepokój niektórych, ale Jake'a odprężyła.

Pomyślał, że wybrał dobre miejsce na siedlisko. Rzecz jasna, z biegiem czasu zamierzał przebudować prymitywny domek. Może już niedługo zamówi telegraficznie następny transport drewna, o ile rzeka Missouri ponownie się udroźni, a parowce będą mogły pokonać drogę do Fort Benton. Bez względu na to, czy Elizabeth z nimi zostanie, dziewczynki potrzebowały wygod. Być może powinien zabrać się do remontu jeszcze tego lata. Tymczasem odnotował sobie w pamięci, że trzeba uzupełnić zapas nafty do lampy. Postanowił w najbliższych dniach kupić książki, które zapewnią jemu i bliskim rozrywkę na zimowe wieczory.

Już od progu poczuł woń smażonej cebuli. Na stole czekały dwa talerze, a Elizabeth stała przy piecu. Wcześniej miała na sobie sukienkę, w której szorowała podłogę, lecz teraz była ubrana w inną, co prawda, niezbyt nową, ale czystą i suchą.

- Nakrapiana Sarenka zjadła kolację i poszła spać - powitała Jake'a. - Nakarmiłam też niemowlę, więc i ono śpi.

Jake zerknął na poddasze i podszedł do Elizabeth. Starał się mówić cicho, żeby nie obudzić dzieci.

- Czy wspominała o ucieczce?

Elizabeth pokręciła głową.

- Mam nadzieję, że perspektywa wspólnych świąt zatrzyma ją przy nas na pewien czas. Podczas kolacji oczy jej się kleiły ze zmęczenia, a mimo to ciągle wypytywała mnie o Gwiazdkę.

- Jeszcze niedawno siadywała w otoczeniu starców ze swojego plemienia, by godzinami słuchać ich opowieści. - Z nieskrywanym zainteresowaniem popatrzył na piec. - Pięknie pachnie. Co to takiego?

- Zwykle smażone ziemniaki z cebulą. Annabelle podsunęła mi ten pomysł, jej syn za nimi przepada, na dodatek dała mi parę cebulek z własnej piwniczki. Na wiosnę muszę koniecznie posadzić cebulę. Dałam jej przepis na duszone pomidory, żeby się odwdzińczyć.

Elizabeth zdjęła z pieca patelnię i podeszła do stołu. Przełożyła ziemniaki oraz cebulę na talerze.

Jake się ucieszył, że żona znalazła wspólny język z Annabelle i Virginią. Jego matka uskarżała się na samotność. Może ta okolica zmieniła się w ostatnich latach na tyle, że kobiety mogły prowadzić życie towarzyskie, nawet jeśli ograniczało się ono do wymiany przepisów kulinarnych i malowania gwiazdek na podłodze w szkole.

- Nie przypuszczałem, że posiadałaś tak dużo przydatnych umiejętności - zauważył Jake, siadając na krześle. - Virginia wspomniała, że znasz się nawet na wytwarzaniu mydła, poza tym samodzielnie farbujesz ubrania. Nie sądziłem, że kobiety żyjące na wschodzie mają pojęcie o takich sprawach.

Elizabeth odłożyła łyżkę na patelnię.

- Tak się składa, że nie każda kobieta może być damą - oświadczyła. - Trudno o to, skoro prowadzenie domu jest pracochłonne i wyczerpujące.

Jake popatrzył na nią ze zdumieniem, a Elizabeth poniewczasie ugryzła się w język.

- Przepraszam, że tak ostro to ujęłam. To dlatego, że jestem zmęczona.

Oboje siedzieli przy stole, ale żadne z nich nie zabrało się do odmawiania modlitwy, więc nie mogli przystąpić do jedzenia. Jake patrzył na żonę tak, jakby oczekiwał, że usłyszy coś więcej.

- Oczywiście, że jesteś zmęczona - zgodził się. - Poza tym dzisiejszego popołudnia na pewno sporo rozmyślałaś o przeszłości.

Tym razem Elizabeth skierowała na niego uważne spojrzenie. Co chciał przez to powiedzieć?

- Chodzi mi o twoje dotychczasowe Gwiazdki wyjaśnił. - Moją matkę ogarniał smutek, gdy przeglądała swoje rzeczy z wcześniejszych świąt. Podejrzewam, że całe to wpatrywanie się w drobiazgi i pocztówki z dzieciństwa budziło w niej zbyt wiele wspomnień.

- Nie przeżywam świąt w taki sposób - odparła Elizabeth.

Powiedziała prawdę. Świeta nie wiązały się dla niej ze szczególnymi przeżyciami. Dawno temu nauczyła się, że kto nie miał wygórowanych oczekiwań, oszczędzał sobie rozczarowania.

Jake przypatrywał się przez chwilę żonie, po czym pochylił głowę.

- Dzięki Ci, Ojcze, za ten dzień, który nam ofiarowałeś - powiedział. - Dziękujemy Ci także za sąsiadów i prosimy, byś nam pokazał, jak powinniśmy żyć razem w pokoju. Poza tym dziękujemy Ci za te potrawy, które przyrządziła dla nas Elizabeth. Amen.

- Amen - powtórzyła Elizabeth i sięgnęła po łyżkę.

- Pewnie masz w swoim bagażu jakieś rzeczy z dawnych świąt - zauważył Jake i zabrał się do jedzenia. - Drobiazgi, które dostałaś w dzieciństwie.

- Nie.

Jake znieruchomiał z uniesioną łyżką i uważnie popatrzył na Elizabeth.

- Twój mąż chyba uznał, że nie znajdzie na nie miejsca na wozie, prawda?

- Nie miałam nic do zabrania - wyznała. - Może z wyjątkiem niewielkiej ilości przędzy, którą ufarbowałam na jaskrawoczerwono, żeby zrobić kocyk dla Rose na jej pierwszą Gwiazdkę. Nic poza tym.

- Na pewno nie brakuje ci wspomnień - upierał się Jake.

Nawet on miał w pamięci święta, na które ojciec wystrugał mu konia albo niedźwiedzia grizzly. Innym razem dostał od matki paczkę landrynek, którą odłożyła na zapas po ostatniej wyprawie ojca do sklepu.

Elizabeth opuściła wzrok na talerz, zupełnie jakby chciała zakończyć rozmowę.

- Przykro mi. Wiem, że wspomnienia niekiedy najlepiej pozostawić w spokoju. Nie chciałem być wścibski - tłumaczył się.

- Nie mam nic ciekawego do opowiedzenia. W dzieciństwie brakowało mi czasu na obchodzenie Gwiazdki, miałam urwanie głowy z szykowaniem świąt dla rodziny. Trzeba było wyszorować okna, żeby ktoś mógł zawiesić w nich sosnowe stroiki. Poza tym siekałam orzechy i wyrabiałam ciasto na bułeczki z owocami, a później piekłam ciasta i puddingi. Zwykle dostawałam trochę wolnego czasu po wieczery wigilijnej, ale byłam tak wyczerpana, że marzyłam tylko o śnie.

- Przecież twoi rodzice na pewno...

- Jestem sierotą. - Elizabeth odsunęła talerz, chociaż dotąd zdążyła zjeść zaledwie kilka kęsów.

- Przykro mi. - Jake zerwał się z miejsca. - Nie miałem pojęcia...

- To oczywiste. - Elizabeth również wstała od stołu i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie mogę powiedzieć, że nigdy nie obchodziłam świąt. Gdy byłam mała, kucharki prawie zawsze zostawiały mi coś pysznego do jedzenia. Dostawałam połamane pierniczki, a czasami trafiała mi się cała pomarańcza. Jedna z rodzin sprezentowała mi nawet nowe buty. Zgodnie z umową, miałam dostać parę butów i sukienkę za pracę, więc i tak otrzymałabym te rzeczy jako zapłatę, ale miło, że kupili mi je właśnie z okazji świąt.

- Ile miałaś lat, kiedy zmarli rodzice?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Przyznam, że nie pamiętam. Mam wrażenie, że jednego tygodnia byłam z nimi, a już następnego pracowałam w obcym domu.

- Z pewnością było ci ciężko.

Jake wyciągnął ręce, a Elizabeth niepewnie pozwoliła się objąć. Nagle zeszywniała.

- Coś się stało?

- Ja... - Cofnęła się z pochyloną głową.

Sprawiała wrażenie przygnębionej, a zarazem zdeterminowanej.

- Możesz mi powiedzieć - zapewnił ją Jake. - Cokolwiek cię trapi, zrobię wszystko, żeby cię wesprzeć.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Wybacz, ale chcę nosić żałobę po Matthew.

Jake z trudem powstrzymał się od ciężkiego westchnienia.

- Przecież Matthew nie jest już twoim mężem.

- Wiem. To trochę tak jak z rodzicami. Przeniosłam się do innego domu, ale to nie oznacza, że powinnam wymazać z pamięci wszystkie wspomnienia.

- Jestem przekonany, że nikt nie chciał, abyś zapomniała o rodzicach.

- Może i nie, ale nie miałam okazji opłakiwać ich śmierci. - Wzruszyła ramionami.

- Nie chcę, żeby ta sama sytuacja powtórzyła się z Matthew. To był dobry człowiek, zasługuje na to, żeby ktoś przez pewien czas wspominał jego odejście.

Jake rozumiał Elizabeth, co nie znaczy, że akceptował to postanowienie. Przecież to on jest teraz jej mężem.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytał.

- Potrzebuję czarnej sukienki - odparła po chwili wahania. - Zwykle sama farbuję tkaniny, ale zbliżają się święta i oboje mamy mnóstwo spraw do załatwienia...

- Kup wszystko, co ci jest potrzebne - przerwał jej.

- Nie proszę cię, żebyś podarował mi nową sukienkę. Pozostało mi trochę czerwonej bawełny, którą z całą pewnością mogłabym sprzedać albo wymienić na odpowiednią ilość czarnego materiału. Sama się tym zajmę, rzecz jasna, potrzebuję tylko twojej aprobaty.

Jake wpatrywał się w nią przez moment, nim w końcu skinął głową.

- Dziękuję ci.

Elizabeth poczuła się jeszcze bardziej zmęczona niż wtedy, gdy leżała w namiocie w oczekiwaniu na własną śmierć. Nie sądziła, że decyzja o następnym zamążpójściu okaże się tak kosztowna.

Nie zrezygnowała dobrowolnie z życia z Matthew i Rose, jej bliscy nagle znikli, przepadli bez śladu. Potrzebowała czasu na ich opłakanie. Wiedziała, że dopiero po zakończonej żałobie będzie mogła w pełni otworzyć się na nową rodzinę.

Usłyszała szcęknięcie zamykanych drzwi.

To Jake bez słowa wyszedł z domku.

TLR



## Rozdział dwunasty

Jake'owi wcześniej nie przyszło do głowy, że przynajmniej za jego życia własna żona będzie nosiła żałobną czerń. Najwyraźniej jednak właśnie tak miało być. Elizabeth niezwłocznie zabrała się do poszukiwań czarnej sukni i w tym celu w poniedziałek wybrała się razem z mężem i dziewczynkami do miasta z samego rana, aby Nakrapiana Sarenka nie spóźniła się na lekcje. Dotarli na miejsce na tyle wcześnie, że Elizabeth zdążyła wejść do sklepu, zademonstrować Annabelle piękny, czerwony materiał i poprosić o wystawienie go na sprzedaż lub wymianę na czarną żałobną suknię.

- Odprowadzę Sarenkę do szkoły - oznajmił Jake.

Przejął od Elizabeth niemowlę i postanowił z nim pospacerować. Przed wszystkim jednak nie chciał być świadkiem, jak żona nabywa czarną sukienkę. Annabelle powiodła wzrokiem za odchodzącym Jake'em, po czym znowu skupiła uwagę na Elizabeth.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ze zdumieniem. - Przecież twoim mężem jest Jake, a on żyje i ma się dobrze.

- W przeciwieństwie do mojego poprzedniego męża - odparła Elizabeth. - Nie wiem, jak ty to robisz. Ja nie potrafię tak szybko zapomnieć o nieżyjących bliskich. Odeszli nagle i niespodziewanie i... Mieliśmy z Matthew marzenia, plany...

Annabelle położyła dłoń na ramieniu Elizabeth.

- Biedactwo - powiedziała z westchnieniem. - Powinnam pamiętać, że w twoim życiu nastąpiły gwałtowne zmiany. Świetnie do siebie pasujecie, ty i Jake.

- Przecież wzięliśmy ślub tylko przez wzgląd na ludzkie gadanie. Zawarliśmy umowę, że na pewien czas zaopiekuję się niemowlęciem, które zostało bez matki. Tyle, a teraz...

- Dociera do ciebie, że sytuacja jest bardziej skomplikowana - domyśliła się Annabelle.

- Mam nadzieję, że gdybym to ja odeszła, Matthew opłakiwałby mnie przynajmniej przez pewien czas, a nie od razu znalazł sobie kogoś na moje miejsce. Człowiek, który umarł, powinien nadal gościć w sercach żywych.

- Pamiętam, że sama się tak czułam, kiedy zmarł ojciec Tommy'ego. Narastało we mnie poczucie winy, wyrzucałam sobie, że poświęcałam mu za mało czasu i starania, kiedy żył. Żałowałam, że nie mogę spędzić z nim choćby krótkiej chwili. Pragnęłam go przeprosić za to, że krzyczałam, gdy w ubłoconych butach wchodził do domu.

- Matthew też nie zdejmował butów po wejściu z dworu.

- Jeśli potrzebujesz żałobnej sukni, to chętnie oddam ci własną - zaproponowała Annabelle. - Nie mogę w niej chodzić do pracy, a głupio mi nosić ją do kościoła, skoro przez resztę tygodnia jej nie wkładam.

- Naprawdę oddałabyś? Zawrzyjmy umowę: weźmiesz za nią moją czerwoną bawełnę.

- Na pewno nic od ciebie nie wezmę za tę okropną sukienkę. Dostałam ją od przyjaciółki i nie zapłaciłam ani centa. - Annabelle z zainteresowaniem popatrzyła na materiał, który Elizabeth trzymała w dłoniach. - Sama ufarbowałaś?

Elizabeth skinęła głową.

- Powinnaś stanowczo go zatrzymać - zdecydowała Annabelle.

- Aby zasłużyć na suknię żałobną, muszę zrezygnować z czegoś, co ma dla mnie jakieś znaczenie - oznajmiła Elizabeth. - Nie czułabym się dobrze, nosząc coś, co dostałam w prezencie.

- Skoro tak, zatrzymam materiał na jakiś czas, u później zastanowimy się wspólnie, co z nim zrobić. - Annabelle pogłaskała materiał. - Jest przepiękny.

- Dziękuję - szepnęła Elizabeth z zakłopotaniem.

Annabelle powoli pokiwała głową.

- Zamknę sklep na parę minut i przejdziemy do mojego mieszkania. Od razu dam ci sukienkę - postanowiła, a następnie sięgnęła pod ladę i wyjęła srebrny dzwoneczek. - To jedna z przyjemnych stron tej pracy. Mogę się wymknąć do siebie.

- Praca rzeczywiście jest dobra - zgodziła się Elizabeth i powędrowała za przyjaciółką na zaplecze. - Czy jesteś pewna, że pan Broadman się uspokoił? A może nadal grozi ci zwolnieniem?

Annabelle otworzyła drzwi prowadzące do małego mieszkania.

- Zjrzał rano do sklepu i zachowywał się jak zwykle. Moim zdaniem, za bardzo się denerwuje, kiedy pani Barker każe komuś coś zrobić i grozi, że inaczej ominie nas linia kolejowa. Pewnie skoczyłby z mostu, gdyby ta kobieta wmówiła mu, że tylko dzięki temu będziemy mieli stację.

Annabelle wprowadziła ją do niewielkiego saloniku.

- Niewykluczone, że ta kobieta ma trochę racji - myślała na głos Elizabeth. - Nie wiem, co biorą pod uwagę budownicy linii kolejowych, gdy wybierają miejsca na stację.

- Jestem coraz bardziej przekonana, że powinniśmy mieszkać tutaj bez względu na to, czy dotrą do nas pociągi, czy nie.

Meble w saloniku były stare, ale solidne. Ściany pokrywała tapeta w kolorze kości słoniowej, a w oknach wisiały jasnobrązowe zasłony.

Annabelle pomogła Elizabeth przymierzyć żałobną suknię. Okazała się odrobinę za duża, ale obie uznały, że prezentuje się nie najgorzej.

- Trzeba solidnie ją wyprać - zauważyła Annabelle. - Tylko nie wkładaj jej do zbyt gorącej wody. Popęliłam ten błąd i czarny kolor wyraźnie spłynął. Teraz wygląda na wypłowiałą.

Elizabeth uważnie obejrzała materiał.

- Najwyraźniej ktoś nie do końca wiedział, jak należy farbować tkaniny - powiedziała. - Łatwo zapomnieć o tym, że woda musi się gotować, kiedy się dodaje sodę amoniakalną.

W tym momencie usłyszały dzwonek.

- Oho, pora na mnie - oświadczyła Annabelle. - Nie śpiesz się. Nie mogę się doczekać, kiedy dzieci dowiedzą się o jasełkach. Specjalnie zataiłam tę wiadomość przed Tommym, żeby mógł jej wysłuchać razem z innymi.

Elizabeth skinęła głową i włożyła swoją codzienną sukienkę. Wybierała się do szkoły, aby po lekcji arytmetyki ogłosić dzieciom nowiny. Virginia obiecała, że nie zawiedzie i przyjdzie.

Jake wziął zamach i wbił siekierę w polano. On i Colter w zgodnym rytmie rąbali drewno. W pewnej chwili Jake przypomniał sobie o czarnej sukience, której domagała

się Elizabeth, i machinalnie przyśpieszył tempo pracy. Im dłużej o tym myślał, tym mocniej walił siekierą. Po kilkunastu solidnych, szybkich ciosach zauważył, że Colter ani na moment nie został w tyle.

- Coś cię trapi? - spytał Jake.

Colter był człowiekiem interesu, ale nie brakowało mu wytrzymałości i wytrwałości w pracy fizycznej. Już wcześniej ściągnął kamizelkę i podwinął rękawy. Wyprostował się, odstawił siekierę i otarł dłonią czoło.

- Kłopoty w saloonie - wyjaśnił zadyszany.

- Tracisz pieniądze?

- Chodzi o moich pracowników, jeśli to cię interesuje. Ktoś podprowadza pieniądze z kasy.

- Och. - Tego Jake się nie spodziewał.

- Chyba nawet wiem kto, ale...

- Mam nadzieję, że nie posądzasz Virginii Parker - przerwał mu Jake. - Nie wzięłaby nawet centa, który należy do kogoś innego.

- Wiem, ta kobieta jest święta. Raczej podejrzewam barmana.

- Ale nie wiesz na pewno.

- Niewykluczone też, że to robota Danny'ego.

- Hm. - Jake się zamyślił, po czym powiedział: - Nie wiem, co bym zrobił, gdybym przyłapał bratanicę na kradzieży. Rzecz w tym, że Siuksowie mają inne podejście do własności niż my, ale gdyby zabierała mi pieniądze, musiałbym położyć temu kres. Wątpię, by łatwo mi to przyszło.

- Zastanawiam się, co robią prawdziwi rodzice, jak się zachowują w takich sytuacjach - wyznał z zakłopotaniem Colter.

- Najlepiej spytaj Annabelle. Jej syn Tommy wydaje się przyzwoitym chłopakiem.

- Dobry pomysł. Tylko muszę zrobić to tak, aby nie wzbudzić jej podejrzeń. Ktoś mógłby pomyśleć, że kogoś bezpodstawnie oskarżam albo że uważam Danny'ego za złodzieja. - Colter uniósł siekierę i ponownie się zamachnął. - W takich sprawach ludzie zapamiętują to, co chcą usłyszeć, i potem nie zmieniają zdania, nawet jeśli prawda okazuje się inna.

Jake również sięgnął po siekiere. Nie zamierzał ustępować pola właścicielowi sa-  
loonu.

Nie minęły dwie minuty, a obaj ponownie przestali pracować, gdyż ujrzeli na ulicy  
Elizabeth i Virginie, które zbliżały się do szkoły.

- Miałeś okazję powiedzieć im, że przyszło niewielu uczniów? - spytał Colter.

Jake pokręcił głową.

- Przynajmniej nie musimy się martwić, że chłopcy nabroją. Nie wiem, po co  
wszczynają burdy w szkole, skoro nikt ich nie zmusza do nauki.

- Racja - zgodził się Jake.

- W takiej sytuacji chyba warto posłuchać, co powiedzą nasze panie - stwierdził  
możliwie obojętnym tonem Colter.

- Pewnie miło im będzie, że mają towarzystwo. Jake usłyszał trzask otwieranych  
drzwi i wbił siekiere w pień.

Elizabeth znieruchomiała na progu. W sali znajdowało się tylko pięć osób: pastor,  
bratanica Jake'a, Thomas, Danny i pan Higgins. Z tej gromadki zapewne jedna  
Nakrapiana Sarenka była zainteresowana rolą aniołka w bożonarodzeniowej szopce.

- Wygląda na to, że nasza praca nie dała spodziewanych rezultatów - szepnęła  
Elizabeth do Virginii. - Nie przyszło ani jedno dziecko z Miles City, a wiem, że wielebny  
zamierzał zaprosić panią Barker. Miała się osobiście przekonać, jak wygląda szkolna  
sala.

Żółte gwiazdki i spleciony ostrokrzew nie wydawały się już tak lśniące jak  
wczoraj. Choć w obu piecach napalono, było chłodno. Elizabeth podejrzewała, że po  
prostu brakuje ciepła ciał wielu dzieci, które zwykle przebywały w klasie.

- Nie możemy zmusić ludzi do tego, żeby byli dla siebie mili - zauważyła Virginia.

- Od tego jest prawo - odparła Elizabeth. - Po to istnieje, żeby ludzie zachowywali  
się w cywilizowany sposób.

- Tak czy owak, nie da się aresztować nikogo za to, że nie życzył komuś Wesołych  
Świąt.

Wielebny Olson zauważył obie panie.

- Proszę wejść - zachęcił je głośno i uśmiechnął się przyjaźnie. - Właśnie skończyliśmy rachunki.

Elizabeth skinęła głową i wraz z Virginią zbliżyła się do pastora.

- Nasze drogie panie mają dobre wieści - oświadczył duchowny tak entuzjastycznie, jakby sala pękała w szwach.

- To prawda - potwierdziła Elizabeth. - Przyszliśmy tu, żeby spytać, czy mielibyście ochotę wystawić jasełka. W przedstawieniu wystąpiłoby mnóstwo aniołków, a panna Virginia pokierowałaby ich śpiewem.

Danny podniósł rękę.

- Tak, słucham? - zwróciła się do niego Elizabeth.

- Czy mogę śpiewać razem z panną Virginią?

Elizabeth skinęła głową. Poczowała przyływ energii.

Skoro nawet Danny ucieszył się na wieść o spektaklu, inni wkrótce się przekonają, jakie to będzie wspaniałe przedstawienie.

- To chyba da się załatwić - oświadczyła.

Jake i Colter po cichu weszli do środka i zajęli miejsca w ostatniej ławce. Virginia śpiewała jedną z pieśni, które organizatorki zamierzały wykorzystać w jasełkach. Colter miał rozanieloną minę, a gdy Virginia zakończyła popis, westchnął. Jake wiedział, że to nie muzyka tak głęboko poruszyła właściciela saloonu. Niewiele brakowało, a on sam również zacząłby wzdychać. Żaden z nich nie radził sobie zbyt dobrze z kobietami, na których pragnęli zrobić wrażenie. Gruch! Tuż przed szkołą rozległ się wystrzał, a zaraz po nim następny.

- Wszyscy na podłogę! - wykrzyknął Jake, pochylił się i dopadł do drzwi.

Tuż za nim podążali uzbrojony w rewolwer Colter oraz Higgins, który po drodze sięgnął po solidny kawał drewna na opał. Jake oparł dłoń na nożu przypasanym do uda. Nie miał karabinu, ponieważ schował go wcześniej za stertą drewna za budynkiem szkoły.

Trzask! Po drugiej stronie budynku rozległa się następna eksplozja.

Jake popatrzył na Coltera.

- To nie jest broń palna - mruknął.

- To petarda - oznajmił Higgins. - Pewnie roboty Sama Lee.

W tej samej chwili Jake'owi mignęło przed oczami niebieskie ubranie uciekającego chłopca.

- Elias Barker - wycedził.

Powinienem być się domyślić, pomyślał.

Higgins pewnie również go zauważył, bo ryknął jak niedźwiedź i wypadł ze szkoły z okrzykiem: „Ja go dopadnę!”.

Jake zachichotał. Panowała opinia, że potężny Higgins jest dość nieruchawy, lecz on sam mawiał, że nauczył się biegać, kiedy ścigał niedźwiedzie. Jake nie wykluczał, że tak było naprawdę.

Dwadzieścia minut później Higgins wrócił, wlokąc za kołnierz białego ze strachu Eliasa Barkera.

- A teraz przeprosisz tych wszystkich dobrych ludzi za to, żeś ich wystraszył! - zagrział Higgins.

- Tam byli jeszcze inni - powiedział piskliwym głosem Elias.

- Na innych przyjdzie pora, jak ich wyłapię. Zacznę od ciebie, hultaju.

- Przepraszam - wymamrotał chłopak.

- Siadaj - warknął Higgins i lekko nim potrząsnął. - Do ławki, łotrze, i masz się uczyć jak należy.

Elias zachwiał się na nogach.

- Nie mogę. Mama mnie zruła. Nie wolno mi chodzić do szkoły z... - Urwał przestraszony.

Jake doskonale wiedział, co Elias chciał powiedzieć. Pani Barker zabroniła synowi chodzić do szkoły, w której uczyła się także Nakrapiana Sarenka.

- Porozmawiam z twoją matką - zapowiedział Jake i ruszył do drzwi.

- Zaczekaj.

Zatrzymał się i odwrócił do Elizabeth, która podążała w jego kierunku.

- Idę z tobą - oświadczyła, zatrzymawszy się o krok przed nim.

Jake z aprobatą skinął głową. Chciał, żeby żona była przy nim podczas trudnej rozmowy i wspierała go w razie konieczności.

## Rozdział trzynasty

Pani Barker mieszkała w piętrowym domu w pobliżu centrum miasteczka. Jake'owi od razu przyszło do głowy, że żona będzie porównywała ich nad wyraz skromny domek z okazałym domem pani Barker. Oceniał, że do budowy wykorzystano kilka transportów drewna. Nawet jedna trzecia zużytego budulca niewątpliwie wystarczyłaby do postawienia drugiej szkoły. Co więcej, front zdobiły dodatkowe okna.

- Och! - zdumiała się pani Barker, gdy ujrzała niespodziewanych gości. Od razu przywołała na twarz gniewny grymas.

Jake nie musiał się znać na elegancji i dobrym smaku, aby już od pierwszego rzutu okiem zorientować się, że dom, którego właścicielka niezycyliwie ich przywitała, jest urządzony kosztownie i wykwintnie. Nawet drewniana balustrada schodów lśniła od lakieru.

- Możemy wejść? - spytała Elizabeth.

Jake zerknął na żonę, która, w przeciwieństwie do niego, nie zaglądała do środka. Zachowywała się z godnością. Gdyby nie wiedział, co ich tu sprowadziło, pomyślałby, że wpadła z wizytą towarzyską. Uśmiechała się uprzejmie i mówiła spokojnie.

- To nie jest najlepszy moment - odparła chłodno pani Barker.

- Chodzi o Eliasa - kontynuowała Elizabeth, jakby nie usiłowano odprawić jej z kwitkiem.

- Jeśli mają państwo na myśli to, że nie stawił się na lekcjach, proszę darować sobie perswazje. Elias nie pojawi się w szkole do czasu, gdy stanie się ona odpowiednim miejscem dla naszych dzieci - oświadczyła pani Barker.

Najwyraźniej zamierzała zamknąć im drzwi przed nosem. Tego było dla Jake'a za wiele. Czas na uprzejmości minął.

- Czy pani syn zachowuje się odpowiednio, strasząc innych? - zapytał i postawił stopę za progiem.

Te słowa wystarczyły, żeby pani Barker otworzyła drzwi na oścież.

- Co pan ma na myśli?



- Sprawa przybrała niebezpieczny obrót. Elias odpala petardy. Na razie tylko przestraszył ludzi, ale to wystarczy. Doskonale pani wie, że wokoło nie brakuje nerwowych, uzbrojonych osobników, którzy na odgłos wystrzału natychmiast sięgają po rewolwer. Tego typu wybryki muszą się źle skończyć, prędzej czy później.

- Elias jest cały i zdrowy, prawda? - Pani Barker pobladła.

Jake skinął głową.

- Higgins go dogonił i sprowadził do klasy. Tam jest miejsce dziecka.

- To prawda, dzieci powinny chodzić do szkoły - przytaknęła Elizabeth.

Pani Barker wpatrywała się w nich przez moment.

- Widziałam, jak teraz wygląda sala - powiedziała i dodała z przekąsem: - Te świąteczne dekoracje... Są w nie najlepszym guście.

- Może pani uzupełnić je o własne, jeśli pani sobie życzy - zaproponowała Elizabeth.

- Przydałoby się więcej gałązek ostrokrzewu.

- Boże Narodzenie do dobra pora na pojednanie - podkreśliła Elizabeth. - Zwłaszcza dzieci uwielbiają Gwiazdkę, a wiem, że pani nie chciałaby im zepsuć świąt. Czy moglibyśmy załatwić nasze sprawy w nadchodzącym roku?

- Chcę tylko, żebyśmy mieszkali w lepszym miejscu - odparła pani Barker. - Stacja kolejowa w Miles City zapoczątkowałaby pozytywne zmiany i umożliwiła rozwój miasteczka, a tym samym pozwoliłaby wielu ludziom żyć na wyższym poziomie.

- Kolej nie będzie miała żadnego znaczenia, jeśli sami nie wypracujemy sposobu na wspólne, zgodne życie - zauważył Jake. - Zdarzało się, że z błahych powodów w społecznościach dochodziło do trwałych podziałów, które przeszkodziły rozwojowi.

Pani Barker milczała przez dłuższą chwilę, po czym zwróciła się do Elizabeth.

- Chyba ma pani rację. Możemy uporządkować nasze sprawy po świątach. Jestem przekonana, że żaden przedstawiciel kolei nie zaplanował wyjazdu służbowego tuż przed Bożym Narodzeniem.

- Czy zechciałaby pani wybrać się z nami i powiedzieć to swojemu synowi? - spytał Jake. - Mógłby przekazać tę informację kolegom i pewnie jeszcze tego popołudnia uczniowie wróciliby do szkoły.

- Zaraz będę gotowa, tylko wezmę czepek.

- Spotkajmy się na miejscu - zdecydował Jake i wziął Elizabeth pod rękę.

Nie chciał, żeby zbyt długo oglądała wnętrze domu pani Barker. O ile się nie mylił, w przedsionku znajdowało się okno, które nie miało żadnego praktycznego zastosowania. Kogo stać na niepotrzebne okno?

- Posłuchała nas! - wykrzyknęła zadowolona Elizabeth, kiedy mąż prowadził ją po schodach domu pani Barker. - Nie sądziłam, że jest skłonna posłuchać kogokolwiek.

- Martwi się o syna.

- To nie ulega wątpliwości.

- Pamiętaj, że nie dała za wygraną. Sprawa nie została załatwiona, a jedynie odłożona. Podejrzewam, że nie chce, by dzieci miały do niej pretensje, że ominęły je jasełka i inne atrakcje świąteczne.

Pod koniec dnia w szkole zrobiło się tłoczno. Pastor zaproponował, żeby Elizabeth i Virginia powtórzyły informację o jasełkach. Na wieść o przedstawieniu Elias głośno obwieścił, że pomysł jest beznadziejny, na co Higgins ostrzegł chłopca, żeby nie zapominał o dobrych manierach, bo będzie miał z nim do czynienia.

- I tak nie chcę być aniołem - oznajmił Elias. - Nikt mnie do tego nie zmusi.

- Nikt cię nie będzie zmuszał. Tylko dureń myślałby, że umiesz zachowywać się tak grzecznie, żeby udawać anioła.

Elizabeth podeszła do Eliasza. Jeszcze nie całkiem przybliżyła dzieciom szczegóły jasełek, ale wolała uniknąć głośnych kłótni na wstępie przygotowań.

- Skoro nie odpowiada ci rola anioła, możesz zagrać kogoś innego - powiedziała.

- To znaczy?

Obejrzała się na Virginie, oczekując wsparcia ze strony przyjaciółki.

- Mógłbyś być pasterzem - zaproponowała ochotczo Virginia.

- E tam - burknął chłopak. - Nie chcę być pasterzem. Owce są głupie, a poza tym mam konia. Pasterze nie mają koni.

- W takim razie... - Virginia rozejrzała się po klasie. - Najlepiej będzie, jak zagrasz gwiazdę.

- Taką jak na niebie? - spytał Elias, wyraźnie zaciekawiony tym pomysłem.

- Och, nawet większą i jaśniejszą niż te, które widzimy nad chmurami - rzekła Elizabeth. - Gwiazda betlejemka była zupełnie wyjątkowa. Pamiętasz Trzech Króli? Oni właśnie podążali ku gwiazdzie.

- Gwiazdy wskazują, jak coś znaleźć? - Elias podrapał się po głowie. - To one są jak mapa do ukrytego skarbu.

- W pewnym sensie - przyznała Virginia. - Chyba można powiedzieć, że z początku Jezus był ukrytym skarbem, gdyż nikt nie wiedział, gdzie go szukać.

- To dobrze - oznajmił Elias. - A mogę jeździć na koniu, jak będę gwiazdą? Mam gniadosza, takiego, co to trochę wygląda na żółtego.

- Przedstawienie wystawimy w klasie. Przecież wiesz, że nie możesz wjechać konno do szkoły.

Kilkoro dzieci codziennie przyjeżdżało na lekcje konno, a z boku szkoły stały paliki, do których można było przywiązać wierzchowce.

- Zawsze warto spróbować. Tata tak mówi. Jak kto ma dobrego konia, to może zrobić wszystko.

- Nawet twój tata wie, że konia nie da się wprowadzić do domu - zauważyła Elizabeth.

- Pewnie tak - zgodził się niechętnie Elias.

Elizabeth uznała, że chłopiec nie będzie stwarzał aż tak poważnych problemów, jak z początku sądziła. Powiodła wzrokiem po pozostałych dzieciach.

- Spędzimy cudowną Gwiazdkę - ogłosiła. - Odegramy historię narodzin Jezusa, odśpiewamy znane kolędy...

- Sprawimy też sobie choinkę - dodała z zachwytem w głosie Virginia. - A wy, drogie dzieci, zajmiecie się jej udekorowaniem. Szkoła musi mieć odpowiedni wystrój na święta.

Dzieci ochoczo pokiwały głowami. Prawie wszystkie słyszały o robieniu ozdób świątecznych, nawet jeśli same nigdy nie miały okazji ich przygotowywać. Pani Barker jeszcze nie dotarła, żeby namalować dekoracje na ścianie po stronie Miles City, ale Elizabeth zamierzała zaproponować jej pomoc, kiedy się zjawi.

- Poprosimy panów o dostarczenie nam odpowiedniego drzewka - zdecydowała Elizabeth. - Jestem przekonana, że znajdą bardzo ładną choinkę. Poza tym najważniejsza w świętach jest radość z ich obchodzenia, prawda?

Elizabeth i Virginia zgodnie zdecydowały, że pozwolą dzieciom wrócić do zajęć, więc opuściły klasę i przystanęły na schodach.

- Wygląda na to, że cieszą się z nadchodzącej Gwiazdki - zauważyła Virginia. - Kto by pomyślał, że tak trudno jest zapanować nad jedną klasą.

- Będzie lepiej, gdy rozpoczniemy próby - orzekła Elizabeth.

Była obolała po wczorajszym szorowaniu i malowaniu, gdyż odwykła od ciężkiej pracy przez dwa tygodnie bezczynnego leżenia w namiocie.

- Jutro zajmiemy się choinką - postanowiła Virginia. - A teraz muszę iść do saloonu i zasiąść do pianina. To moja praca

Elizabeth skinęła głową. Na nią także czekały liczne zajęcia. Jake zawiózł ją razem z niemowlęciem do domu, a potem pojechał na spotkanie z Wellsem.

Dwie godziny później zmęczona Elizabeth usiadła w bujanym fotelu przy kominku. Właśnie wyprała czarną sukienkę. Wilgotna tkanina była ciężka i brzydko pachniała. Na dodatek Elizabeth popełniła błąd, bo użyła zbyt gorącej wody. Czarny barwnik się rozpuścił i zafarbował wodę do płukania na szaro. Elizabeth musiała mocno wyżąć materiał przed rozwieszeniem na krześle przy piecu. Miała nadzieję, że dzięki temu tkanina zdąży do jutra wyschnąć. Żałoba była wyznacznikiem etapu, na którym Elizabeth się znalazła. Przeczuwała, że nosząc żałobny strój, ostatecznie zamknie przeszłość.

Przez kilka minut kołysała się w fotelu. Wcześniej, podczas gdy sukienka się moczyła, przyniosła z szopy przetwory i ustawiła je pod ścianą w domku. Słoiki z warzywami i dżemami przypominały jej o tym, kim jest - silną kobietą, która potrafiła o siebie zadbać i która zdoła przetrwać także okres żałoby.

Przy okazji przenoszenia słoików zabrała z szopy także czerwoną przędzę i wsunęła ją do torby, którą trzymała przy łóżku. Postanowiła zrobić na drutach świąteczne szaliki dla bratanic Jake'a. Starsza dziewczynka z taką radością nosiła wstążki do

włosów, że powinna się ucieszyć z ciepłego szalika, a maluchy z zasady uwielbiały jaśkrawe kolory.

Jeszcze nie zastanawiała się nad prezentem dla Jake'a, ale zamierzała poprosić o radę Annabelle. Była niemal pewna, że nowa przyjaciółka podaruje jakiś drobiazg Higginsowi, więc bez wątpienia orientowała się, co warto ofiarować. Po trosze zazdrościła Annabelle, która znacznie lepiej umiała pogodzić się ze stratą.

Elizabeth nie była naiwna. Wiedziała, że kobiety na zachodzie kraju muszą wychodzić za mąż, żeby przeżyć. Bez opieki mężczyzny miały znikome szanse na przetrwanie. Mimo to Elizabeth nie chciała dołączać do grona kobiet, które zdecydowały się na zamążpójście z konieczności. Dla dobra dziecka zawarła z Jake'em umowę obowiązującą do wiosny. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że zapewne pozwoliłby jej zostać i być prawdziwą żoną, o ile sama by tego pragnęła.

Nie zamierzała spędzić z Jake'em reszty życia, nie mając pewności, czy naprawdę chciał z nią być, czy zdecydował się na to wyłącznie dla dobra dziewczynek. Jeszcze przy Matthew nauczyła się, że bardzo trudno jest żyć z mężczyzną, którego nie sposób usatysfakcjonować. Gdyby teraz zawarła prawdziwe małżeństwo, oczekiwałyby, że jej wybranek zawsze będzie przy niej. Nie interesowały jej kompromisy.

Poza tym Elizabeth czuła, że żałoba jest dobra dla jej duszy. Gdy leżała w namiocie, oczekując śmierci, przepelniała ją złość na Pana Boga. Teraz, gdy opuściła tamto schronienie, bo nie umarła, czuła się zagubiona. Nie przebaczyła Bogu, ale przynajmniej miała co robić.

Nie modliła się tak, jak to robił Jake. Zmawiał pacierze tak, jakby Bóg był jego przyjacielem. Kiedy Elizabeth ostatnio zaczęła się modlić, słowa utknęły jej w gardle. Gniew przygasł i nie był już tak dokuczliwy, lecz nie znikł bez śladu. W pewnym sensie bardzo przypominał jej żałobny ubiór.

Elizabeth przypominała sobie, że powinna odwracać stojące przy piecu krzesło, aby materiał równomiernie wysychał. Trzeba będzie przestawiać mebel przez całą noc, jeśli rano chciała włożyć czarną sukienkę.

Wstała, żeby zabrać się do przyrządzania posiłku. Poprzedniego wieczoru namoczyła fasolę. Elizabeth zamierzała dodać do niej mały słoik pomidorów z cebulą,

który dostała od Annabelle. Zauważyła, że Jake lubi potrawy z cebulą, a także z odrobiną czarnego pieprzu. Musiała przyznać, że chętnie dla niego gotuje pewnie dlatego, że Jake, w przeciwieństwie do Matthew, nie wymagał, aby stała przy kuchni.

## Rozdział czternasty

Następnego dnia Jake bardzo wcześnie wyruszył z Elizabeth i dziewczynkami do miasta. Każdego ranka mróz stawał się coraz bardziej dokuczliwy, Jake postanowił więc uzupełnić zapas polan potrzebnych do ogrzewania budynku wykorzystywanego zarówno na potrzeby szkoły, jak i kościoła. Ostatnio pastor nie wyglądał kwitnąco i na pewno nie poradziłby sobie z przygotowaniem opału.

Poza tym Jake miał ochotę pomachać siekierą. Usiłował nie patrzeć na żalobną suknię Elizabeth, lecz jego wysiłki okazały się daremne, gdyż strój ten rzucał się w oczy. Zastanawiał się, czy powinien przestać rozmawiać z Elizabeth do czasu zakończenia przez nią żałoby. Dziwnie czuł się ze świadomością, że żona zachowuje się jak wdowa.

Miał poważny problem, któremu musiał stawić czoło. Powinien przestać myśleć o Elizabeth jak o żonie. Co prawda, złożyli przysięgę małżeńską, ale ich związek nie został skonsumowany i miał potrwać tylko do wiosny. Nie powinien był sugerować, że pozwoli Elizabeth odejść, pomyślał. Jednak gdyby tego nie zrobił, zapewne nie zgodziłaby się mu pomóc w trudnej życiowej sytuacji. Popatrzył na Elizabeth, a ona poprawiła szal. Jake pomyślał, że oddała się od niego coraz bardziej. Wyczuwała, że się jej przygląda, ale nie spojrzała mu w oczy. Ani słowem nie zająknął się o żalobnym stroju, choć go kusiło.

Elizabeth wiedziała, że sukienka jest wyjątkowo nieatrakcyjna. Gdyby żył Matthew, zapewne podarłby ją na strzępy.

- Ta sukienka jest tylko na czas żałoby - powiedziała w pewnej chwili.

Jake milczał, a ona ucieszyła się, że nie spytał, jak długo będzie trwała jej żałoba. Nie umiałyby odpowiedzieć na to pytanie. Dobrze, że brązowy szal, który wczoraj zapobiegliwie wypakowała, zasłaniał większą część nieładnego ubrania. Był duży i gruby. Służył Elizabeth podczas ciężkiej pracy w Kansas. Nie potrzebowała go podczas podróży, a kiedy jej bliscy zachorowali na gripę, łatwiej było korzystać z koca.

Wyciągnawszy szal z bagażu, uśmiechnęła się na widok pięknego, głębokiego brązu o złocistym połysku.

Gdy dotarli na miejsce, w szkolnej sali panował przenikliwy chłód. Nakrapiana Sarenka siedziała z tyłu wozu, razem z niemowlęciem, więc ostatnia zeszła na ziemię i minęła próg klasy. Zjawili się pierwsi, gdyż Jake wcześniej wyjaśnił żonie, że chciałby być w szkole przed wszystkimi, aby napalić w dwóch piecach i w ten sposób uwolnić pastora choć od jednego obowiązku.

Elizabeth wzięła niemowlę od bratanicy Jake'a, owinęła je szalem i pochyliła się nad książką, którą podsunęła jej dziewczynka. Sarenka umiała powoli przesyłabizować kilka słów.

- Cudownie - pochwaliła ją Elizabeth, a następnie popatrzyła promiennym wzrokiem na Jake'a, który właśnie domykał drzwiczki drugiego pieca. - Ona potrafi czytać!

Jake podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu bratanicy. Zachowywał się tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili zabrzmiał stukot kroków na ganku.

- Ktoś już tu jest! - rozległ się chłopięcy głos i jednocześnie jakiś przedmiot upadł na drewnianą podłogę.

Elizabeth spojrzała na Jake'a.

- To na pewno Elias - wyszeptała.

Jake skinął głową.

- Pójdę sprawdzić, co on knuje - zdecydował, ale w tym samym momencie drzwi się otworzyły.

- Wszystko jedno... - powiedziała pani Barker i stanęła jak wryta. Rude włosy miała owinięte chustką, w jednej ręce trzymała wiaderko z farbą. Ze zdumieniem wbiła wzrok w Jake'a i Elizabeth. - Co państwo tutaj robią tak wcześnie rano?

- Rozpalamy w piecach - odparł Jake.

- Nie sądziłam, że kogoś zastanę. - Pani Barker narzuciła na plecy koc, spod którego wystawała sfatygowana sukienka do pracy. - Zwykle nie chodzę tak ubrana.

- Proszę się nie przejmować - odezwała się Elizabeth. Cieszyło ją, że pani Barker nie zawsze wygląda jak dama. - Nikt nie wkłada ładnych ubrań do malowania. To miło, że postanowiła pani pomóc nam przy świątecznych dekoracjach.

- Ostatecznie mamy Boże Narodzenie. Eliasowi spodobały się gwiazdki i postanowił dodać od siebie kilka gwiazdozbiorów. Malowanie konstelacji nie jest czasochłonne, więc postanowiliśmy wpaść przed dzisiejszymi lekcjami.

Elias trzymał w garści parę małych pędzelków i pierwszy raz nie patrzył na nikogo spode łba.

- Myślałem o Wielkim Wozie - wyznał. - Bardzo mi się podoba.

- Mnie również - przyłączył się Jake. - Służę wsparciem, jeśli będziesz potrzebował pomocy przy wymierzaniu odległości.

Nigdy nie wiadomo, co przyniesie dzień, pomyślała Elizabeth. Pomogła pani Barker otworzyć wiaderko z farbą i starannie ją wymieszać, podczas gdy Jake i Elias zaznaczali na ścianie miejsca, w których należało namalować gwiazdy.

- Miło, że pani tak ładnie udekorowała salę - odezwała się pani Barker. - Wszystkie te gwiazdy i inne świąteczne ozdoby prezentują się całkiem przyjemnie - przyznała.

Elizabeth wolała nie pytać rozmówczyni, czy namalowała czarny pas rozdzielający pomieszczenie. Prawie na pewno była to robota pani Barker. Kto inny byłby do tego zdolny? Gdyby jednak Elizabeth poruszyła tę sprawę, w jednej chwili zerwałaby kruchy rozejm, który zawarły.

- Dopiero po świętach zastanowimy się, co dalej - zasugerowała pani Barker i brodą wskazała Nakrapianą Sarenkę.

- Ona nie robi nikomu krzywdy - podkreśliła Elizabeth możliwie cichym i łagodnym tonem. Nie chciała niepotrzebnie denerwować podopiecznej.

- Już zaznaczyliśmy miejsca na gwiazdy! - wykrzyknął z zapalem Elias.

Pani Barker podała farbę synowi i Jake'owi.

- Dobrze się bawi - zauważyła Elizabeth, kiedy pani Barker wróciła po chwili.

- Cieszę się, że ma okazję przebywać z mężczyzną. Chłopcy to lubią, a jego ojciec od dawna jest poza domem.

- Och, nie miałam pojęcia.



- Znowu wyruszył na poszukiwania złota - ciągnęła pani Barker. - Raz udało mu się znaleźć duży samorodek i myślałam, że to nam wystarczy na całe życie. Dorobiliśmy się wszystkiego, czego nam potrzeba, ale mąż postanowił wyjechać. Ostatni list napisał gdzieś w okolicach miasta Helena.

- Niedługo wróci - pocieszyła ją Elizabeth, choć w głębi duszy niespecjalnie współczuła pani Barker.

- Ciągle mam nadzieję, że jeśli dotrze do nas kolej, to znajdzie się tutaj dobre miejsce pracy dla męża. Elias potrzebuje ojca.

A żona potrzebuje męża, dodała smutno w myślach Elizabeth.

Gdy w szkole zjawił się pastor, na ścianie widniało już kilka gwiazdozbiorów, a w pomieszczeniu zrobiło się przyjemnie ciepło.

- Och, dzieci będą zachwycone - zauważył wielebny i z przyjemnością obejrzał nowe gwiazdy. - Pierwszorzędna robota, Elias.

Zakłopotany chłopiec pochylił głowę, a na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

- Chyba wszyscy się zgodzą, że Miles City nie ustępuje pola w rywalizacji - oświadczyła z dumą pani Barker.

- Nie uczestniczymy w zawodach - zaprotestowała Elizabeth. - Zbliżają się święta.

- Tak czy owak, ludzie mają prawo oczekiwać wysokiego poziomu od Miles City. - Pani Barker uniosła podbródek. - Z natury rzeczy, nie są tak wymagający w stosunku do Dry Creek.

- Nie uważam, żeby... - zaczęła Elizabeth, ale pastor jej przerwał.

- Moje drogie panie - oświadczył pośpiesznie. - Obie ofiarowałyście nam wspaniałe dekoracje bożonarodzeniowe. Poza tym dzieci nie mogą się doczekać obiecanej choinki.

- Będzie też choinka? - Pani Barker zmarszczyła brwi. - Elias nie wspomniał nic o drzewku.

- Nie zamierzamy sprowadzać nic wielkiego - zapewniła ją Elizabeth. - Jake pamięta, że niedaleko stąd, w wąwozie na wschód od miasta, rośnie kilka niskich sosen. Zobowiązał się do przyniesienia nam jednej z nich, całkiem niedużej.

Elizabeth była zachwycona, gdy Jake, który dowiedział się o pomysle z choinką, zaproponował przywiezienie odpowiedniego iglaka. Poprzednio nie знаła mężczyzny, któremu leżałyby na sercu dziecięce marzenia.

Pani Barker naturalnie miała swoje zdanie także i w tej sprawie

- Skoro sprawiamy sobie drzewko, to musi być odpowiednie - oznajmiła. - Mąż napomknął kiedyś, że na północ stąd rośnie piękny lasek sosnowy. Zauważył go razem z Eliaszem, podczas jednej z przejażdżek. Syn z pewnością pamięta, gdzie szukać tych drzew, choć to kawałek drogi stąd. Gdyby wybrał się z nim jeden z panów...

- Jake z pewnością chętnie pojedzie razem z Eliaszem, jeśli zajdzie taka potrzeba - zadeklarowała Elizabeth. - Chyba chodzi o dość odległe miejsce, bo inaczej Jake by je znał. Poza tym wystarczy nam skromne drzewko, żeby dzieci mogły same wykonać ozdoby.

- Och, w żadnym wypadku - sprzeciwiła się pani Barker. - Nasze miasto zasługuje na więcej niż niepozorna choinka. Musimy dbać o reputację.

Elizabeth liczyła na to, że z biegiem dnia pani Barker spuści z tonu, ale okazało się, że była w błędzie. Kiedy ona i Virginia przygotowały się do robienia ozdób świątecznych razem z dziećmi, pani Barker wróciła do szkoły, tym razem ubrana w jasnofioletową jedwabną suknię oraz dobrany kolorystycznie czepek.

Annabelle zaproponowała, że zaopiekuje się niemowlęciem, żeby Elizabeth i Virginia mogły się zająć pracą z uczniami, na co Elizabeth z wdzięcznością przystała.

- Ludzie najczęściej korzystają z czerwonego papieru - zauważyła na widok białego łańcucha, pracowicie pozlepianego przez uczniów.

Ozdoba leżała na blacie biurka pastora. Poszczególne ogniwa były nierówne, a cały łańcuch był pognieciony.

- Wątpię, żeby udało się pomalować ten papier na atrakcyjny kolor - zauważyła Virginia.

- Oczywiście, że to niemożliwe - przytaknęła pani Barker, która również podeszła do biurka. - Bez względu na to, jakiej użylibyśmy farby, papier pomarszczyłby się jeszcze bardziej. Najlepiej będzie, jeśli kupię trochę ozdób świątecznych. Dzieci i tak są zajęte ważniejszymi sprawami niż dekorowanie choinki.

- Przecież nie można kupować sobie świąt - zaprotestowała Elizabeth. - Dzieci mają pełne prawo samodzielnie ubrać choinkę.

- Drogie panie - odezwał się pastor z przyganą w głosie.

Elizabeth obejrzała się i zobaczyła, że uczniowie z uwagą przysłuchują się rozmowie.

- Rzecz jasna, istotne podczas świąt jest to, że ludzie są dla siebie życzliwi i nie toczą sporów - podniosła głos Elizabeth, aby wszyscy ją usłyszeli.

Podeszła z uśmiechem do pani Barker i serdecznie ją uścisnęła. Zaskoczona przewodnicząca Ligi Poprawności Obywatelskiej musiała zachować twarz, odwzajemniła więc uśmiech.

- Uszy do góry, drogie dzieci - odezwała się Elizabeth do uczniów, gdy po chwili się ku nim odwróciła. - Właśnie wybieram się z panną Virginią do sklepu, żeby sprawdzić, co warto kupić do robienia ładniejszych ozdób. Niedługo wrócimy.

Pewnym krokiem wyszła z sali, a Virginia posłusznie podążyła za nią.

- Jak myślisz, czy Annabelle zgodzi się sprzedać nam coś na kredyt? Oddałybyśmy pieniądze za tydzień lub dwa - powiedziała Virginia, dogoniwszy przyjaciółkę na ulicy. - Ledwie mi wystarcza na opłacenie czynszu i wikt. Inna rzecz, że Colter od dawna zachęca mnie do udzielania lekcji gry na pianinie. Gdybym zarobiła trochę dodatkowej gotówki...

Elizabeth zatrzymała się gwałtownie.

- Masz na myśli pianino w saloonie?

Virginia skinęła głową.

- Rzecz jasna, musiałabym znaleźć dorosłych uczniów.

Elizabeth nie wydawała się przekonana.

- Potrzebujesz innej pracy. Z pewnością zgłosiłyby się do ciebie dzieci chętne do nauki gry na pianinie. Ich rodzice zgodziliby się tylko pod warunkiem, że lekcje nie będą się odbywały w saloonie.

- Wiem. Nawet gdybym znalazła jakieś miejsce, potrzebowałabym jeszcze pianina. Modliłam się, lecz...

- Tak, tak. - W końcu ktoś inny to zrozumiał. - Bóg po prostu nie reaguje - podsumowała Elizabeth.

Virginia wydawała się spłoszona.

- Nie to chciałam powiedzieć. Bóg jeszcze nie podpowiedział mi, co mam robić. Rozumiem, jak się czujesz. Wciąż oplakuję śmierć brata.

- Usiłuję pogodzić się ze stratą najbliższych, lecz nie potrafię - poskarżyła się Elizabeth. - Dlatego postanowiłam nosić czarną sukienkę. Muszę podjąć próbę odcięcia się od tamtej tragedii, skoro mam pozostać z Jake'em.

- W takim razie będę modliła się również za ciebie - postanowiła Virginia. - Nie każdy dostaje jeszcze jedną szansę na szczęśliwe życie.

Gdy weszły do sklepu, Annabelle od razu opuściła swoje miejsce za ladą, żeby powitać przyjaciółki.

- Przyszłyście sprawdzić, co z małą? Śpi na zapleczu - poinformowała.

Elizabeth pokręciła głową.

- Potrzebujemy czegoś, co nada się na udekorowanie choinki - wyjaśniła Virginia.

Annabelle gestem dłoni pokazała, żeby podeszły do jednej z półek.

- Są tu ręcznie robione ozdoby. - Ściągnęła pudełko z półki i otworzyła je, demonstrując zawartość: lśniące szklane jabłka oraz kolorowe szyszki i czerwone jagody.

- Och! - Elizabeth westchnęła z zachwytem.

- Są drogie, rzecz jasna. Właściciele sklepu zamówili je z wytwórni Greiner w Niemczech. Powinny znaleźć się w naszej ofercie już przed zeszłorocznymi świętami, ale utkwili nowojorskim porcie i pociąg z towarem odjechał bez nich. Nie mieliśmy innego wyjścia, musieliśmy przechować bombki do następnej Gwiazdki.

- Są prześliczne - pochwaliła Virginia.

- Zależałoby nam jednak na czymś, z czego uczniowie mogliby zrobić własne ozdoby - dodała praktyczna Elizabeth.

- Skoro tak, poszukamy gdzie indziej. - Annabelle pochyliła się i wyciągnęła spod lady bawełnę we wzory, którą Elizabeth własnoręcznie ufarbowała. - Wiem, że ten materiał ma dla ciebie szczególne znaczenie, ale do wykonania ozdób będziesz

potrzebowała jedynie kawałka. Jestem pewna, że efekt okaże się fantastyczny dzięki czerwonej barwie.

- To idealne rozwiązanie - zgodziła się Elizabeth.

- Nadal nie wiem, jak ci się udało sprawić, że ten kolor jest tak intensywny i trwały - zauważyła z uznaniem Annabelle.

- To proste - odparła Elizabeth. - Gotowałam materiał w roztworze o odczynie zasadowym, a potem namoczyłam go w balii z kwasowym olejem. Dopiero potem zanurzyłam tkaninę w farbie.

Virginia zmarszczyła nos, a Elizabeth pokiwała głową.

- Tak, musiałam to robić na zewnątrz, Matthew nawet nie chciał podejść do balii. Trzeba przyznać, że zapach był okropny.

Pomyślała, że dobrze się stanie, jeśli dzieciom podaruje materiał przeznaczony dla Rose, z którego zrobią świąteczne ozdoby.

- Na pewno Matthew był z ciebie dumny - zauważyła Annabelle. - Nie każdy potrafi tak dobrze barwić tkaniny.

- Wręcz przeciwnie - wyznała Elizabeth. - Był zawstydzony, że się tym zajmuję. Powtarzał, że od tego jest służba.

- Nie wiedziałam, że mieliście służbę - zdziwiła się Annabelle.

- Nie mieliśmy. Brakowało nam pieniędzy nie tylko na zatrudnienie służącej. Matthew chciał, żebyśmy żyli tak, jakby obsługiwali nas służący, a to oznaczało, że musiałam wykonywać wiele prac po kryjomu.

- Tak czy owak, powinien cię pochwalić - orzekła Annabelle. - Kobiety najczęściej nie potrafią farbować sukienek.

- Matthew nie podobał się nie tylko zapach, ale także plamy, które utrzymywały się na moich rękach czasem nawet przez kilka dni. Starłam się być ostrożna, ale trudno jest farbować materiał i nie pobrudzić sobie dłoni.

- Moim zdaniem, Jake byłby z ciebie dumny - podsumowała Annabelle. - Twoje umiejętności są naprawdę imponujące.

Elizabeth podziękowała jej uśmiechem.

- Uwielbiałam zmieniać zwykłe, nieciekawe ubrania w piękną, barwną odzież.

Po powrocie nie zastały w szkole pani Barker. Elizabeth zademonstrowała dzieciom materiał, a Virginia wzięła się do odcinania z niego pasków na łańcuchy.

- Może nie od rzeczy byłoby ufarbować część kostiumów na jasełka - zaproponowała Elizabeth i popatrzyła pytająco na pastora. - Rzecz jasna, wszystkie prace musielibyśmy wykonać na świeżym powietrzu, a zajmowałiby się tym wyłącznie dorośli. Ale efekt byłby świetny, jestem pewna.

- Żona na pewno chętnie popatrzyłaby, jak to się robi - odparł wielebny. - Niewielu ludzi zajmuje się jeszcze farbowaniem tkanin. To nie lada sztuka.

Elizabeth promieniała. Dotąd nikt nie nazwał jej pracy sztuką.

## Rozdział piętnasty

Dwa dni później Jake znowu rąbał drewno na tyłach szkoły. Wczorajszego popołudnia natknął się w wąwozie w pobliżu domu na niewielki, półtorametrowy świerk. Ściął go i przywiózł do szkoły. Rosłe drzewa znajdowały się w odległych Black Hills, dokąd nie zapuszczali się nawet żołnierze. Krążyły pogłoski, że kryli się tam buntownicy, którzy łączyli się w bandy. Rzecz jasna, blisko fortu ludzie mogli się czuć względnie bezpiecznie.

Niestety, Elias Barker, wzorem swojej matki, uparcie obstawał przy swoim. Uważał, że bożonarodzeniowe drzewko powinno być okazałe. Pani Barker obwieściła, że półtorametrowa choinka, która już znalazła się w klasie, jest niewiele lepsza od byle krzaczka.

Jake'owi zaczynało brakować cierpliwości.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponował, gdy Elizabeth wyszła z budynku, dźwigając z wysiłkiem stary kociołek.

- Dziękuję! - Odetchnęła z ulgą i przystanąła, żeby odsapnąć.

- Trzeba było zawołać mnie wcześniej. - Jake jednym ruchem podniósł kociołek i sprawnie umieścił go na ramieniu. - Ostatecznie od tego są mężowie.

- No tak - wybąkała.

Nadal miała na sobie brzydką sukienkę żalobną, ale zarumieniła się jak uczennica.

Jake nawet nie próbował maskować uśmiechu.

- Ten kociołek ma coś wspólnego ze świętami. Dobrze myślę?

Elizabeth skinęła głową.

- Będziemy farbować kostiumy do jasełek. To chyba niezły pomysł? Przy okazji dzieci zobaczą, jak się barwi ubrania. Niektóre jeszcze nigdy tego nie widziały.

- Ja też nie widziałem - powiedział Jake.

- Interesuje cię farbowanie tkanin? - zdumiała się Elizabeth. - Dla większości mężczyzn to zwykle nudy.

- W tych okolicach mężczyźni powinni posiadać wiele różnych umiejętności.

- Możesz mi pomóc rozpaść ogniska - zaproponowała Elizabeth. - Będziemy potrzebowali trzech: przy jednym będziemy farbować na żółto, przy drugim na brązowo, a przy trzecim podgrzejemy sodę amoniakalną, która wybieli kostiumy aniołków i utrwali inne kolory.

Na szczęście Jake zgromadził sporo drewna. Wyglądało na to, że całe zużyje je na podgrzewanie barwników.

Elizabeth wróciła do sali. Od kilku godzin dzieci przygotowywały ozdoby świąteczne i ćwiczyły pieśni, które miały zaśpiewać podczas jasełek. Pracowały razem, bez kłótni. To było budujące. Poprzedniego dnia

Elizabeth z zadowoleniem zauważyła, że podczas przerwy Larsonówna gawędziła z Nakrapianą Sarenką. Kto wie, może dzieci przestały się bać młodej Indianki, widząc, ile wysiłku wkłada w naukę czytania z elementarza, pomyślała.

Jake powiódł wzrokiem za żoną, a potem rozejrzał się i zastanowił nad najlepszymi miejscami na rozpalenie ognisk. Szkoła znajdowała się na skraju miasta, dzięki czemu roztaczał się z niej widok na wiele mil. Tu i tam rosły topole, a niedaleko budynku ciągnął się okazały wóz. Jake podejrzewał, że chłopcy doskonale się bawili podczas urządzania kryjówek w jarze.

Ostatecznie postanowił rozpaść ogniska w odległości kilku jardów od szkoły. Ledwie zdążył oczyścić drugie miejsce z suchej trawy, kiedy zza budynku wyłonił się Colter, trzymając w dłoni siekiere. Jake od razu pojął, że stało się coś złego. Jeszcze nigdy nie widział go tak zachmurzonego, choć przecież znali się nie od dzisiaj.

- Kłopoty? - spytał Jake.

Colter mruknął coś niezrozumiale, minął Jake'a i podszedł do sterty polan. Jake podążył za nim.

- Chyba nie doszły cię słuchy, że chłopcy planują nowe wybryki? - drażył.

Colter pokręcił głową, stanął i zamachnął się siekierą. Precyzyjnie uderzone drewno rozpadło się na dwie równe części.

- Nie, ale odkryłem, kto podbiera pieniądze z kasy.

Jake patrzył, jak jego przyjaciel stawia połówkę polana, bierze zamach i jednym ruchem rozszczepia ją w samym środku.

- Barman? - spytał.

Colter pokręcił głową.

- Danny.

Jake przez chwilę milczał i tylko patrzył, jak Colter sprawnie rąbie drewno.

- Jesteś pewien?

- Przyłapałem go na gorącym uczynku - odparł Colter, stając nieruchomo. - Nawet nie usiłował zaprzeczać. Powiedział, że brał pieniądze, bo postanowił kupić pianino pannie Virginii. Z tego samego powodu ukradł zegarek. Wygląda na to, że zdaniem Danny'ego, panna Virginia nie powinna grać w moim lokalu, tylko zarabiać na życie udzielaniem lekcji muzyki. Rzecz jasna, nie może tego robić w saloonie.

- No cóż... - mruknął Jake.

- Zgadzasz się z Dannym?

Jake wzruszył ramionami.

- Kobieta taka jak Virginia doskonale wie, jak się zachowywać bez względu na miejsce, w którym przebywa. Jednak znalazłaby więcej uczniów, gdyby organizowała lekcje we własnym domu.

- Myślisz, że tego nie wiem? Ona nie ma pieniędzy na kupno pianina.

- Może powinniśmy urządzić zbiórkę i pożyczyć jej potrzebną kwotę? - zasugerował Jake.



- Dobrze wiesz, że nie przyjęłaby pożyczki - odparł Colter. - Jeszcze zanim podjęła pracę w moim lokalu, zaproponowałem jej trochę pieniędzy. Rozzłościła, jakbym chciał ją samą kupić.

- A nie chciałeś? - spytał Jake.

Wiedział, jak rozumują ludzie pokroju Coltera.

- Nie. Prawdę mówiąc, dotąd nie znałem takiej kobiety jak ona. Danny ma rację. Virginia nie pasuje do saloonu. Nie powinna grać na pianinie dla zgrai przygnębionych facetów, którym zależy tylko na tym, żeby się upić. W ogóle nie powinna przebywać w ich towarzystwie. Szczerze powiedziawszy, ja też do niej nie pasuję.

Colter oparł się o pień i odszedł bez słowa.

Jake uznał, że mężczyzna, który nie wie, jak pomóc ukochanej kobiecie, zasługuje na współczucie. Przez ostatnie dni częściej rozmyślał o tym, jak bardzo nie cierpi żałobnej sukienki żony, niż nad tym, jak pomóc jej przetrwać ciężkie chwile po śmierci towarzysza życia oraz jedyne dziecko. Bez względu na to, czy Elizabeth postanowi z nim pozostać, czy nie, był jej winien troskę należną każdemu człowiekowi, który utracił najbliższych.

Po południu Elizabeth przygotowała wszystko, żeby przeprowadzić pokaz farbowania kostiumów. Tego ranka przed wyjściem z domu wyciągnęła z wozu kombinezony służące za bieliznę. Miała ich łącznie dziewiętnaście, a w jasełkach brało udział siedemnaścioro dzieci. Niektóre z kombinezonów wymagały przycięcia, a inne przewiązania paskiem, ale na szczęście wystarczyło ich dla wszystkich.

Dzień był słoneczny, dzieci dobrze się czuły na świeżym powietrzu.

- Cofnijcie się - zakomenderowała Elizabeth, gdy uczniowie za bardzo się zbliżyli do gorącego kociołka. - Pierwszy barwnik jest żółty i ufarbujemy w nim kostiumy gwiazd.

- Niech pani zacznie od mojego - poprosił Tommy.

Elizabeth wzięła od niego kombinezon i wrzuciła do wrzątku, razem z suszonymi płatkami żółtych kwiatów. Podczas gdy żona zajmowała się farbowaniem odzieży na żółto, Jake gotował wodę w następnym kociołku, kilka jardów dalej. W tym naczyniu

miała się znaleźć soda amoniakalna, która utrwali żółty barwnik i wybieli kostiumy aniołów. W ostatnim kotle wypełnionym wodą i łupinami czarnych orzechów włoskich gotował się już barwnik do brązowych strojów pasterzy.

Farbowanie było czasochłonne i musiało potrwać przez większość popołudnia, dlatego Elizabeth czuła wdzięczność do Jake'a za pomoc i wytrwałość. Wyręczał ją w mieszanii i nie narzekał, choć z kociołków wydobywał się nieprzyjemny zapach.

Jake uświadomił sobie, że zakochał się w Elizabeth. Nie tylko ją kochał, ale także szanował i podziwiał. Mało kto potrafił tak sprawnie i pięknie farbować tkaniny, a w dodatku pracowała w niemal nabożnym skupieniu, dzięki czemu dzieci miały poczucie uczestnictwa w niesłychanie ważnym wydarzeniu. Jake czuł się dokładnie tak samo, jak pozostali widzowie tego spektaklu. Elizabeth wiedziała, jak dokonywać przemiany zwykłych rzeczy w piękne - znoszone kombinezony przerobiła na kostiumy, w których uczniowie mieli wystąpić na scenie.

- Moim zdaniem, potrzebujemy trochę więcej żółtego barwnika do ufarbowania twojego stroju, prawda, Elias? - zagadnęła chłopca Elizabeth i uniosła kostium. - Ostatecznie jesteś najjaśniejszą gwiazdą na nieboskłonie.

Elias z dumą skinął głową.

Jake zastanawiał się, jak jego żonie udaje się zapanować nad grupą uczniów, którzy w ubiegłym tygodniu byli głęboko podzieleni i wrogo do siebie nastawieni. Teraz zmienili się w gromadkę rozentuzjasmowanych dzieciaków, szeroko otwartymi oczami obserwujących przemianę starej bielizny w stroje.

Jake pozostał do końca pokazu i z uśmiechem na ustach patrzył, jak dzieci zachwycają się swoimi kostiumami.

- Patrzcie, Nakrapiana Sarenka nie jest już brązowa, a Elias zrobił się żółty - zachichotała Larsonówna.

Jake chciał coś powiedzieć, ale zauważył, że Elizabeth kieruje na nią wzrok.

- Tak właśnie bywa z kolorami - oświadczyła i z nieskrywaną satysfakcją popatrzyła na wszystkie dzieci. - Barwa zwykle jest tylko na zewnątrz, a pod spodem większość rzeczy wygląda tak samo.

- To tak jak włosy - przytaknął Tommy. - Elias ma rude, a ja brązowe.

- Bóg lubi kolory - dodała Elizabeth i ruchem ręki poleciła dzieciom, żeby rozwiesiły ubrania na sznurze, który rozciągnęła między dwiema topolami. - Kostiumy wyschną, a my w tym czasie wrócimy do środka i poćwiczmy kolędy.

Jake popatrzył, jak dzieci okrążają szkołę i kierują się do wejścia. Od razu zwrócił uwagę, że idą nieco bliżej Nakrapianej Sarenki niż zwykle, zupełnie jakby przestały trzymać się od niej na dystans. Nie wiedział, czy Elizabeth postanowiła dać dzieciom lekcję na temat kolorów po to, aby zrozumiały, że w gruncie rzeczy wszyscy są tacy sami, ale miał przeczucie, iż doskonale wiedziała, co robi.

Rano przed wyjściem z domu Elizabeth zostawiła na piecu trochę zupy fasolowej, dzięki czemu po powrocie miała gotowy obiad dla całej rodziny.

- Zaraz wrócę, tylko zajmę się końmi - zapowiedział Jake i pomógł żonie zeskoczyć z wozu.

Gdy tylko Elizabeth i dziewczynki zniknęły za drzwiami domku, przyprowadził zaprzęg bliżej szopy. Chciał nie tylko zadbać o konie, lecz również dyskretnie wypakować z wozu kilka rzeczy. Kiedy pojazd znieruchomiał, Jake odrzucił futra, które trzymał za kozłem, i ostrożnie wyjął lusterko oraz szczotkę do włosów dla Nakrapianej Sarenki, a także małą pozytywkę dla niemowlęcia. Annabelle owinęła prezenty kolorowym materiałem, kiedy kupił je w sklepie. Uważnie przejrzał półki w poszukiwaniu odpowiedniego prezentu gwiazdkowego dla Elizabeth, ale nie natrafił na nic godnego uwagi. Poszedł więc do urzędu telegraficznego i tam złożył zamówienie na dużą płytę różowego granitu, przeznaczoną na obiecany nagrobek.

Prezenty dla dziewczynek miały być niespodzianką, lecz nie zamierzał utrzymywać w tajemnicy przed Elizabeth, że postanowił ofiarować jej kamień na grób bliskich. Jednak wolał nie mówić o tym bratanicy, która ostatnio bardzo się zżyła z Elizabeth. Dziewczynka mogła pomyśleć, że gdy nagrobek będzie gotowy, Elizabeth odejdzie. Musiał przyznać, że taki scenariusz jest prawdopodobny. Jake spędził kilka dodatkowych minut na przenoszeniu upominków na poddasze i dopiero potem udał się do domku.

Elizabeth posoliła zupełną fasolową i pozostawiła ją na ogniu jeszcze przez chwilę, żeby mieć trochę czasu na podgrzanie w piecu orzechowych ciastek, które zostały ze śniadania.

- Mój strój anioła jest najbielszy w całej klasie - pochwaliła się Nakrapiana Sarenka i podeszła do pieca. - Nawet Elias tak uważa.

Elizabeth się uśmiechnęła i przełożyła na blachę kilka zimnych ciastek.

- Boże Narodzenie to nie konkurs piękności - wyjaśniła łagodnie. - To przecież święto Jezusa. Cieszę się jednak, że zaprzyjaźniasz się z nowymi kolegami.

- Elias nie jest moim kolegą - obwieściła dziewczynka. - To mój wróg.

Elizabeth uchyliła drzwiczki piekarnika i wsunęła ciastka do środka.

- Zdarza się, że wrogowie zostają przyjaciółmi. To wymaga wysiłku, rzecz jasna, ale w Biblii jest o tym mowa.

W tej samej chwili Jake wszedł do środka.

- O czym jest mowa w Biblii? - spytał, zdejmując kurtkę.

- O czynieniu przyjaciół z wrogów - odparła Nakrapiana Sarenka i zmarszczyła brwi. - Nie wiem, czy to możliwe. - Spojrzała pytająco na Jake'a, a on pokiwał głową.

- Niedługo będziesz mogła o tym przeczytać. Dzisiaj wieczorem, kiedy przyjdę powiedzieć wam dobranoc, pokażę ci odpowiedni fragment w Biblii.

- Obiad zaraz będzie gotowy - zapowiedziała Elizabeth, odwróciwszy się od pieca.

Godzinę później Jake westchnął z zadowoleniem. Po smacznym posiłku nadal siedzieli przy stole, choć Elizabeth wyglądała tak, jakby była gotowa w każdej chwili zerwać się z miejsca. Jake wstał i położył dłoń na jej ramieniu.

- Odpocznij - zaproponował. - Podgrzeję wodę do zmywania naczyń. Miałaś pracowity dzień.

- Nie musisz mnie wyręczać - odparła, choć z ulgą powitała propozycję męża. Mimo wszystko czuła się w obowiązku zaprotestować. - Dam sobie radę z szorowaniem garnków, to nie jest aż tak wyczerpujące.

- Chętnie cię zastąpię - zadeklarował Jake. Pochylił się i zdjął z dolnej półki miskę do zmywania. - Pewnie nie nabiorą innego koloru, jak ubrania, które dzisiaj farbowałaś, ale gwarantuję, że będą czyste.

- Nawet brązowy kolor dobrze mi wyszedł - przypomniała sobie Elizabeth. - A wcale nie jest łatwo uzyskać ładny odcień brązu.

Ostatecznie oboje postanowili, że będą zmywać razem i chwilę później Elizabeth szorowała talerze, a Jake wycierał je suchą, flanelową ściereczką. Do niedawna zmywał w ten sposób, że zanurzał naczynia w gorącej wodzie i odkładał z powrotem na półkę, ale wycieranie talerzy okazało się nad podziw przyjemną czynnością, gdyż stał tak blisko Elizabeth, że ich biodra prawie się stykały.

Nakrapiana Sarenka kołysała dziecko do snu, więc Jake ściszył głos, by tylko Elizabeth go słyszała.

- Straciłem matkę - wyszeptał. - Wiem, jak to jest, kiedy umiera ukochana osoba.

Zaskoczona Elizabeth podniosła głowę znad miski.

- Jeżeli mogę w jakiś sposób wesprzeć cię w żałobie, chętnie to uczynię - zaproponował nieśmiało.

Cóż, niespecjalnie odpowiadała mu czarna suknia, ale był bardzo przywiązany do jej właścicielki.

- Dziękuję.

- Zamówiłem dzisiaj kamień nagrobny. Granitowy, jak obiecałem.

- Naprawdę?

- Dotrze dopiero po świętach, ale na pewno zabiorę się do pracy przy nim, kiedy tylko znajdzie się u nas w domu. - Jake uznał, że prace kamieniarskie przy nagrobku to najbardziej namacalny sposób wsparcia pogrążonej w żałobie żony.

- To bardzo miło z twojej strony.

Jake skinął głową i wrócił do wycierania naczyń.

Nie wiedział, że przy takiej kobiecie jak Elizabeth, będzie mógł zaznać w domu tylu drobnych codziennych przyjemności.

- Dzisiaj w szkole wspaniale sobie poradziłaś - pochwalił ją, a następnie starannie złożył flanelową ściereczkę i odłożył ją na półkę. - Farbując stroje, pomogłaś dzieciom dostrzec, że za sprawą Boga każdy z nas jest inny, a zarazem wszyscy jesteśmy tacy sami.

- Taka jest prawda - zauważyła cicho.

- Bardzo bym pragnął, żeby rodzice tych dzieci również przejrżeli na oczy.

Elizabeth wzdrygnęła się lekko.

- Moim zdaniem, pani Barker postępuje coraz gorzej, jakby nie chciała się zmienić

- oznajmiła ze smutkiem. - Dzisiejszego popołudnia zajrzała do szkoły i z miejsca zabrała się do przesadzania dzieci. Chciała, żeby usiadły po stronie Miles City. Na szczęście pastor odwrócił ich uwagę rachunkami przy tablicy, a potem Virginia zajęła je śpiewem, więc nikt nie miał głowy do zmiany miejsc, ale taka sytuacja nie może trwać wiecznie.

Jake całkowicie zgadzał się z żoną, choć trudno mu było rozmyślać o pani Barker, kiedy wpatrywał się w delikatną szyję Elizabeth. Na białej skórze zauważył luźny kosmyk i nagle nabrał ochoty, żeby go odsunąć. Ta czarna, żałobna suknia wyglądała fatalnie, ale przynajmniej podkreślała naturalne piękno jego żony.

## Rozdział szesnasty

Niedziela minęła w podobnym nastroju jak poprzednia: pod znakiem podziału wiernych na mieszkańców Miles City i Dry Creek. Elizabeth była bardzo przygnębiona przedłużającym się konfliktem, który mógł się przerodzić w trwałą wrogość. Na dodatek, podczas nabożeństwa zaledwie kilka osób zasiadło w ławkach po stronie Miles City. Pani Barker i jej sympatycy w ogóle nie przyszli na mszę, którą odprawił wielebny Olson.

Zaniepokojona Elizabeth spytała go o to w środę, gdy przywiozła gotowe kostiumy dla dzieci uczestniczących w jasełkach.

- Bóg oczekiwałby od ludzi tego, żeby mówili to, co myślą, a nie tkwili w domach i uskarżali się na politykę kościoła w takiej czy innej sprawie - odparł pastor.

Elizabeth pomagała wielebnemu Olsonowi przygotować szkołę do zajęć. Nakrapiana Sarenka czekała z niemowłębem w głębi sali, a Jake na dworze rąbał drewno na opał.

- Żyłam w przekonaniu, że okazywanie złości Bogu jest oznaką braku szacunku - zauważyła z lekkim wahaniem.

Wielebny zachichotał.

- Wszyscy doskonale wiemy, że Bóg zaznał w swoim czasie więcej ludzkiej złości, niż jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

Elizabeth uznała, że nadeszła odpowiednia chwila, aby porozmawiać z duchownym na nurtujący ją temat.

- Gdy moje dziecko umarło, bałam się powiedzieć Bogu, że ogarnął mnie gniew. Lękałam się, że mnie ukaże i nie pozwoli mi jej zobaczyć ponownie, nawet w niebie.

- Boga nie interesuje karanie pani za te uczucia. Wie, że cierpi pani po stracie dziecka.

Elizabeth zamrugała powiekami, aby pohamować łzy.

- Jeśli chce pani płakać, to bardzo proszę - zachęcił ją pastor.

- Nigdy nie płaczę - zapewniła lekko drżącym głosem.

W tym momencie do środka wszedł Jake, a pastor natychmiast go przywołał.

- To właściwy czas, byście nawzajem wsparli się duchowo - orzekł. - Na tym polega małżeństwo.

Elizabeth zeszywniała, ale Jake spokojnie ją objął i przytulił. Pomyślała, że jego ubranie jest chłodne i nieco wilgotne.

- Rozmawiałam z wielebny o Rose i Matthew - powiedziała cicho.

- Wiem - odparł i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Chyba nigdy o nich nie zapomnę.

Jake pocałował ją w czubek głowy.

- Nie musisz - zapewnił. - Nikt tego od ciebie nie wymaga. Wystarczy, że oprócz nich będziesz miała w pamięci także mnie i dziewczynki.

Elizabeth chętnie pozostałaby w ramionach Jake'a, lecz dobiegający ze szkolnego ganku gwar oznaczał, że za chwilę sala zapełni się uczniami. Pospiesznie wysunęła się z objąć męża.

Tego samego dnia podczas przerwy w lekcjach zrobiła próbę z dziećmi mającymi się wcielić w postacie aniołów. Wcześniej Colter przekazał zwój gładkiego drutu, który przechowywał na zapleczu saloonu, a Virginia powyginała go na kształt skrzydeł, które następnie przymocowała do ramion dzieci, grających role aniołów. Na koniec Elizabeth nauczyła je, jak należy chodzić, żeby nie zrobić krzywdy nikomu z otoczenia.

- Uważaj, bo skrzydła spłoną ci w moim blasku - ostrzegł Elias Nakrapianą Sarenkę i lekko wygiął jej drut na plecach.

Dziewczynka odwróciła się i popatrzyła na niego spode łba.

Elizabeth miała ochotę zaśpiewać z radości. Elias potraktował Indiankę tak samo jak inne koleżanki ze szkoły. Bratanica Jake'a zapewne nie uważała jego zachowania za przyjacielskie, ale Elizabeth wiedziała, że w chłopcu zaszła ogromna zmiana na lepsze.

- Dzieci, spokojnie - skarciła je łagodnym głosem.

Virginia zainstalowała ostatnią parę skrzydeł i podeszła do Elizabeth.

- Chyba zdążymy na czas - powiedziała.

Elizabeth skinęła głową. Była środa, a przedstawienie zaplanowały na piątkowy wieczór.

- Moim zdaniem, będzie cudownie - odparła.



Anioły prezentowały się jak należy, każdy z pasterzy był wyposażony w stosowny kij, a gwiazdy potrafiły już odpowiednio zachowywać się podczas występu. Annabelle i Higgins otrzymali rolę Marii i Józefa.

Dostarczona przez Jake'a choinka została ozdobiona gwiazdkami i wieńcami, wyciętymi z czerwonej bawełny. Drzewko nie prezentowało się wyjątkowo urodziwie, ale dzieci samodzielnie wykonały ozdoby i były dumne ze swojego dzieła. Gdy pastor przywołał je na miejsca, żeby kontynuować lekcje, Elizabeth i Virginia wymknęły się na zewnątrz. Było chłodno, ale nie tak zimno jak wcześniej. Niebo zasnuły chmury i Miles City wyglądało szaro i paskudnie.

- Nie tak powinno prezentować się nasze miasteczko przed nadejściem Bożego Narodzenia - zauważyła Virginia. - Powtarzam Colterowi, że trzeba umieścić w oknach świąteczne dekoracje, ale on upiera się, że nie pasowałyby charakterem do lokalu.

- Pewnie ma rację.

Virginia westchnęła ze smutkiem.

- Szkoda, że nie prowadzi przyzwoitego lokalu - powiedziała.

- Szkoda - zgodziła się Elizabeth i położyła dłoń na ręce przyjaciółki.

W tej samej chwili obie usłyszały przenikliwy, kobiecy wrzask.

- Co to było? - osłupiała Elizabeth i zbiegła po schodach.

Virginia podążyła tuż za nią. Po chwili obie znalazły się na ulicy i popędziły w kierunku, z którego dobiegał krzyk. Ujrzały panią Barker, która zmierzała prosto ku nim, wymachując kartką papieru.

- To okropne! - zawołała, ani na moment nie zwalniając kroku.

- Co znowu zrobiłyśmy? - zaniepokoiła się nie na żarty Virginia.

- Nic - oświadczyła stanowczo Elizabeth. - Nie uczyniłyśmy niczego, przeciwko czemu mogłaby tak żywo protestować.

Pani Barker była czerwona na twarzy i ciężko dyszała, gdy zatrzymała się przed Elizabeth oraz Virginią. Przekrzywił się jej elegancki kapelusz, a w oczach czaiła się panika.

- Wielkie nieba - wykrztusiła Elizabeth i instynktownie postąpiła krok naprzód. - Co się stało?

Pani Barker wzięła głęboki oddech.

- On przyjeżdża - załkała.

Elizabeth i Virginia popatrzyły po sobie, ale żadna z nich nie rozumiała, w czym rzecz.

- Pani mąż? - spytała Elizabeth.

Nie przychodziło jej do głowy, kto inny mógłby wywołać tak silną reakcję pani Barker.

- Nie - zaprzeczyła. - Przedstawiciel kolei. Właśnie otrzymałam wiadomość telegraficzną od kuzyna. Ktoś z linii kolejowej przyjedzie tutaj w piątek wieczorem. Jakimś cudem usłyszał o jasełkach i uznał, że to będzie świetny moment na wizytę.

- Dowiedział się o naszej szopce bożonarodzeniowej? - Virginia wyglądała na zadowoloną. - To miło, prawda?

Pani Barker posłała jej złowrogie spojrzenie.

- Nie wiem, co ma być miłego w katastrofie - burknęła i ruszyła prosto do szkoły.

- Proszę zaczekać! - zawołała za nią Elizabeth. - W szkole trwają...

Nie dokończyła, gdyż było już za późno. Pani Barker otworzyła drzwi i wdarła się do budynku.

Jake właśnie wracał ze sklepu, ze świątecznym prezentem bezpiecznie schowanym w kieszeni koszuli, kiedy usłyszał dobiegający z klasy harmider.

- Wszystko przepadło, wszystko! - zawodziła pani Barker i załamywała ręce na oczach uczniów. - Wystarczy się rozejrzeć. Wszystko upaprane farbą i nie ma nawet przyzwoitej choinki. Temu człowiekowi z kolei wystarczy jedno spojrzenie, aby podjął decyzję, że tory powinny przebiegać inną trasą i o żadnej stacji u nas nie ma mowy.

- Przecież będzie wiedział, że jasełka przygotowują dzieci - zaproponował pastor. - Nikt nie oczekuje perfekcji po takim występie.

- On na pewno będzie spodziewał się eleganckiej choinki - biadoliła pani Barker. - A ja wiązałam tak wielkie nadzieje z kolejną, tak bardzo na nią liczyłam...

Elizabeth podeszła bliżej i objęła panią Barker ramieniem.

- Nie ma powodów do rozpacz - pocieszyła ją. - Na pewno wszystko się ułoży.

- Co pani może wiedzieć? - Pani Barker cofnęła się gwałtownie. - Pani mąż jest na miejscu. Nie musi pani dbać o to, żeby tutaj było jak najlepiej, i liczyć na to, że w związku z tym wróci do domu.

- Przedstawiciel kolei na pewno zrozumie, że dzieci dały z siebie wszystko - powiedziała Elizabeth. - Musimy tylko dołożyć starań, aby czuł się z nami komfortowo. Już postanowiłam przynieść wielki kosz pączków z jabłkiem. Jeszcze nigdy nie spotkałam mężczyzny, któremu nie przypadłyby one do gustu. Poza tym obiecałam Wellsowi, że upiekę ciasto orzechowe. Kto wie, może jeszcze zrobię keks dla wszystkich?

- Zapowiada się najprawdziwsza uczta - oznajmił wyraźnie zadowolony pastor i poklepał panią Barker po plecach. - Nasz gość pewnie nawet nie zauważy choinki.

W odpowiedzi pani Barker rozszlochała się na dobre i wybiegła z klasy. Gdy zatrzasnęła za sobą drzwi, w sali zapadła cisza.

- Drogie dzieci - odezwał się wielebny. - Nie chcę, żebyście się zamartwiały. Pamiętajcie, nie wystawiamy jasełek po to, by zrobić wrażenie na panu z kolei. Czynimy to na chwałę Pana Boga i tylko tym powinniśmy się przejmować.

Jake zorientował się, że dzieci nie są tak przejęte Panem Bogiem, jak panią Barker. Nie mógł ich winić i z tego powodu, on też wolał unikać sporów z tą kobietą. Tego popołudnia Virginia została w szkole, aby poprowadzić z dziećmi kolejną próbę. Natomiast Elizabeth wróciła do domu, aby się zabrać do przygotowywania wypieków. Po drodze odebrała od Annabelle niemowlę, a przy okazji kupiła butelkę esencji waniliowej do pączków.

- Co się dzieje? - zapytała sprzedawczyni, gdy tylko Elizabeth przekroczyła próg sklepu. - Właśnie pożegnałam panią Barker, która wpadła tutaj zadyszana i kupiła wszystkie ozdoby choinkowe, te importowane z Niemiec. Skusiła się na całe dwa tuziny i bez zmrużenia oka zapłaciła za nie okrągłą sumkę.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Elizabeth podeszła do lady. - Podobno przedstawiciel kolei ma przyjechać na nasze jasełka, a pani Barker jest święcie przekonana, że jeśli w jego oczach źle wypadniemy, linia kolejowa ominie szerokim łukiem Miles City.

- Szczerze wątpię, żeby przedstawiciele kolei podejmowali decyzję w oparciu o takie kryteria. - Annabelle wzruszyła ramionami, a Elizabeth uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Moim zdaniem, kolędy i piosenki są mocną stroną przedstawienia. Virginia zaśpiewa razem z dziećmi, a przecież ma anielski głos. Podejrzewam, że pani Barker najbardziej przejęła się nie dość jej zdaniem okazałą choinką oraz kostiumami.

Annabelle nie kryła rozbawienia.

- Musisz przyznać, że anioły raczej nie noszą kombinezonów jako bielizny.

Elizabeth zachichotała.

- Gwiazdy też ich unikają, w przeciwieństwie do pasterzy.

- Wszystko pójdzie jak z płatka - podsumowała Annabelle. - Zwłaszcza teraz, kiedy macie na scenie Higginsa. Już on potrafi dopilnować, żeby chłopcy byli grzeczni.

- Podejrzewam, że nabożny strach, którzy odbija się na twarzach pasterzy, ma więcej wspólnego z Higginsem niż z oddaniem Dzieciątka Jezus.

- Clarence bardzo lubi chodzić do szkoły z chłopcami - zapewniła Annabella.

- Mówisz o nim po imieniu?

Annabelle się zarumieniła.

- Poprosił mnie o rękę - szepnęła.

- Och, to wspaniała wiadomość! - ucieszyła się Elizabeth. - To dobry człowiek.

- Wiem - przytaknęła Annabelle.

Elizabeth w radosnym nastroju powędrowała do domu. Jej przyjaciółka i Higgins nie ogłosili publicznie planów małżeńskich, więc nie mogła powiedzieć o nich mężowi, ale sądziła, że Higgins ją wyręczy.

Tego popołudnia nasmażyła tyle pączków z jabłkami, że mogła zanieść część uczniom. Bożonarodzeniowe przedstawienie miało zostać wystawione nazajutrz. Elizabeth chciała, aby mali aktorzy odprężyli się i skoncentrowali przed występem. Przecież każdy z nich pragnął sprawić jak największą przyjemność rodzicom. Pomyślała, że dorośli z Miles City i z Dry

Creek pierwszy raz od czasu, gdy podzieliła ich czarna linia, usiądą razem. Rodzice na pewno nie odmówią udziału w tak ważnym przedstawieniu.

Wieczorem upiekła ciastka imbirowe. Była zdecydowana zrobić wszystko, żeby jasełka zakończyły się sukcesem. Jeśli w związku z tym musiała do późna pracować w kuchni, to trudno. W życiu gotowała już dla wystarczająco wielu ludzi, aby wiedzieć, że najedzeni są dla siebie uprzejmiejsi i życzliwsi. Postanowiła zanieść do szkoły koszyk ciastek i pączków. Przysmaki miały równie korzystny wpływ na dzieci jak na dorosłych.

Właśnie wyjmowała z piekarnika ostatnie ciastka, gdy uświadomiła sobie, że może za dużo oczekuje od upodobań ludzi do słodczy. Od lat samodzielnie rozwiązywała życiowe problemy i nie prosiła Boga o wsparcie. Tuż po śmierci Matthew i Rose było jej jeszcze trudniej zwrócić się do Boga, ale teraz, zajęta przygotowaniami do świąt, poczuła się mniej przygnębiona. Chwilami była nawet wesoła. Pomyślała, że to dobrze, bo Boże Narodzenie to radosne święto. Nawet Nakrapiana Sarenka ostatnio zadawała więcej pytań o to, jak sprawić, żeby Elias Barker stał się jej przyjacielem.

TLR

## Rozdział siedemnasty

W piątkowy ranek niebo było zasnuwane chmurami. Jake przewidywał zadymki przed niedzielą, kiedy to przypadało Boże Narodzenie. Elizabeth nie miała nic przeciwko temu, żeby na Gwiazdkę spadł śnieg. Tymczasem siedziała przed kominkiem i łagodnie kołysała do snu niemowlę, które właśnie nakarmiła. Perspektywa białych świąt wydawała się pociągająca.

Zanim jednak rodziny zasiądą do wigilijnej wieczerzy, powinny w piątek obejrzeć przedstawienie. Jeśli drogi będą zasypane, frekwencja z pewnością nie dopisze. Elizabeth ostrożnie odłożyła niemowlę do łóżeczka. Słyszała dostatecznie dużo na temat burzy śnieżnych, które nawiedzały tę okolicę, aby wiedzieć, że nikt nie zechce podróżować podczas śnieżycy. Virginia napomknęła, że zasypy osiągają tutaj ponad półtora jarda i przedzieranie się przez kopny śnieg jest wyjątkowo trudne.

Elizabeth wolała nie myśleć o gwałtownej zmianie pogody, jednak na wszelki wypadek wyposażyła Nakrapianą Sarenkę w koc, kiedy wysyłała ją na kucu do szkoły. Razem z Jake'em zamierzała udać się do miasta wozem, żeby wrócić wraz z jego bratanicą. Gdyby nie wybierali się do miasta, z pewnością nie pozwoliłaby dziewczynce udać się do szkoły.

Jake zapowiedział stanowczo, że intensywne opady zaczną się dopiero za kilkanaście godzin, a jego konie poradzą sobie z niewielką warstwą śniegu, więc wyjazd nie powinien się wiązać ze szczególnymi trudnościami. Mimo to Elizabeth postanowiła jak najszybciej dokończyć pracę przy pierwszej partii ciast.

Nakrapiana Sarenka zabrała ze sobą kostium anioła, starannie złożony w przytroczonej do siodła sakwie. Poprosiła o trochę żółtej przędzy oraz wstążki do włosów. Elizabeth podejrzewała, że jej podopieczna postanowiła przygotować dary dla najbliższych, więc na wszelki wypadek wręczyła jej także mały kłębek czerwonej przędzy, która mogła nadać upominkom bardziej świąteczny charakter. Jeszcze nie zastanawiała się nad prezentem dla Jake'a i dlatego zamierzała wpaść do sklepu. Wydziergała na drutach szaliki dla dziewczynek i zostało jej wystarczająco dużo przędzy na czerwone skarpetki dla

Jake'a, lecz to nie był najważniejszy prezent. Wiedziała, że skarpetki na pewno przypadną mu do gustu, niemniej pragnęła ofiarować mu coś więcej.

Część ciast postanowiła zatrzymać dla siebie i rodziny, a co najmniej dwa placki dać Wellsowi i Higginsowi. Dla Annabelle i Virginii miała odłożone słoiki dżemu rabarbarowego własnej roboty. Przyszło jej do głowy, że zapowiadają się naprawdę wyjątkowe święta, i z radością przyszykowała cały koszyk ciastek i pączków przeznaczonych dla dzieci.

Miles City tętniło życiem, kiedy Jake kierował wóz w stronę sklepu. Annabelle ponownie zgodziła się zaopiekować niemowlęciem.

- Nie widzę kuca Nakrapianej Sarenki - odezwał się Jake, gdy dojeżdżali do szkoły.

Konie dzieci miały wyznaczone miejsce z lewej strony budynku, żeby nikomu nie przeszkadzać. Dzisiaj jednak nie było tam ani jednego wierzchowca.

- Pewnie odprowadzili konie z powodu jasełek - zauważyła Elizabeth.

- Niewykluczone. Mogli uznać, że w oczach pani Barker nie wypadną dostatecznie gustownie. Albo ona sama zażądała, aby ukryć konie gdzieś w krzakach.

Elizabeth uśmiechnęła się szeroko.

- Tak mogło się zdarzyć - przyznała. - Dla jej dobra najlepiej by było, gdyby ten człowiek z kolei w ogóle nie przyjechał. Niewykluczone, że doszło do jakiegoś nieporozumienia i nie powinniśmy się spodziewać wizyty.

- Prędzej czy później w miasteczku zjawi się urzędnik kolejowy. Moim zdaniem, ten moment jest równie dobry jak każdy inny.

Jake pomógł żonie wyładować wypieki. Już z daleka słyszeli piski i wrzaski dzieci, które bawiły się z tyłu szkoły, więc wiedzieli, że sala szkolna będzie pusta.

- To na pewno przerwa na lunch - domyśliła się Elizabeth i podeszła do biurka pastora, które stało wciśnięte w kąt pomieszczenia.

Elizabeth i Virginia postanowiły zgromadzić tam żywność, żeby przeznaczyć jak najwięcej miejsca na scenę. Czerwoną bawełnę, która została po zrobieniu ozdób i dekoracji, zamierzały wykorzystać do przykrycia wiktuałów. Także świąteczna choinka została przesunięta na bok.

Po namyśle Elizabeth musiała przyznać, że wyższe drzewko wyglądałoby znacznie efektowniej. Małej choince brakowało majestatu, ale dzieci udekorowały ją z wielką starannością i przejęciem najlepiej, jak potrafiły, i nie wątpiła, że ten fakt mocno zapadnie im w pamięć.

Jake położył na biurku ostatnie ciasto.

- Dobrze, że przykryjesz te wszystkie smakołyki. Nawet Higgins nie utrzymałby chłopców w ryzach, gdyby zobaczyli, jakie pyszności przyszykowałaś.

- Wątpię, żeby Higgins zjawił się dzisiaj w szkole. Annabelle wspomniała, że będzie pomagał jej w sklepie - rzekła.

- Tym bardziej pośpieszmy się z zasłonięciem wypieków, zanim dzieci wrócą z przerwy.

- Także przy Virginii chłopcy chodzą jak w zegarku - zapewniła go z uśmiechem.

- To zrozumiałe - odparł. - Wpatrują się w nią jak w obrazek. Moim zdaniem, są w niej prawie zakochani.

Elizabeth zeszywniała.

- Wszyscy mężczyźni byliby...

Jake nie pozwolił jej dokończyć. Szybkim krokiem podszedł bliżej i uścisnął ją tak mocno, że niemal uniósł w powietrze.

- Wcale nie wszyscy - wyszeptał, gdy wypuścił ją z objęć.

- Och - westchnęła Elizabeth.

Była pewna, że Jake pocałowałby ją, gdyby na ganku nie rozległ się odgłos kroków.

- Chyba przerwa się skończyła - zauważył Jake, ale nie odsunął się ani na krok.

- Przypuszczam, że tak. - Elizabeth cofnęła się i nerwowo wygładziła sukienkę. - Powinnam się przygotować do ostatniej próby przed występem.

- A ja mam jeszcze sporo drewna do porąbania - dodał Jake z zakłopotaniem.

Dzieci powoli zbierały się w klasie, kiedy do środka wmaszerowała pani Barker.

- Gdzie moje ozdoby? - spytała od progu.

Elizabeth patrzyła z osłupieniem, jak pani Barker sprężystym krokiem przemierza salę. Zachowywała się jak sierżant odpowiedzialny za musztrę.



- Jak rozumiem, wieszacie je na tym swoim żalonym drapaku?

Pani Barker uniosła choinkę za wierzchołek i zawirowała nią tak gwałtownie, że kilka igieł spadło na podłogę.

- Zapewniam panią, że dysponujemy wyłącznie tymi ozdobami, które wykonały dzieci. - Elizabeth uznała, że jeśli nikt nie powstrzyma tej kobiety, za moment trzeba będzie szukać nowej choinki. - Może pani je gdzieś zawieruszyła?

Pani Barker prychnęła z oburzeniem, ale przynajmniej odstawiła drzewko.

- Nikt nie zawieruszyłby tak drogich ozdób.

- Wobec tego może Elias wie, co się z nimi stało. - Elizabeth rozejrzała się w poszukiwaniu chłopca.

Łatwo było zlokalizować go z powodu rudych włosów, jednak go nie spostrzegła. Zaskoczona, przyjrzała się dzieciom i stwierdziła, że są wyraźnie zakłopotane.

- Co się stało? - spytała, gdy wielebny wszedł do środka za ostatnim podopiecznym. - Gdzie jest Elias?

- Chyba nie myśli pani, że mój syn... - Pani Barker urwała gwałtownie.

- Elias nie przyszedł dzisiaj do szkoły - odezwał się pastor. - Uznałem, że pewnie zachorował.

- On nigdy nie choruje - obruszyła się pani Barker, a na jej twarzy pojawił się strach połączony z irytacją. - Chyba nie przyszła mu do głowy jakaś nowa psota?

- Brakuje także Nakrapianej Sarenki - oznajmił Jake.

Dobry Boże, pomyślała Elizabeth. Miej nas w swojej opiece.

- Gdzie oni są? - spytał Jake i powiódł wzrokiem po twarzach uczniów.

- Czy Nakrapiana Sarenka zrobiła coś mojemu synowi? - zapytała ostro pani Barker. - Tyle razy mówiłam, żeby nie ufać tym ludziom.

- Milczeć! - ryknął Jake.

Pani Barker znieruchomiała z rozchylonymi ustami.

- Straszy pani dzieci - dodał i ponownie zwrócił się do uczniów: - Kto mi powie, co się tutaj dzieje?

Anna Larson, dziewczynka, która zdaniem Elizabeth najbardziej się zaprzyjaźniła z Sarenką, wyraźnie się skuliła.

- Sarenka nic nie zrobiła - wychlipała. - Ona tylko... chce pomóc Eliasowi.

- Mój syn nie potrzebuje pomocy... - zaczęła pani Barker, ale umilkła pod wpływem wrogiego spojrzenia Jake'a.

- Co robią Elias i Nakrapiana Sarenka? - spytał dziewczynkę, tym razem łagodnym głosem.

Anna przełknęła ślinę.

- Elias powiedział, że widział choinkę i przyniesie ją na prezent. Chciał zrobić świąteczny upominek mamie. Zabrał nawet ozdoby, żeby ubrać drzewko po powrocie do miasta.

- Pojechał po choinkę dla mnie? - Pani Barker wydawała się oszołomiona.

Anna skinęła głową.

- Mieliśmy nic nie mówić, żeby nie psuć niespodzianki - wyznała.

- Rozumiemy - zapewniła ją Elizabeth i podeszła bliżej. - Ale co z Nakrapianą Sarenką? Gdzie ona jest?

- Próbowała go powstrzymać, mówiła, że będzie padał śnieg. Elias nie chciał zostać... - Anna z dumą uniosła brodę. - Dlatego Nakrapiana Sarenka pojechała za nim, żeby mu uratować życie. W Biblii jest napisane, że tak powinna zrobić i w ogóle.

- Na pewno nikt nie będzie musiał nikomu ratować życia - oświadczyła pani Barker i popatrzyła na Jake'a. - Chyba nie grozi mu śmierć, prawda? On po prostu zetnie to drzewko i wróci. Tak?

Jake przestał się złościć na panią Barker i skierował na nią spojrzenie pełne współczucia.

- W tych okolicach nie ma wysokich drzew iglastych, a już na pewno nie takich, jakich oczekiwалby Elias - odparł. - Natychmiast wyruszam w ślad za dziećmi. Śnieg jeszcze nie spadł, więc powinienem wytropić je bez trudu. Spodziewam się opadów dopiero dzisiejszej nocy, nie wcześniej.

- Spakuję trochę ciastek - zaproponowała Elizabeth i podeszła do stołu zastawionego smakołykami. - Oboje na pewno będą głodni.

Jake rozejrzał się po twarzach dzieci.

- Jak rozumiem, Elias dosiada swojego gniadosza?

Kilkanaścioro uczniów w milczeniu energicznie pokiwało głowami.

- To jakaś pocięcha. Koń jest silny i mądry, więc powinien sobie poradzić, gdyby nastąpiło załamanie pogody.

Elizabeth nie powiedziała ani słowa, ale przyszło jej do głowy, że choć Nakrapiana Sarenka dosiada małego kuca, to przecież został on wyszkolony przez Indian. Gdyby spadł śnieg, zwierzę na pewno da sobie radę nie gorzej niż koń Eliasa. Jake podszedł do niej i wyciągnął ku niej rękę, a ona pozwoliła się objąć tak, jakby to był najzwyczajniejszy gest na świecie.

- Nie martw się - wyszeptał, ściskając ją mocno. - Wrócę z naszą córką.

- Proszę, zrób to koniecznie.

Tym razem, kiedy Jake pochylił się, aby ją pocałować, Elizabeth nie zważała na to, czy ktoś ich widzi. Po chwili, gdy Jake zmierzał do drzwi, odprowadziła go zatroskanym wzrokiem. Nie zdążył jeszcze zejść z ganku, kiedy na ulicy pojawił się Higgins. Jechał konno, prowadząc za sobą drugiego wierzchowca. Jake wskoczył na grzbiet konia i obaj mężczyźni wyruszyli na północ.

Elizabeth wyszła na ganek i ujrzała małego Tommy'ego oraz Annabelle trzymającą na rękach opatulone niemowlę.

- Tommy nam wszystko przekazał - odezwała się Annabelle i pośpieszyła do przyjaciółki. - Nie martw się. Clarence i Jake na pewno ich znajdą.

- Muszą ich znaleźć.

- Chętnie zostałabym z tobą - wyznała zatroskana Annabelle - ale wzywają mnie obowiązki. Nie wolno mi opuszczać sklepu. Kiedy dzieci wrócą, koniecznie przyślij do mnie Tommy'ego.

- Mam nadzieję, że sprawa wkrótce się wyjaśni. - Elizabeth przystanęła i obejrzała się na przyjaciółkę.

- Na wszelki wypadek będę się za nich modlić - obiecała Annabelle.

- Ja również - dodała Elizabeth.

Annabelle uśmiechnęła się do niej krzepiąco i wróciła do sklepu, a Elizabeth do szkolnej sali. Nie wątpiła, że Bóg wysłucha ich modlitw. Poza tym Jake wielokrotnie podkreślał, że śniegu nie należy się spodziewać jeszcze przez wiele godzin, zatem na-

prawdę nie było powodu do obaw. Usiadła w ostatnim rzędzie ławek, przysłuchując się śpiewającym aniołom. Pani Barker również zajęła miejsce z tyłu, ale po stronie Miles City.

Nie minęła godzina, gdy po schodach wbiegł zadyszany Danny.

- Jest tu! - krzyknął, kiedy śpiewacy na moment umilkli.

- Elias? - Pani Barker uniosła się z nadzieją, ale Danny pokręcił głową.

- Nie, ten człowiek z kolei - wyjaśnił. - Właśnie poszedł do saloonu Coltera, żeby wypić drinka.

- W żadnym razie nie możemy zostawić go w tym lokalu. - Pani Barker wzdrygnęła się z obrzydzeniem i ruchem ręki przywołała Danny'ego. - Gość powinien poznać naszą społeczność z najlepszej strony. Idź natychmiast i zaprowadź go do sklepu.

- Ja? - osłupiał Danny.

- Słusznie, to kiepski pomysł - zgodziła się pani Barker. - Sama po niego pójde, a ty pędź przodem i powiedz Colterowi, żeby wyprowadził tego dżentelmena ze swojego przybytku. Najlepiej będzie, jeśli zaproszę go do restauracji na przyzwoity obiad.

- Jest czternasta - odezwał się pastor usadowiony w innym kącie sali. - Pewnie już coś jadł.

- Wobec tego zaproponuję mu ciasto.

- Może zaprosilibyśmy go tutaj? - podsunęła Elizabeth. - Mamy przecież mnóstwo ciast: z jabłkami, orzechami, jagodami... Dzięki temu byłaby pani na miejscu, kiedy wrócą dzieci.

Pani Barker pokiwała głową.

- Dziękuję. To bardzo miło... - zająknęła się. - W każdym razie, dziękuję - dodała i wyszła z sali.

Elizabeth uznała, że pani Barker nie jest już tak apodyktyczna jak niedawno. Nie zostawiła ostatnich poleceń na temat tego, jak zrobić wrażenie na przedstawicielu kolei. Elizabeth wiedziała już, że ta wizyta jest wyjątkowo ważna zarówno dla pani Barker, jak i dla miasta.

Wstała i skinęła na Virginie. Obie zdecydowały, że dzieci powinny wyjść na wcześniejszą przerwę, żeby można było przygotować odpowiednie miejsce dla gościa. W

tym celu ustawiły pączki i ciastka na szafce przy oknie, a na biurku nauczyciela położyły talerz i sztucze wraz ze starannie złożoną serwetką.

- Zaparzę mu kawy - postanowił wielebny. - Tak się składa, że mam najprawdziwszą czarną kawę, a nie żadną zbożową namiastkę.

- Świetny pomysł - zgodziła się Elizabeth. - Virginio, nie zechciałabyś czegoś zaśpiewać? Masz śliczny głos, na pewno zrobisz wrażenie na tym panu.

Gdy pani Barker wróciła z gościem, wszystko było już gotowe na jego przybycie.

- Och - westchnęła pani Barker, gdy weszła do środka. - Piękne dekoracje, prawda? Panie Jamison, pragnęłabym przedstawić panu kilkoro moich... przyjaciół.

Elizabeth nie słuchała, co jeszcze pani Barker ma do powiedzenia. Była zadowolona, że ta nieznośna kobieta spuściła z tonu i w końcu postanowiła nazywać ich przyjaciółmi. Nakrapiana Sarenka byłaby szczęśliwa, wiedząc, że traktowanie wrogów jak przyjaciół niekiedy przynosi pożądane skutki.

Na myśl o podopiecznej podeszła do okna i znowu wyjrzała na zewnątrz. Chmury były teraz nieco ciemniejsze niż wcześniej. Nawet gdyby dzisiaj nie spadł śnieg, zmrok zapadał bardzo wcześnie. Elizabeth popatrzyła w dal, na piętrzące się góry, lecz nie zauważyła żadnego jeźdźca.

Panie, proszę, spraw, żeby wszyscy bezpiecznie wrócili do domu.

## Rozdział osiemnasty

Pan Jamison powoli delectował się ciastem, Virginia przez cały czas śpiewała, a wielebny wyszedł na dwór do dzieci.

- To miła społeczność - zauważyła Elizabeth, podnosząc się z miejsca.

- Och, zdecydowanie - przytaknęła pani Barker, ale zdawała się nieobecna duchem.

Po chwili dyskretnie zerknęła na zegarek, który nosiła przypięty jak broszka. - Na zewnątrz musi być zimno - dodała, wstając z ławki. - Oby to nie oznaczało, że śnieg spadnie wcześniej, niż zakładaliśmy.

- Proszę nie przejmować się śniegiem. - Pan Jamison odsunął pusty talerz. - To jedno z najlepszych ciast, jakie kiedykolwiek jadłem - pochwalił.

- Dziękuję - odparła Elizabeth. - Pańskim zdaniem nie musimy się obawiać, że wkrótce spadnie śnieg?

- Spadnie prędzej czy później, tyle że nie będzie go dużo. - Pan Jamison otarł wargi serwetką. - Przed przyjazdem do miasta odwiedziłem fort, akurat wtedy gdy opuszczało go kilka patroli. Wątpię, żeby żołnierze wyruszali w teren tuż przed zamiecią.

- Na pewno nie - zgodziła się Elizabeth. Wiedziała, że żołnierze nie opuszczają fortu zimą, chyba że chodzi o coś ważnego. - Nie wie pan przypadkiem, czy...

W tym momencie do sali wszedł Colter, trzymając w ręku karabin. Rewolwer przypiął do pasa.

- Właśnie był u mnie jeden z żołnierzy i powiedział, że patrole są kierowane na północ! - oznajmił bez ogródek.

Elizabeth wstrzymała oddech.

- Na północ? - powtórzyła. - W tym samym kierunku pojechali jakiś czas temu Jake i Higgins. Co się dzieje na północy?

Colter wyraźnie się stropił.

- Nie ma powodów do obaw. Chciałem tylko, aby Virginia wiedziała, że jestem...

- Co się dzieje na północy? - powtórzyła pobladła Elizabeth.

Colter nie odpowiedział, ale wyręczył go niespodziewanie pan Jamison.

- Przypuszczam, że wojsko poszukuje buntowników - rzekł.

- Wielkie nieba. - Pani Barker osunęła się na najbliższą ławkę. - Mój Elias jest gdzieś daleko, wśród tych dzikusów?

- A wraz z nim Nakrapiana Sarenka, Jake i Higgins - przypomniała jej Elizabeth.

- Oczywiście - wymamrotała pani Barker.

- Mam nadzieję, że uda mi się dogonić Jake'a i Higginsa - oświadczył Colter. - Na pewno nie odjechali daleko.

- To niebezpieczne... - zaczęła Virginia, ale Colter już opuścił salę.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

- Nie jestem pewien, czy koleje będą zainteresowane okolicami, w których nadal grasują bandy - oznajmił pan Jamison i wstał.

- Kogo to obchodzi! - Zdenerwowana pani Barker nie liczyła się ze słowami. - Mogli pojmać mojego syna!

- Rozumiem - powiedział pan Jamison. - W takim razie chyba wrócę do hotelu i tam zaczekam na wieczorne przedstawienie. Jak rozumiem, występ nie jest odwołany?

- Jeszcze nie wiemy - odparła Elizabeth i bezradnie spojrzała najpierw na Virginie, a potem na panią Barker. Obie kobiety zalewały się łzami.

- Oczywiście. - Pan Jamison wyszedł z sali.

Virginia, Elizabeth i pani Barker stały pośrodku klasy i obejmowały się tak długo, aż w końcu pani Barker spadł kapelusz, a oczy Virginii poczerwieniały od płaczu. Elizabeth pierwsza odsunęła się o krok.

- Zajmijmy się czymś w oczekiwaniu na ich powrót - zaproponowała. - Na przykład trzeba... - Urwała, bo w pierwszej chwili nic jej nie przychodziło do głowy. - Aha, trzeba przynieść trochę drewna, żeby w sali było bardzo ciepło, gdy wrócą - dodała.

- Przyniosę butelkę syropu na wzmocnienie, który chroni przed przeziębieniem - oznajmiła pani Barker.

- Przede wszystkim powinniśmy się pomodlić - uznała Virginia i ponownie zbliżyły się do siebie, aby przez chwilę stać w milczeniu i prosić Boga o uratowanie bliskich.

Gdy się rozstały, Elizabeth poczuła, że musi iść do sklepu i przytulić niemowlę. Annabelle z dzieckiem na ręku właśnie wychodziła z magazynu, kiedy Elizabeth zbliżała się do budynku.

- Usłyszałam, co się stało - powiedziała z przejęciem Annabelle i jednocześnie odwróciła się, żeby otworzyć drzwi. - I tak mało kto dzisiaj robi zakupy.

- Dziękuję. - Elizabeth podążyła za przyjaciółką do środka.

Annabelle zaprowadziła ją do swojego mieszkania.

- Rozgość się, a ja zagotuję wodę na herbatę - powiedziała.

- Świetnie, chętnie napiję się czegoś gorącego.

Elizabeth wzięła w ramiona dziecko. Nagle uświadomiła sobie, że sytuacja się powtarza, a ona nic nie może na to poradzić. Właśnie zaczynała kochać nową rodzinę, a Bóg ją jej odbierał.

- Nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś - powiedziała z westchnieniem, gdy przyjaciółka podała jej kubek pełen gorącej herbaty. - Jak ci się udało otrząsnąć po śmierci dwóch mężów?

Annabelle usiadła i wypila łyk herbaty.

- Nie było mi łatwo. Znacznie gorzej radziłam sobie po śmierci ojca Tommy'ego niż po następnym mężu. Byłam pewna, że nigdy nie dojdę do siebie.

- Bardziej kochałaś pierwszego męża - domyśliła się Elizabeth.

- Chyba kochałam go mniej, ale poczucie winy nie dawało mi spokoju - wyznała Annabelle. - Wydawało mi się, że jeśli będę go bardzo opłakiwała, to wynagrodzę mu niedostatek miłości za życia.

- Wiem, wiem - przytaknęła Elizabeth. - To jest tak, jakby się kogoś zdradziło. Czuję, że kochałam córeczkę bardziej niż męża, ale chyba z czasem pogodzę się z jej odejściem. Co do Matthew... - Zawiesiła głos.

- Doskonale cię rozumiem.

- Teraz wydaje mi się, że postępuję niegodziwie, bo zakochałam się w Jake'u - wyjawiała Elizabeth. - Jak to o mnie świadczy?

- Posłuchaj mnie - odrzekła Annabelle. - Zrobiłaś dla Matthew wszystko, co w twojej mocy. Nic więcej nie możesz dla niego uczynić. Pozostaw resztę Panu. Nie wolno ci żyć przeszłością. Nie wtedy, gdy Bóg postawił na twojej drodze nową rodzinę, która oczekuje troski i miłości.



- Tak, ale... - zaczęła Elizabeth i zamrugała oczami, usiłując powstrzymać łzy. Na próżno. - Przepraszam, ja nigdy... - łzy spływały jej po policzkach - ...nie płaczę.

Annabelle wstała i przyjacielskim gestem poklepała Elizabeth po ramieniu.

- Oczywiście, że płaczesz. Każdy czasem płacze.

- Ale ja... nie powiedziałam Jake'owi... A teraz pojechał i nie wiem, czy wróci... Tak samo jak Nakrapiana Sarenka... I... I...

- Jeszcze zdążysz wyznać im uczucia. Będziesz miała mnóstwo okazji do szczerzej rozmowy z najbliższymi. Mój Clarence dopilnuje, żeby bezpiecznie dotarli do domu. Będziemy czekały i modliły się o szczęśliwie zakończenie tej niepotrzebnej eskapady. Elizabeth otarła łzy i pochyliła głowę.

- Panie Boże, chroń tych, których kochamy - modliła się Annabelle. - Wiemy, że ich los leży w Twoich rękach. Amen.

W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka umieszczonego przy wejściu do sklepu. Annabelle odetchnęła głęboko, aby się uspokoić.

- Poczekaj tutaj na mnie i odpocznij - zwróciła się do przyjaciółki. - Dam ci znać, jeśli będzie coś wiadomo. - Z tymi słowami wyszła z pokoju.

Elizabeth przytuliła dziecko i ucałowała je w ciemną główkę.

- Bóg sprowadzi twego stryjka z powrotem - szepnęła. - I twoją starszą siostrę też.

Pogrążona w zadumie, dopiero po dłuższej chwili dostrzegła za oknem wirujące płatki śniegu.

- Wielkie nieba! - Zerwała się z miejsca.

Postanowiła pójść do szkoły i sprawdzić, czy ktoś dorzucił do ognia.

- Zamykam sklep za pół godziny - zapowiedziała Annabelle, gdy Elizabeth poinformowała ją o swoich zamiarach. - Zaraz potem przyjdę.

Gdy Elizabeth stanęła w progu szkoły, przebywający w sali jak jeden mąż skierowali na nią wzrok. Domyśliła się, że spodziewali się kogo innego.

- To tylko ja - powiedziała pełna wiary, otrzepując się ze śniegu.

Okazało się, że ktoś zatroszczył się o zebranych i dorzucił drewna do ognia, więc było ciepło. Pastor zgromadził wokół siebie uczniów i czytał im jakąś opowieść biblijną. Virginia siedziała z boku, zasłuchana w głos wielebnego Olsona.

- Nie wiedziałam, że tak sypnęło śniegiem - odezwała się, gdy podeszła do Elizabeth. - Colter nie zabrał kurtki.

- Pewnie ma koc przytroczony do siodła - pocieszyła ją Elizabeth.

- Wiem, ale... - Virginia urwała i westchnęła. - Martwię się. Sama rozumiesz, to przecież mój szef - dodała.

- Rozumiem.

- Czasami wydaje mi się, że... - Virginia zastanowiła się przez chwilę. - Nie, to niemożliwe. Przecież ja jestem głęboko wierząca, a on...

Elizabeth pokiwała głową.

- Tak, wiem.

Usiadły obok siebie, aby wspólnie czekać na powrót bliskich. Po pewnym czasie w szkolnej sali zjawiała się pani Barker.

- Pisałam list do ojca Eliasa - wyjawiała, gdy usiadła obok Virginii oraz Elizabeth. - Tak się zdenerwowałam, że nie ma go tutaj, kiedy jest potrzebny synowi, że podarłam kartkę i wyrzuciłam ją do śmietnika.

- Wiem, że pani za nim tęskni - powiedziała współczująco Elizabeth.

- Zauważyłam, że dzisiaj rano Elias zabrał starą kurtkę ojca. Powinnam była wcześniej się zorientować. Mąż ją wkładał, kiedy wyruszali razem na przejażdżki o tej porze roku.

- Przynajmniej będzie mu ciepło - pocieszyła ją Elizabeth i nagle zaczęła sobie wyrzucać, że nie pozwoliła Nakrapianej Sarence nosić futerkowych spodni. Na pewno bardziej przydałyby się jej niż cienkie pantaloney i pończochy.

- Pani dziewczynce na pewno także nic się nie stanie. - Pani Barker położyła Elizabeth dłoń na ręce.

- Dziękuję. Mam taką nadzieję.

Po pewnym czasie Virginia zaproponowała, żeby wszyscy pośpiewali psalmy. Uczniowie, którzy przez cały tydzień śpiewali kolędy, z przyjemnością przystali na zmianę repertuaru. Po odśpiewaniu kolejnego utworu Virginia zarządziła przerwę, aby dzieci posiliły się wypiekami dostarczonymi przez Elizabeth.

- Część z nich naprawdę kocha muzykę - zauważyła Virginia, gdy ponownie zajęła miejsce w pobliżu Elizabeth i pani Barker.

- Szkoda, że nie możesz ich uczyć - zauważyła z westchnieniem Elizabeth.

Virginia bezradnie rozłożyła ręce.

- Może kiedyś... - bąknęła i umilkła.

- Lepiej nie czekaj zbyt długo.

- Wiem. Zwlekamy za długo, a potem jest za późno.

TLR

## Rozdział dziewiętnasty

Tommy pierwszy zauważył konie. Chłopiec stał przy oknie i pomimo zapadającego zmierzchu oraz gęstniejącego śniegu uparcie wypatrywał jeźdźców.

- Jada! - krzyknął radośnie. - Jada!

Elizabeth pośpiesznie odłożyła niemowlę do prowizorycznego łóżeczka, które przygotowała z dwóch zsuniętych ławek, i natychmiast podeszła do okna. W oddali dostrzegła kilka sylwetek.

- Widzę trzy konie! - ogłosił Tommy i umilkł na chwilę. - Ciekawe, co się stało z...

- Zawiesił głos.

Dobry Boże, pomyślała Elizabeth i zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Powinno być pięć wierzchowców, trzy z dorosłymi i dwa z dziećmi.

- Na pewno jest jakieś wytłumaczenie - powiedziała.

Niestety, przychodziły jej do głowy wyłącznie czarne scenariusze.

W klasie zapadła cisza, zakłócana jedynie przez ciche pochlipywanie pani Barker.

- Nie znaleźli ich - rozpacziała. - Mój synek zginął, i to przeze mnie. Gdybym nie robiła takiego zamieszania z choinką, na pewno nie pojechałby szukać nowego drzewka...

- Bądźmy dobrej myśli - pocieszyła ją Elizabeth, chociaż sama była pełna obaw. - Na razie nie wiemy, co się stało. Poza tym nie da się kontrolować wszystkiego, co się dzieje w życiu.

Objęła panią Barker, która oparła czoło na jej ramieniu. Elizabeth wiedziała, dlaczego matka Eliasa czuje się winna. Wyrzuca sobie, że nie zdołała przewidzieć tego, co się przytrafi jej ukochanemu synowi. Boże, wybacz mi, że usiłowałam być Tobą, pomodliła się Elizabeth w duchu.

- Jada co koń wyskoczy! - wrzasnął Tommy.

Pani Barker i Elizabeth natychmiast popędziły do okna. Rzeczywiście, jeźdźcy galopem zbliżali się do miasta.

- Wielkie nieba, co teraz? - Elizabeth odwróciła się i pobiegła do drzwi wejściowych.

Trzy konie zatrzymały się przy ganku, potrząsając łbami i cicho parskając, a wtedy z gardeł znieruchomiłych na dworze dzieci wydobył się okrzyk radości.

Wszyscy wrócili do domu!

Nakrapiana Sarenka siedziała w siodle razem z Jake'em, a Elias jechał z Higginsem. Colter przybył sam, lecz uśmiechał się od ucha do ucha.

- Pomyśleliśmy, że pewnie będziecie się martwili, kiedy zobaczycie nas z daleka - odezwał się Jake. - Dlatego pognaliśmy prosto do szkoły.

Rozradowana Elizabeth wpatrywała się w męża. Wrócił bez kapelusza i miał zmierzwione włosy, a jego twarz pobladła na mrozie. Mimo to wydawało się jej, że jeszcze nigdy tak wspaniale nie wyglądał. Uznała, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego spotkała w życiu.

- Nakrapiana Sarenka uratowała mi życie - odezwał się Elias, który siedział na koniu za plecami Higginsa. - Indianie chcieli mnie oskalpować, a ona powiedziała, że najpierw będą musieli zedrzeć jej włosy.

Po tych słowach pani Barker omal nie zemdląca. Elizabeth była wstrząśnięta do tego stopnia, że z jej ust nie wydobył się nawet jęk.

- Nie chcieli jej skalpu - dodał Elias. - Rozmawiała z nimi, i w ogóle.

- To oczywiste, że z nimi rozmawiała - zniecierpliwiała się pani Barker. - Przecież jest jedną z nich.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Co nie znaczy, że nie jest jedną z nas - dodała pani Barker i uśmiechnęła się niepewnie. - Dowiodła, że zasługuje na miejsce w naszym gronie.

- Po prostu ma brązową skórę - oznajmiła Anna, wychylając się zza głów pozostałych uczniów. - Tak samo jak Elias ma rude włosy, a ja niebieskie oczy. To są tylko kolory, a pod spodem wszyscy jesteśmy tacy sami.

- I właśnie dlatego tak bardzo chcieli zedrzeć mi skalp - podkreślił Elias, ciągle rozentuzjasmowany przygodą, którą przeżył. - Ci Indianie powiedzieli, że nigdy nie spotkali człowieka z takimi włosami. Podobno byłby z nich dobry amulet.

Elizabeth zeszła po schodach i zbliżyła się do wierzchowca Jake'a. Uniosła rękę, a Jake pochwycił Nakrapianą Sarenkę i ostrożnie ją opuścił prosto w objęcia Elizabeth.

- Kocham cię - wyszeptała Elizabeth prosto do ucha dziewczynki, która na moment zeszywniała w jej uścisku, lecz zaraz uśmiechnęła się nieśmiało.

- Co się stało z pozostałymi końmi? - spytał podekscytowany Tommy.

- Przehandlowaliśmy je - wyjaśnił Elias i zeskoczył na ziemię. - Z początku Nakrapiana Sarenka chciała wymienić konie na mój skalp, a Indianie zastanawiali się nad tą propozycją, bo przecież mam takie wyjątkowe włosy. A potem Sarenka otworzyła sakwę przy moim siodle i wyjęła ozdoby choinkowe...

- Moje świąteczne ozdoby. - Pani Barker szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. - Tylko nie mów, że je potłukłeś. Przyjechały tutaj aż z Niemiec.

- Nie potłukiliśmy ich. Nakrapiana Sarenka ofiarowała je Indianom w zamian za pozostawienie mi skalpu na głowie.

- Ale co oni z nimi robią? Przecież nie obchodzą świąt. To ręcznie wyrabiane szklane jagody, orzechy i jabłka... Na litość boską, tylko nie mów, że chcieli je zjeść.

Elias energicznie pokręcił głową.

- Skąd. Nakrapiana Sarenka nanizala każdą ozdobę na przędzę, a Indianie zawiesili je sobie na szyjach. Jeden z nich miał na piersiach wielką, niedźwiedzią łapę, ale ją zdjął, żeby nosić szklaną gruszkę. Miałem nadzieję, że podaruje mi tę łapę, ale na to nie wpadł.

W każdym razie ozdoby bardzo im się podobały. Powiedzieli jednak, że to za mało, więc obiecaliśmy im więcej świątecznych prezentów.

- Jakich znowu prezentów? - zdenerwowała się pani Barker.

- Mamy jutro zostawić trochę żywności w wąwozie przy szkole, a wtedy zwrócą nam konie.

Pani Barker spojrzała na mężczyznę.

- A co panowie na to? - spytała z pretensją w głosie.

- Nakrapiana Sarenka dobiła targu, kiedy przyjechaliliśmy. Wycofywanie się z umowy nie byłoby honorowe - stwierdził Jake.

- Niebywałe. Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Przez następne godziny podobne słowa padały jeszcze wielokrotnie. Elizabeth podejrzewała, że częściowo za sprawą Eliasa, który ubarwiał swoją opowieść. Banda buntowników rozrosła się z ośmiu do prawie osiemdziesięciu osób, nóż przybrał rozmiary

szabli, łapa grizzly stała się udźcem, a Nakrapiana Sarenka z ratującej zmieniła się w ratowaną, dzięki czemu Elias urósł do rangi bohatera.

Dziewczynka nie miała nic przeciwko tej bufonadzie. W spokoju zajmowała się przygotowaniem do roli anioła, a ponieważ wszystkie dzieci były w szkole i nikt nie zawiadomił rodziców o odwołaniu imprezy, ostatecznie postanowiono wystawić jasełka.

- Jesteś pierwszorzędnym aniołem - pochwaliła swoją podopieczną Elizabeth i po raz kolejny poprawiła jej skrzydełka. - Wolałabym jednak, żebyś więcej nie wypuszczała się na takie eskapady.

Dziewczynka skinęła głową.

- Elias chyba już nigdy tego nie zrobi - oznajmiła,

- W każdym razie nie powinnaś wyjeżdżać bez porozumienia z nami. Stryj na pewno chętnie zabierze cię ze sobą, kiedy będzie gdzieś wyruszał. Możesz także jeździć z innymi dorosłymi pod warunkiem, że wyrazimy na to zgodę.

- Na przykład z panem Higginsem - oświadczyła dziewczynka.

Elizabeth poprawiła jej kostium i uznała, że przybrana córka naprawdę wygląda jak aniołek.

Widowisko w końcu się rozpoczęło. Pierwsze na scenę wbiegły gwiazdki. Na półkach stało kilkanaście lamp naftowych, dzięki którym pomieszczenie wydawało się skąpane w złotej poświacie. Pani Barker przesunęła małą choinkę na środek sceny i oznajmiła, że to drzewko jest wręcz idealne jako element dekoracji artystycznej. Ozdoby wykonane z czerwonej bawełny rzucały się w oczy, gdyż ktoś zawiesił lampę pod sufitem, bezpośrednio nad wierzchołkiem drzewka.

Rodzice zasiedli w ławkach, gdzie kto sobie życzył. Nikt nie zwracał uwagi na podział sali. Przedstawiciel kolei usiadł w pierwszym rzędzie i nie wydawał się naburmuszony, co Elizabeth uznała za dobry znak. Sama przycupnęła wraz z Jake'em z tyłu sali. Mimo to doskonale widziała wszystkie dzieci, w tym Nakrapianą Sarenkę, która stała blisko swojej przyjaciółki Anny.

Pastor z uroczystą miną wkroczył na scenę i zatrzymał się przed gwiazdkami.

- „Za panowania króla Heroda” - zaczął czytać fragment Biblii. - „Oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy...”.\*

\* Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań, 1991 r. (przyp. tłum.).

Gwiazdki wspięły się na palce i zatańczyły, a anioły zaczęły śpiewać.

Jasełka trwały czterdzieści minut. Gwiazdy przestały tańczyć i zaśpiewały wraz z pasterzami i aniołami, wspominając świętą noc sprzed wieków. Cała opowieść wydawała się dość krótka, ale Elizabeth wiedziała, że zebrane rodziny nie zapomną tych chwil przede wszystkim dlatego, że przed występem zebrani dowiedzieli się o tym, jak Nakrapiana Sarenka wyruszyła na pomoc Eliasowi Barkerowi, chłopcu, którego matka usiłowała uczynić z niej wyrzutka.

- To nowy początek dla nas wszystkich - szepnęła Elizabeth do męża, gdy ostatnie dziecko zeszło ze sceny, a ludzie zgodnie ustawili się w kolejce do stołu ze smakołykami. Ona i Jake pozostali na swoich miejscach z tyłu sali.

- Elizabeth O'Brian Hargrove, jesteś najprawdziwszym błogosławieństwem dla mnie i dla dziewczynek - oświadczył Jake, biorąc żonę za rękę.

- Nie masz nic przeciwko temu, że jestem zarówno O'Brian, jak i Hargrove? - Elizabeth popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

- Skoro Nakrapiana Sarenka mogła zawrzeć pokój z Eliaszem, to ja tym bardziej mogę przestać być zazdrosny o nieżyjącego mężczyznę.

- Och, z całą pewnością nie masz żadnych powodów do zazdrości - zapewniła go Elizabeth. - Jesteś...

- Tak? - Jake przysunął się bliżej, żeby lepiej słyszeć.

Zarumieniła się i rozejrzała, aby się upewnić, że nikt nie podsłuchuje, a następnie wyszeptała z przejęciem:

- Jesteś wspaniały.

Jake uśmiechnął się od ucha do ucha.



- Czy ten błysk w twoich oczach świadczy o tym, że pozostaniesz z nami dłużej niż do wiosny? - spytał z nadzieją. - Bardzo pragnąłbym w to wierzyć.

Elizabeth skinęła głową.

- Chodzi tylko o to... - zaczęła i urwała, jakby zabrakło jej słów.

- O cokolwiek chodzi, na pewno znajdziemy dobre rozwiązanie - zauważył Jake.

- Nie mam na myśli żadnego specjalnego problemu - zaprotestowała pośpiesznie. -

Po prostu chciałabym wziąć z tobą przyzwoity, tradycyjny ślub, zanim... no, wiesz... żebyśmy mogli szczerze i z przekonaniem wypowiedzieć słowa przysięgi małżeńskiej.

Jake czuł się tak, jakby nagle wyrosły mu u ramion skrzydła.

- Czy wyjdiesz za mnie? - spytał, nie odrywając wzroku od jej oczu.

- Z radością - potwierdziła Elizabeth.

- W takim razie zamierzam pocałować przyszłą pannę młodą - oznajmił Jake, po czym nie zwlekając, to uczynił.

Elizabeth wydawało się, że gdzieś w oddali rozbrzmiewają oklaski.

# Epilog

W pierwsze niedzielne popołudnie maja zaproszeni goście przybyli na uroczysty ślub. Zgodnie z życzeniem Elizabeth ceremonię zaplanowano na wiosnę, aby mogła się odbyć nad brzegiem Dry Creek. Dzięki temu Jake miał dostatecznie dużo czasu na przygotowanie kamienia nagrobnego, którego ustawienie stało się symbolicznym końcem okresu żałoby dla Elizabeth.

- Jesteś naprawdę piękną panną młodą - zachwyciła się Virginia, nie mogąc wprost oderwać oczu od przyjaciółki.

Elizabeth podziękowała uśmiechem swojej drużynie.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć, że ten dzień wreszcie nadszedł - powiedziała.

Goście zasiedli w ławkach, które Jake i Higgins wypożyczyli ze szkoły. Tłumnie stawili się mieszkańcy Miles City, z fortu dotarła spora grupa żołnierzy. Nie zabrakło również pana Jamisona, który właśnie przeprowadzał drugą inspekcję Miles City i na każdym kroku podkreślał, jak bardzo podoba mu się ta okolica. Wspomniał też, że szczególne wrażenie wywarły na nim miejscowe dzieci, a zwłaszcza dziewczynka o imieniu Nakrapiana Sarenka.

Elizabeth nie kryła dumy, gdy usłyszała jego pochwały pod adresem odważnej podopiecznej. Teraz zerknęła na ławkę zajętą przez Annabelle i Higginsa oraz Sarenkę opiekującą się siostrzyczką.

- Nie mogę przywyknąć do nazywania niemowlęcia Mary - wyznała Elizabeth. To Nakrapiana Sarenka zdecydowała, że dziecko powinno nosić imię związane z Bożym Narodzeniem. - Zawsze myślę o niej jak o mojej małej córeczce.

Virginia spojrzała w tym samym kierunku.

- Nigdy nie przestanie być twoją małą córeczką, bez względu na imię - zauważyła.

Elizabeth skinęła głową.

- Wiem.

Zapadła kilkuminutowa cisza, a potem Elizabeth wygładziła fałdy zielonej aksamitnej sukni.

- Jake chciał, żebym nosiła strój w tym kolorze - powiedziała. - Moim zdaniem, trochę się bał, że włożę czarną sukienkę, jeśli nie kupi mi czegoś nowego.

- Może powinnaś przekazać mi tę swoją czarną sukienkę.

- Och, nie mów tak. - Elizabeth uścisnęła dłoń Virginii. - Colter na pewno wróci.

- Nie jestem przekonana, czy tego chcę...

Colter wyjechał w styczniu. Oznajmił, że ma pewną sprawę do załatwienia, zanim zmieni coś w życiu. Pozostawił saloon oraz Danny'ego pod opieką Virginii, która otrzymała od niego pieniądze na codzienne wydatki oraz na przekształcenie lokalu w szkółkę gry na pianinie.

W pewnej chwili pastor odchrząknął. Goście już siedzieli, a Jake czekał na końcu przejścia, utworzonego przez dwa rzędy ławek.

- Porozmawiamy później - szepnęła Elizabeth, gdy wraz z przyjaciółką wstała, by podejść do pana młodego.

- Nie zaprzataj sobie teraz głowy rozmowami. To twój ślub, zapomniałaś? A tam stoi mężczyzna, który nie spuszcza z ciebie wzroku i wydaje się najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem.

- To prawda - przytaknęła Elizabeth.

Jake miał na sobie nowy garnitur. Zrezygnował nawet z flanelowej koszuli. Ubrał się tak, jakby ubiegał się o pracę w dobrym banku, i doszedł do wniosku, że matka byłaby z niego dumna, nawet z czerwonych skarpetek, które nosił.

Nie mógł oderwać wzroku od Elizabeth. W zielonej sukni prezentowała się zjawiskowo, tak jak się spodziewał. Starą obrączkę zawiesiła na szyi, na złotym łańcuszku, który podarował jej na święta Bożego Narodzenia. Nową Jake trzymał w kieszeni.

Po chwili Elizabeth stanęła u boku męża i położyła dłoń na jego ręce.

Tym razem Jake upierał się przy jak najdłuższej ceremonii. Chciał obiecać żonie wszystko, pragnął utwierdzić ją w przekonaniu, że u jego boku będzie bezpieczna, zadowolona, kochana.

Kochał ją.

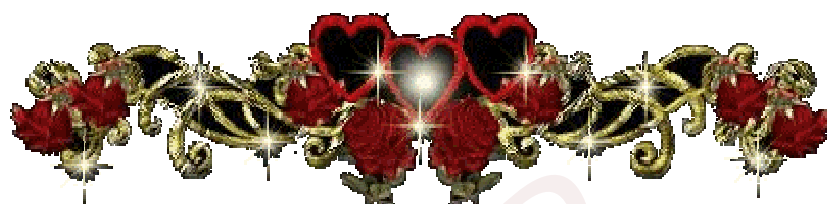
Właśnie o tym zamierzał ją zapewnić.

Powtarzając słowa przysięgi, Elizabeth patrzyła na męża. Uśmiechnęła się, gdyż wokół stojącego w słońcu Jake'a pojawiła się złocista aureola.

- Teraz może pan pocałować pannę młodą - oznajmił wielebny Olson z taką satysfakcją w głosie, że niektórzy goście cicho zachichotali. - Znowu - dodał entuzjastycznie.

Elizabeth nie obchodziło, że zgromadzeni wybuchnęli śmiechem. Ludzie wiedzieli przecież, że ona i Jake przebyli długą drogę, aby dotrzeć na ślubny kobierzec. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku, kiedy pochylał się ku niej.

Pocałował ją czule, a zarazem namiętnie, tak jak to sobie wymarzyła.



TLR